Rok 74-ty. № I.

# KURJER WARSZAWSKI




Cena niniejszego
Numeru
KOP. 15.

1894

NAJBARDZIEJ ROZPOWSZECHNIONE PISMO POLSKIE

# KURJER WARSZAWSKI.

**Wychodzi codziennie przy współpracownictwie najpierwszych sił literackich, w dni powszednie wieczorem, a w Niedziele i Święta rano.**

Nadto wychodzą stale w dni powszednie, z wyjątkiem dni poświątecznych:

## BEZPŁATNE DODATKI PORANNE,

zawierające wszelkie najnowsze wiadomości z ostatnich 12-tu godzin. Tym sposobem czytelnicy otrzymują tygodniowo 7 półtora do dwuarkuszowych numerów głównych i 5 półarkuszowych *dodatków porannych.*

## KURJER WARSZAWSKI

liczący rok 74-ty istnienia i jest w stosunku do bogatéj i urozmaiconéj swéj treści

**NAJTANSZEM PISMEM POLSKIEM.**

**Warunki prenumeraty:**

(wraz z dodatkiem porannym)

**w Warszawie:** rocznie rs. **9**, pół rocznie rs. 4 kop. **50**, kwartalnie rs. 2 kop. **25**, miesięcznie kop. **75**.

Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie kop. **5**.

**Na Prowincyi i w Cesarstwie:** rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3, miesięcznie rs. **1**.

**Za Granicą:** rocznie rs. 18, półrocznie rs. 9, kwartalnie rs. 4 kop. **50**, miesięcznie rs. 1 kop. **50**.

**Warunki ogłoszeń:**

**Małe** ogłoszenia: za jeden *wyraz* po 2 kop. każdy raz.

**Zwyczajne** ogłoszenia: za jeden wiersz petitowy albo jego miejsce pierwszy raz **10** kop., każdy następny raz kop. **8**.

**Nekrologia:** za jeden wiersz kop.

**Reklamy:** za jeden wiersz garm towy albo jego miejsce pierwszy **25** kop., każdy następny raz **20** k

**Nadesłane:** za jeden wiersz garm towy rs. **1**.

Na szczególną uwagę zasługuje dział *własnych telegramów* Kurjera. W felietonie *Kurjer Warszawski* drukuje przeglądy literackie i artystyczne, n nowsze romanse, powieści, nowelle i humoreski najznakomitszych autorów polskich, nauka i sztuka traktowane są przez najznakomitszych popularyzator W programat *Kurjera Warszawskiego* wchodzą przeglądy polityczne, artykuły wstępne w sprawach społecznych, ekonomicznych, oraz innych bieżących krajow i zagranicznych, wiadomości administracyjne tak miejscowe, jako też z prowincyi i innych krajów; głosy gazet russkich i zagranicznych; sprawozdania sądo i porady prawne, sprawozdania, kursa i telegramy giełdowe, zbożowe i z handlu wszelkiemi innemi produktami: odpowiedzi od redakcyi na wszelkie zapyta czytelników; wiadomości kościelne i urzędowe, wykazy wylosowanych papierów publicznych; logogryfy, szarady, zadania arytmetyczne, szachowe i t. p., wresz ogłoszenia prywatne.

Wielka poczytność „Kurjera Warszawskiego" czyni go **najodpowiedniejszem pismem dla wszelkich ogłoszeń.** Pocz nosć ta, którą co najmniéj na kilka kroć sto tysięcy osób liczyć można, w połączeniu ze znakomitą liczbą exemplarzy w jakiej „Kurjer Warszawski" się odb zapewnia ogłaszającym się w nim najlepsze rezultaty i robi owe ogłoszenia w porównaniu z innemi pismami, nietylko **najtańszemi** ale samo przez **niezmiernie taniemi.**

Wszelkie zlecenia ogłoszeniowe lub prenumeracyjne tak z miasta jak i z prowincyi natychmiast są załatwiane.

**Przedpłatę przyjmuje się w każdym czasie, licząc jéj termin od każdego 1-go według kalendarza nowego stylu.**

Adres: Administracji „Kurjera Warszawskiego", Plac Teatralny Nr. 9. telefonu Nr. 517.

---

# Biblioteka

## NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW LITERATURY EUROPEJSKIEJ

*wychodzić będzie i w roku przyszłym pod kierunkiem literackim*

*PIOTRA CHMIELOWSKIEGO,*

*starając się jak dotychczas aby te najszczytniejsze myśli, najszlachetniejsze uczucia, najczystsze ideały, ja stanowiły i stanowią najwyższy wykwit cywilizacyi europejskiej w formie słowa, uczynić dostępnemi ogółow by stopniowo ułożyć taki zbiór książek, z któregoby można wyrobić sobie za pośrednictwem własne czytania, dokładne pojęcie o literaturach, wszechświatowe mających znaczenie.*

*W roku przyszłym 1894 zamierzamy pomieścić w naszej bibliotece między innemi następujące utwory:*

**Poemata Byrona** w tłomaczeniu *Mickiewicza, Odyńca, Morawskiego, Kasprowicza* i innych.

**Dramata Eschila** w przekładzie *Kazimierza Kaszewskiego.*

**Filozofię sztuki H. Taine'a** w tłómaczeniu *Antoniego Sygietyńskiego.*

**Dzieje literatury powszechnej z ilustracyami** opracowane siłami zbiorowemi a mianowicie: literaturę francuzką, włoską, hiszpańską w. XVIII przez *Edwarda Porębowicza.*

**Rozprawy literackie** *Eleonory Ziemięckiej.*

racyjna wynosi **w Warszawie** i **na prowincyi** oraz **w Cesarstwie** rocznie rs. **6**, półrocznie **3**, kwartalnie **1**. kop. **50**.

**Adres:** Księgarnia nakładowa **S. Lewentala**, Nowy-Świat Nr. 41.

# NUMER NOWOROCZNY.

## ANNA Z POSAGIEM.

KOMEDJA W JEDNYM AKCIE

przez

Józefa Blizińskiego.

OSOBY.

SEDZIA.
ADWIGA, jego córka.
Pani LEONOWA, przyjaciółka Jadwigi.
JAN.
ALBIN.
LUDWIK.
FRANCISZEK, lokaj.

ecz dzieje się w Galicji, na wsi, w domu sędziego.

*alny umeblowany ze smakiem. Drzwi tro- głębi z głównem wyjściem, dwoje po bo- prawej stronie od publiczności kanapa, kilka krzeseł, po lewej stoliczek i dwa fotele, strony zwierciadło stojące, w głębi po obu stro- drzwi głównych konsole itd. Okna dwa, jedno wej strony wychodzące na dziedziniec, drugie z lewej na ogród.*

### SCENA I.

LEONOWA (*siedzi w fotelu przy stoliczku z le- rony i czyta list*). JADWIGA (*wsparta na poręcz za nią, trzymając w ręku fotografję, której się przypatruje*).

P. LEONOWA.

Data na liście jest 15-ty czerwca; prezesowa wy- raźnie pisze: „za dwa tygodnie..." a to już dziś, chwa- a Bogu, 28-my. Jutro Piotra i Pawła, pojutrze nie- dziela. założyłabym się, że przyjedzie na te dwa święta... zobaczysz!

JADWIGA (*przypatrując się ciągle fotografji*).

I ja tak myślę...

P. LEONOWA (*podnosząc ku niej głowę*).

Cóż się tak przyglądasz... Niema znowu tak da- ece czemu...

JADWIGA.

Dosyć przystojny.

P. LEONOWA.

ok- (*przyglądają się obie*), istotnie, wszystkie y ładne... ale... (*potrząsa głową*) jest w cało- dla mnie wstrętnego; ta cała poza wymanie- ten uśmiech stereotypowy, ten wyraz, a ra- brak wyrazu w oczach...

JADWIGA.

E, to może być wina fotografji...

P. LEONOWA.

dzie to robione?... nie patrzyłam... w Berlinie.. zo dobra fotografja, ale... wiesz jakbym określiła harakter?

JADWIGA.

aw (*idzie na środek sceny*).

P. LEONOWA.

y, zarozumiały, rozmiłowany w swojej po- wności i, co za tem idzie, samolub do naj- go stopnia...

JADWIGA.

ślicznie? I to Karolcia odzywa się tak nie ;usku o nieobecnym, który nie może się

P. LEONOWA.

O! moja droga, Karolcia ma już doświadczenie, okupione ciężkiemi próbami; nabyła daru instynktowego odgadywania ludzi.

JADWIGA.

Ale przecie nie z fotografij, które najczęściej niepodobne.

P. LEONOWA.

I niepodobne i nie na korzyść zwykle, to prawda, ale wiesz dlaczego? Bo rzadko kto odbije się z tym samym wyrazem twarzy, który przybiera, jak maskę wobec ludzi. Każdy siadając usiłuje być dobrze i drapuje się, jak może, ale pod wpływem przymusu, którego panowie fotografiści nadużywają, mało kto wytrwa, piętnując oblicze zniecierpliwieniem. I tak...

JADWIGA (*przerywając*).

Zlituj się, odłóż na bok tę artystyczną erudycję, bo gotowaś wmówić we mnie już naprzód, że pan Albin wbrew hymnom pochwalnym prezesowej...

P. LEONOWA (*podchwytując, śmiejąc się*).

Nie odpowie marzeniom? bądź cierpliwa, wkrótce będziemy mogły robić spostrzeżenia na oryginale; zresztą ja nic nie przesądzam; tak mi się zdaje i koniec... (*po chwili, spojrzawszy jeszcze raz na portret*). Ale bądź jak bądź, nigdy nie wytrzyma porównania z Jasiem (*rzuca fotografję na stół*).

JADWIGA (*zamyśliwszy się nagle*).

Z panem Janem?

P. LEONOWA.

Kiedy już ta materja na stole, powiedz mi, jak myślisz zachować się w tej całej sprawie...

JADWIGA (*ze smutnym uśmiechem*).

Zdaje mi się, że jedną tylko mam drogę: trafia mi się konkurent, człowiek, jak pisze prezesowa, majętny, przyzwoity i odpowiedni dla mnie pod każdym względem, więc rada mu będę niewymownie.

P. LEONOWA (*z wymówką i jakby strofując ją*).

Jadwisiu!

JADWIGA.

Nie podoba ci się? więc pomówmy bez żartów— poważnie... Znasz bardzo dobrze moje położenie: mam lat dwadzieścia i jestem, rzecby można, bez opieki; ojciec wprawdzie człowiek najpoczciwszy i zacny, ale widzisz sama, czy stworzony na przewodnika młodej panny. Gdy więc z konieczności muszę sama myśleć o sobie, cieszyć mi się wypada zapowiedzianem przybyciem pana Albina, który posiada wszystkie wymagane przez opinję tytuły na konkurenta.

P. LEONOWA.

Podobno tak się to dziś dzieje najczęściej. Nim serce przemówi, potrzebuje przejrzeć dowody legitymacyjne. Ale chociażby przypuścić, że to dobrze, że traktując kwestję małżeństwa na zimno, oszczędzamy sobie wiele cierpień; to, wracając do Jasia— chciałam mówić do pana Jana—czy i ten nie przedstawia się w tych samych warunkach? czy nie posiada wszystkich cech starającego się i zakochanego?

JADWIGA (*z wybuchem*).

On! żartujesz sobie... on zakochany! czy dlatego, że jako bliski sąsiad pożycza mi książek do czytania, a jako amator ogrodu przywozi kwiaty?... on! tak zawsze poważny, pełen uszanowania...

P. LEONOWA.

Czy masz mu za złe, że cię szanuje?

JADWIGA.

Nie łapże mnie za słówka, wiesz dobrze, co chcę powiedzieć...

P. LEONOWA.

To wszystko ja sobie inaczej tłumaczę.

JADWIGA (*żywo z lekceważeniem*).

Myślisz o stanowisku majątkowem?

P. LEONOWA.

W tej mierze na pozór dałoby się zrobić mu pewne zarzuty—ale tylko na pozór. Zaraz ci to wytłumaczę cyframi, bo mówmyż już, jak spekulantki, kiedy to teraz w modzie. (*Jadwiga niecierpliwi się.*) Jest tylko dzierżawcą, a ty ze względu na twój posag powinnaś iść za dziedzica; ale w obecnym razie o cóż idzie? tylko o przekonanie, że nie stara się o twój posag, lecz o ciebie. Sprawa pana Jana powinna znaleźć poparcie w własnym twoim instynkcie, bo, że cię kocha, niema wątpliwości. Spekulant byłby w tym razie natrętny, jemu przeciwnie potrzeba by zachęty, pewności...

JADWIGA (*z wybuchem*).

Mamże rzucić mu się na szyję i powiedzieć: weź mię za żonę, bo suchot dostanę? (*miarkując się z niechęcią*). Naprzód suchot nie dostanę, zaręczam ci, wyszły już z mody tak samo, jak miłość sentymentalna... jak Ludomiry i Malwiny.

P. LEONOWA.

Być może... ale znów dlatego, że on nie chce postępować lekko w tak ważnej sprawie, ty gotowa jesteś przychylnie przyjąć natrętne zabiegi jakiegoś nieznanego ci, może z wyschłem sercem egoisty...

JADWIGA.

Dlaczegóż koniecznie posądzać go o egoizm?

P. LEONOWA.

Jeżeli ktoś zasłyszawszy o pannie, którą mógłby być stosowną dla niego partją, poweźmie myśl starania się o jej rękę, to stara się naprzód, nie przybierając charakteru, że tak powiem, urzędowego, poznać wnętrze tej, którą pragnie mieć swoją towarzyszką na całe życie... (*biorąc fotografję*) ten zaś zapowiada, obwołuje swoje przybycie, jak gdyby był przekonany, że to już zapewni mu dobre przyjęcie!... (*ciskając ją o stół*). Nie cierpię go, chociaż go jeszcze nie znam! (*Po chwili.*) Zresztą wiesz, co ci powiem w sekrecie? co wywnioskowałam tylko z moich spostrzeżeń.. Ty kochasz Jasia... (*poruszenie Jadwigi*) o! kochasz go...

JADWIGA.

Ja!... (*śmieje się z przymusem*). Powiadam ci, że mylisz się najzupełniej, lubię go i bardzo nawet, nie zapieram się tego, ale serce moje nie bije przy nim silniej, za to ci ręczę.

P. LEONOWA.

Naprzód zmyślasz... (*poruszenie Jadwigi*). Przepraszam za wyrażenie... a zresztą sama dziś możesz być w błędzie. Widujesz go bardzo często, bawicie się, kiedy chcecie, wolno ci słuchać jego słów, przyjmować dowody jego zajęcia się. Ale gdy klamka zapadnie!... wówczas...

JADWIGA (*rozdrażniona*).

Proszę cię, zmieńmy przedmiot rozmowy...

Pani LEONOWA (*patrzy na nią długo*).

Jak chcesz...

JADWIGA (*po chwili j. w.*).

Zrobiłaś mi przyjacielską usługę... wprawiłaś na cały dzień w humor najniegodziwszy... Przy purzymie, jaki pod tym względem wyznajesz, kojarzenie się par stosownych dla siebie byłoby niemożliwem.

P. LEONOWA (*zimno*).

Rób jak chcesz... (*po chwili.*) Jaką suknię weźmiesz jutro? (*bierze drugą książkę.*)

JADWIGA (*po chwili, przerzucając kartki bezmyślnie*).

Nie myślałam o tem jeszcze...

---

## SCENA II.

JADWIGA, P. LEONOWA, LUDWIK (*wchodzi drzwiami w głębi i, spostrzegłszy obie kobiety, zatrzymuje się*).

LUDWIK (*na str.*).

Co za uroczyste milczenie!... literatura!... (*na palcach zbliża się ku nim i, stanąwszy za Jadwigą, patrzy w jej książkę, nagle wybucha śmiechem*). Ha, ha, ha!

JADWIGA (*oglądając się i rzucając książkę na stół*).

Zkądże się pan wziął, przestraszyłam się... (*Ludwik ciągle się śmieje.*) Czego pan się śmiejesz? bardzo grzecznie!

LUDWIK (*rzucając się na kanapę ze śmiechem*).

Nie wiedziałem, że panna Jadwiga umie czytać po chińsku...

P. LEONOWA.

Po chińsku?

JADWIGA (*urażona*).

Cóż znowu za koncept?

LUDWIK.

A tak! do góry nogami... podobno chińczycy tak piszą...

JADWIGA (*zimno*).

Nie rozumiem; przywidziało się coś panu... (*bierze napowrót książkę. Pani Leonowa spogląda na nią, uśmiechając się ukradkiem, poczem także udaje zajętą czytaniem. Chwila milczenia*).

LUDWIK (*uważając je n. str.*).

Czy się pogniewały o co? (*wstaje i zbliża się ku nim*). Powiedzcie mi, panie, zkąd ta nienormalność humorów?... Zkąd ten dąs na usteczkach, które zdaje się stworzone na to tylko, aby kwitły wiecznie uśmiechem?... (*Jadwiga niecierpliwi się*). Zkąd ten giest, wprawdzie pełen powabu, ale tchnący niechęcią? (*Milczenie, innym tonem.*) Albo krócej wytłumaczcie mi panie, o co poszło? może będę tak szczęśliwy, że jako rozjemca... (*p. chw.*) Milczenie?

P. LEONOWA (*kładzie książkę na kolanach i patrzy na niego śmiejąc się*).

Ha! ha! ha! Jakiś pan zabawny!

LUDWIK (*poważnie*).

To nie jest odpowiedź, a ja umieram z żądzy dowiedzenia się prawdy... (*spostrzegłszy na stole fotografję*). Aha! mam klucz od zagadki! (*porywa ją*) mam tego szczęśliwego śmiertelnika, który może ani się domyśla, że tu o niego staczają się walki...

JADWIGA (*niekontenta*).

Oddaj pan! proszę bardzo...

LUDWIK (*usuwając się*).

Niech go zobaczę... bo jakkolwiek domyślam się potrosze, ale...

P. LEONOWA (*prędko*).

Wątpię bardzo... osoba zupełnie nieznana i dziwię się, że Jadwisia dopomina się zwrotu, tak, jakby ją to obchodziło...

JADWIGA (*pomiarkowawszy się*).

To prawda... ale mogło to być coś takiego, że panu nie wolnoby wiedzieć... Niedyskrecja zostaje zawsze niedyskrecją...

LUDWIK (*odstąpiwszy parę kroków i oglądając fotografję*).

Cóż to jest za lala?

P. LEONOWA (*z uśmiechem*).

Dlaczegóż lala?

LUDWIK (*przypatrując się*).

Jakże pani chcesz, abym nazwał tę osobistość, która ma napisane na czole, a raczej na wąsikach w sznureczek skręconych i na misternem przepołowieniu głowy, że kilka godzin spędziła nad tem ważnem zajęciem. Mamże to nazwać człowiekiem? *Fi donc!* kładę ten okaz szanowny. Ale któż to jest?

JADWIGA.

Trzeba było się spytać odrazu, a nie miałbyś pan na sumieniu niesprawiedliwości, jaką może popełniłeś, sądząc zbyt pośpiesznie nieznajomego.

LUDWIK.

Aj! do licha! (*n. str.*) cóż to za dygnitarz? (*głośno*) pani wie, że u mnie zbajać się, jak to mówią, to rzecz powszednia... (*do p. Leonowej*). Więc to jest?

P. LEONOWA.

Obywatel jeden z sanockiego... człowiek podobno bardzo porządny...

LUDWIK (*idąc do stoliczka i przypatrując się fotografji*). Otworzyłaś mi pani oczy, że też to mi nie przyszło do głowy!... wszak z jednych i tych samych danych rozmaite wnioski dadzą się wysnuwać. Rzeczywiście ubrany bardzo porządnie... szyk bije w oczy...

JADWIGA.

Nieznośny pan jesteś czasem...

LUDWIK.

Szczęściem, że tylko czasem... (*widząc zniecierpliwienie Jadwigi*). Przez litość, darujcież mi panie przewinienie... przepraszam najuroczyściej, gotów jestem nawet przeprosić tego jegomości, notabene, jeżeli się przekonam, żem się omylił. Powiem mu: panie! sądy powierzchowne są zazwyczaj mylne, wnioskując o panu z pozoru, pozwoliłem sobie...

P. LEONOWA.

Przestańże już pan... cóż za przekora! (*chcąc odwrócić rozmowę.*) Oto, lepiejby było, gdybyś pan sobie przypomniał daną obietnicę, na której spełnienie czekam napróżno przeszło od miesiąca... A, już przyznam się, że lenistwo nie do darowania...

JADWIGA (*z przekąsem*).

Wada wspólna większej części znakomitości literackich...

LUDWIK.

Złośliwość?...

P. LEONOWA.

Na którą pan zasłużyłeś...

LUDWIK.

Niechże mi pani wytłumaczy za co, bo nic nie rozumiem.

P. LEONOWA.

Czy napisałeś mi pan obiecany wiersz do albumu?

LUDWIK.

Ach! napiszę, ale daj mi pani chwilę czasu, bo obecnie jestem przeciążony pracą. Za to, jeżeli panie usposobione do słuchania, mogę przeczytać kilka wyjątków z Paprockiego, wyciągniętych umyślnie do drzewa genealogicznego, którem się zajmuję z urzędu... (*dobywa papiery i siada przy stole*).

P. LEONOWA.

Nie ciekaweśmy wcale tych mądrych rzeczy.

JADWIGA.

Kiedyś pan tak wziął do serca to drzewo genealogiczne, jako poeta mógłbyś sobie dopomódz fantazją, a razby się to już skończyło...

LUDWIK.

A wie pani, jest to myśl, nad którą warto się zastanowić i jeżeli tylko da się to pogodzić z zaufaniem, jakie pokłada we mnie pan sędzia... (*znalazłszy potrzebne papiery*). Mam zacząć?...

FRANCISZEK (*we drzwiach w głębi*).

Jaśnie pan prosi pana do siebie...

LUDWIK.

Masz tobie! (*chowając papiery*) przypadek dopomógł paniom, bo inaczej nie darowałbym ani litery. (*Do Franciszka z powagą.*) Powiedz jaśnie panu, że pan zaraz idzie... (*do kobiet*) Na drugi raz zamawiam sobie przychylniejsze ucho... (*n. str. wychodząc*) Intryguje mnie jednak ta fotografja.

---

## SCENA III.

JADWIGA, P. LEONOWA.

JADWIGA (*chowając fotografję*).

Szkaradny człowiek z tą swoją ciekawością... wszystko dojrzy, każde słówko podsłucha...

P. LEONOWA.

To nie jest wcale zwyczajna ciekawość, tylko dar spostrzegawczy, bystrość... Bronię go, bo to mój faworyt.

JADWIGA (*jeszcze rozdąsana*).

Próżniak, w którego wmawiacie, że jest poetą... Doprawdy nie wiem, co tam widzicie w tych jego... (*ironicznie*) utworach... (*wstaje*).

P. LEONOWA (*wstając także*).

Pozwolisz, że talent ma, ale potrzebuje jeszcze wypalić wewnątrz siebie bogatą rudę, którą obdarzyła go natura, aż z tego wyjdzie szczery kruszec. (*Słuchając.*) Tentent konia... (*idzie do okna na prawo*). Pan Jan, (*prędko*) chodźmy do siebie...

P. LEONOWA.

Dlaczego?... ja zostaję...

JADWIGA.

Jak chcesz... (*wybiega zatrzymując się we drzwiach*). Ale nie, pójdź i ty, Karolciu, proszę cię; muszę się z tobą jeszcze rozmówić... potrzebuję twojej rady... prędzej, prędzej... (*ciągnie ją za rękę*) już idzie... (*zamykają się drzwi za nimi, gdy Jan wchodzi*).

---

## SCENA IV.

JAN (*wchodząc prędko z bukietem róż i innych kwiatów, dostrzega suknie we drzwiach; wesoło*).

Cóż to znaczy? zsiadając z konia, widziałem ją w tem oknie. I uciekła przede mną! (*zbliża się ku drzwiom, któremi wyszły*). Gdyby się to zgadzało z mojemi wyobrażeniami o przyzwoitości, gotówbym zajrzeć przez dziurkę od klucza... (*żartobliwie*), a jeżeli też ona ... to właśnie wybiegła, aby tą samą drogą mog... pojrzeć na mnie... panienki to l... bią ... bukietem do ...

*z lewej strony drzwi w głębi i wkłada go u...* Szaleńcze! szaleńcze! że też nie pozbędziesz... kiej natury... (*śmiejąc się*). Pretensjonaln... studenta z piątej klasy... (*wracając na prz... spoglądając znowu na drzwi*). Ona! Jadwisia! ... lik wymarzony... ją podejrzewać o coś pod... gdy dziś już mam prawie pewność, że nie j... obojętnym... o tak! te oczy kłamać nie m... *chwili*). O mój Boże... czy ja się znowu nie ł... nie dopuszczam się wprost szaleństwa?... ale nie próba trwała zbyt długo... dziś już stanowczy kr... robię nieodwołalnie... (*składając ręce i zwrócony k... drzwiom*). O! Jadwisiu moja najdroższa... jak ja d... mny, jak silny będę, gdy ty wesprzesz się na mojem ramieniu, gdy główkę utulisz na moich piersi...

---

## SCENA V.

JAN, LUDWIK (*wchodzi głębią*).

LUDWIK.

Czy ty pacierz mówisz?

JAN.

Ludwik!

LUDWIK.

Skończyłeś?

JAN (*z uśmiechem*).

Skończyłem.

LUDWIK.

No, to jak się masz... (*kręcąc nosem*) ... Świeże kwiaty... róże! fiu! fiu, znać pana ... wach. Powiedz mi zkąd ty je bierzesz i w ... borze? Tu jest także ogród, a...

JAN.

Pielęgnuję sam...

LUDWIK.

A! masz też i bodźca do pielęgnowania... zbytu, gdzie je korzystnie spieniężasz...

JAN (*z uśmiechem, biorąc jego rękę*).

Czy w istocie rozumiesz?

LUDWIK.

O! ja bardzo wiele rzeczy rozumiem, jednego pojąć nie mogę, dlaczego tak mało masz d... zaufania...

JAN.

Mój drogi, gdy człowiek sam ma wątpliwoś... jest skłonnym do zwierzeń. Zwierzamy się ... z czemś pomyślnem, lubimy dzielić się naszem ... ściem... ale cierpienia, niepewność, walki, cho... w sercu dla siebie. Tak ja przynajmn...

LUDWIK.

Alboż ty nie jesteś szczęśliwy?

JAN.

Ja?... (*po chwili*). O! tak, dziś jestem szcz... bo przedsiębiorę krok najważniejszy w moje... ciu... a skoro zrobiłem już to postanowieni... (*wstrząsając jego ręką*) wszak ty mnie znasz L... ku, patrzysz na mnie i odgadujesz to, co dla i... jest niedostrzeżone... Czy wierzysz, że przyst... do tego z czystem sumieniem?

LUDWIK.

Czyżbym śmiał wątpić?

JAN.

Badałem nietylko ją... bo wszak nie potrzebuję c... objaśniać, o czem i o kim mówię... (*Ludwik z uśmiechem przyświadcza gestem*) nietylko ją, ale i siebie... Nie dowierzałem własnemu uczuciu, musiałem ... przekonać, że ono jest tak głębokie i czyste, bez ... dnej brudnej myśli, iż mam prawo sięgnąć po te... skarb, który inaczej byłby dla mnie zakazanym, ch... babym chciał zniżyć się do roli powszedniego speku... lanta. Dziś próba skończona, mogę wyznać z wzn... sionem czołem, że ją kocham bezinteresownie, że n... zbraknie mi sił do zrzucenia z siebie ubliżającego p... sądzenia, jakiem mię świat bez wątpienia obrzuci...

LUDWIK (*wzgardliwie*).

Na podobne małostki bym nie zważał. Gdyby ... sy takie dały się słyszeć, już sama ich treść św... czyłaby dobitnie o wartości głów, w których się ... lęgły...

JAN.

Ludwiku, czemu nie mówisz szczerze? Cz... w podobnem położeniu nie robiłbyś skrupułów? (... *dwik spuszcza oczy.*) Czy ty nie byłbyś jeszcze ... żliwszym ode mnie?

LUDWIK.

No tak, być może... ale... (*nie, wiedząc ... dzieć*) to wszystko są rzeczy względne.

JAN.

Wiem dobrze, jak o tem trzymasz. W ... mojego położenia, powiem ci na moje u... wienie... (*zniżając głos*) przekonałem się ... widzi moje zabiegi...

LUDW...

Wi... o tem dawn...

JAN ...

LUDWIK.

Rozumie się. A więc w imię Boże! mnie nie pozostaje jak tylko życzyć ci powodzenia (*wracając do żartobliwego tonu*). A może ci w czem pomódz?... Ojciec bo ci nie będzie przeszkadzał... ale pani Leonowa?... gotów jestem nawet umizgać się, co mię nie będzie wiele kosztować, upewniam cię. Napiszę wiersz, co?...

JAN.

Pustaku! daj pokój... chyba, że chcesz na swój rachunek...

LUDWIK.

Kobieta bardzo rozsądna...

JAN.

Przeszła ona wiele doświadczeń, zaprzedana jak prosty towar. Mając znaczny posag, padła ofiarą opiekunów.

LUDWIK.

Słyszałem... Ty bo ze strony naszego opiekuna i papy dobrodzieja nie napotkasz zapewne żadnej przeciwności.

JAN.

Tylko proszę cię, sądź go z pobłażaniem...

LUDWIK.

Bądź spokojny, nikt go lepiej nie zna ode mnie. A zresztą, od czegóż wdzięczność? miałżebym zapomnieć, że nie pożałował mi dachu i kawałka chleba?... (*znowu żartobliwie*). Wynudzi mię, bo wynudzi nieraz kapitalnie, to prawda... ale też za to Eldorado! żadnego kłopotu na głowie, dobry stół... przyznam się, e to nie izdebka pod strychem przy ulicy Gołębiej, mleczko na śniadanie i dwie pół porcje na obiad u Andzi...

JAN.

A jednak wzdychałeś do tej izdebki pod strychem, do tej niezależności, tak pożądanej każdemu.

LUDWIK (*zmieniając ton*).

I wzdycham jeszcze...

---

## SCENA VI.

Ciż.—SĘDZIA.

SĘDZIA (*wchodzi szybko drzwiami z prawej strony. Do Ludwika z delikatnym wyrzutem*). Fe!... wstydź się, Ludwiku... zawsze cię muszę szukać, gonić... Czy zapomniałeś, że zaczęliśmy porządkowanie tych notat?...

LUDWIK (*strapiony*).

Notat?

JAN.

Witam pana sędziego (*całuje go w ramię*).

SĘDZIA (*ściskając jego rękę*).

Jak się masz! (*do Ludwika*). Jakże można.. E!

LUDWIK.

Ale, panie sędzio...

SĘDZIA (*klasnąwszy językiem z nieukontentowaniem*).

Żadnego ale... wstydź się... (*do Jana, dobywając kieszeni, papierów.*) Wystaw sobie, przed pół godziną posyłam do niego Franciszka, ażeby go poprosił na chwilkę do mnie... Czekam... czekam...

LUDWIK.

Przepraszam, pośpieszyłem natychmiast!

SĘDZIA.

No, mniejsza o to... przypuśćmy... Ale cóż, ledwo przyszedł...

LUDWIK (*podchwytując*).

Wchodzi kucharz...

SĘDZIA.

Tak. Proszę go więc, aby parę minut zaczekał, eczywiście kwestja była dosyć ważna... (*nawia-* Chodziło o próbę nowego sosu, któryśmy oby- wykoncypowali...

LUDWIK.

otabene z kucharzem, nie ze mną...

SĘDZIA (*nie uważając na tę przerwę*).

Zagadałem się, a ten, wystaw sobie, uciekł...

LUDWIK.

Uważałem, że sesja rozciąga się do wymiarów nieskończonych, więc...

SĘDZIA (*przerywając*).

U ciebie to wszystko łap cap... aby zbyć...

JAN (*z uśmiechem*).

No, no... Wszak to jeszcze do naprawienia. Ludwik właśnie w tej chwili miał iść...

SĘDZIA (*udobruchany już*).

Masz przy sobie to, coś wypisał?

LUDWIK.

Zdaje mi się, że mam... (*szuka w kieszeni. Słychać turkot i trzask z bicza*). Ktoś jedzie...

SĘDZIA.

Co to?... masz tobie!... człowiek nie może chwileczki czasu mieć na zajęcia poważne...

LUDWIK (*w oknie po prawej stronie*).

Któż to jest?... nie znam go... Powóz, cztery konie w świecących szorach...

SĘDZIA.

Czy kto nieznajomy?... (*z niezadowoleniem*) Aj! czy to czasem nie ten z sanockiego, jakże to tam... którego przybycie prezesowa zapowiadała już przeszło od tygodnia...

JAN (*w oknie*).

W istocie... Albin Krucki z sanockiego... nie wiedziałem, że państwu znajomy...

SĘDZIA.

Poznałem go w roku zeszłym u wód... oświadczył się z wizytą... (*żywo.*) Ty się z nim znasz?

JAN.

Mój kolega szkolny.

SĘDZIA.

A to chwała Bogu; przyjmiesz go, bo ja nie mam w tej chwili czasu... uciekam z Ludwikiem.

LUDWIK (*w oknie*).

Wysiada! (*n. s.*) Teraz i ja go poznałem...

SĘDZIA (*do Ludwika*).

Pójdź... (*chowa napowrót papiery do kieszeni*).

LUDWIK (*prędko do Jana*).

Przed chwilą panna Jadwiga z panią Leonową oglądały z zajęciem fotografję tego jegomości... i kryły się z nią.

JAN (*zdziwiony*).

Żartujesz...

LUDWIK.

Poznałem go, powiadam ci, ten sam...

SĘDZIA (*nagle*).

Ale!... kolacja... trzebaby pomyśleć o kolacji... (*Do Ludwika*) Mieli przynieść raki... nie wiesz, czy rybak był?

LUDWIK (*żywo*).

Pójdę się dowiedzieć.

SĘDZIA.

Nie, nie... poślę Franciszka... do licha, szparagi zjedliśmy na obiad... pójdź, pójdź, żeby nas nie naszedł... (*do Jana.*) Powiedz, że jestem u gospodarstwa... (*wychodzi z Ludwikiem na prawo*).

---

## SCENA VII.

JAN (*idzie do drzwi, które otwiera* FRANCISZEK, *i w nich ukazuje się* ALBIN, *ubrany podług najświeższej mody, prawie z przesadą, sztywny, zakuty w formy*).

ALBIN (*po ukłonie przygląda się Janowi przez binokle i waha się—do siebie*).

Któż to jest?... (*ogląda się*). Gospodarza niema... (*głośno*). Komuż mam przyjemność prezentowania się, bo...

JAN.

Nie poznajesz dawnego znajomego?... czym się tak zmienił?

ALBIN (*przygląda mu się.*) Prawdziwie...

JAN.

Przypominasz sobie w szkołach krakowskich Jana, któregoście zwali literatem?

ALBIN.

Ach!... Korczański Jan... prawda... (*podają sobie ręce*). Nie widzieliśmy się od szóstej klasy.

JAN.

Podobno, gdzieżeś się ty wówczas podział?... myślałem, że przeszedłeś do Dublan, ale później cię tam nie spotkałem...

ALBIN.

Pojechałem za granicę.

JAN.

Kończyć nauki? bardzo chwalebnie... I do którejże szkoły?

ALBIN.

Zabawnyś... rzeczywiście do szkoły najpierwszej w świecie... dystyngowanego obejścia i elegancji, bo, pojmujesz, że bez tego ani rusz, chcąc mieć wstęp do śmietanki towarzystwa...

JAN (*śmiejąc się*).

Zdaje mi się, że śmietanka, która tego przedewszystkiem wymaga, jest niedowarzona...

ALBIN.

Och! widzę już z tych słów, na coś wyszedł... (*śmieje się*) deklamator! deklamator! Ale, za pozwoleniem, zaczynamy gawędkę swobodnie, jak u siebie... gdzież jest gospodarz domu? gdzie panna... jakże... Jadwiga, zdaje mi się?... Czy tu jesteś wicegospodarzem?

JAN.

W tej chwili, tak, prawie... Sędzia zajęty gospodarstwem i wkrótce zapewne nadejdzie. Z paniami sam się jeszcze nie widziałem, przybyłem także dopiero przed pół godziną.

ALBIN.

Z paniami? jakież tu są panie?

JAN.

Przy pannie Jadwidze bawi obecnie jej przyjaciółka, starsza trochę od niej, pani Leonowa...

ALBIN.

Wdowa?

JAN.

Nie... rozwódka.

ALBIN.

Hm! rozwódka... mentorka... na to, żeby psuć pannie w głowie...

JAN.

Poznaj ją naprzód, dopiero sądź.

ALBIN.

Przystojna? majętna?

JAN.

Przystojna? jak w czyim guście... majętna? zdaje mi się... Przynajmniej wiem, że, idąc za mąż, miała znaczny posag.

ALBIN.

Który mąż zapewne zagarnął... A panna Jadwiga jak jest?... (*Zmieniając ton i nie czekając odpowiedzi.*) Brzostowice, czy to ładny majątek?... na oko przedstawia się dosyć pokaźnie...

JAN (*zniecierpliwiony*).

Czyś przyjechał zbierać wiadomości statystyczne?

ALBIN (*śmiejąc się*).

Tak, prawie.... (*poprawia ubranie i włosy w zwierciadle i tak często robi w ciągu dalszej rozmowy*). Wyobraź sobie, z sędzią poznałem się w roku zeszłym w Karlsbadzie... smakosz, prawda?.. przez cały czas przeklinał niemieckie wasserzupki miał ciągły kłopot z djetą. Otóż, zaprzyjaźnił się ze mną tak, że musiałem mu przyrzec uroczyście, iż go odwiedzę w jego domu; do czego *entre nous soit dit* tem większą powziąłem ochotę, że sąsiadka moja, prezesowa Bylska, jakaś krewna sędziego, nagadała mi cuda o pannie Jadwidze... (*poruszenie Jana*) i wyprawiła do niej. Jeżeli wszystko tak jest, jak mówiła, to rzecz wartaby była zachodu... mówię ci to w zaufaniu, jako koledze...

JAN.

I ty tak rozumujesz, nie znając jej? czy ją kiedy widziałeś?

ALBIN.

Nigdy w życiu... ale wiem, że ładna... przypuszczam wreszcie, że tylko przystojna, nie garbata, nie kulawa, ani zyzowata... to dosyć... Przy tem dobrze wychowana, bo miała angielkę za kilkaset reńskich rocznie i posag coś około miljona, jak mi śpiewała prezesowa—cóż więcej potrzeba? Czy tylko to wszystko prawda?... powiedz-no mi otwarcie.

JAN.

Przedewszystkiem, skoro żądasz otwartości, winienem cię uprzedzić, że panna Jadwiga jest już tak, jak związaną słowem.

ALBIN.

E?... (*po chwili*). To być nie może. Prezesowa korespondowała z nią poprzednio i zaręczyła mi, że jest wolną... nikt nie stara się o nią.

JAN.

Bo na oko nic jeszcze stanowczego... świat może o tem nie wiedzieć; ale stosunek nie mniej istnieje, oparty na wzajemnej skłonności...

ALBIN.

I któż to jest?... jeżeli można zapytać bez niedyskrecji...

JAN.

Tyle ci tylko mogę powiedzieć, że jest to człowiek, kochający ją już od dwóch lat i zdający się być pewnym jej wzajemności.

ALBIN.

Ale cóż to za figura?... stary? młody? bogaty?

JAN.

Cóż to ma do rzeczy?

ALBIN (*śmiejąc się*).

Bardzo wiele... chcę wiedzieć, czy mogę mieć widoki do wystąpienia jako współzawodnik.

JAN.

Jakto? po tem, co się dowiedziałeś?

ALBIN.

Mój drogi, trudno, żebyś wymagał, abym dwadzieścia mil zrobił napróżno... kupić nie kupić—jak to mówią—to choćby potargować... Tylko chcę wiedzieć, jakie jest stanowisko tego pana, a z tego przecie nie potrzebujesz robić tajemnicy...

JAN.

Jest to człowiek młody, ze szczupłym majątkiem, ale...

ALBIN (*przerywa*).

Dosyć mi na tem... słowem, jakiś romans studencki.

JAN (*na stronie powstrzymując się*).

Co za męka!

ALBIN.

Przekonywam się, że prawdopodobieństwo wygranej jest po mojej stronie, zatem mogę popróbować szczęścia. Przedewszystkiem nie chciałbym wydać

ci się śmiesznym, już to wystrzegałem się zawsze śmieszności (*z fanfaronadą*) Uczono mię tego za granicą... (*zwykłym tonem.*) Nie mam bynajmniej pretensji, aby panna Jadwiga zakochała się we mnie na pierwszy rzut oka (*spoglądając w zwierciadło*), chociaż i co do tego mam pewne swoje przekonania... Okazałeś zdziwienie, że nie znając i nawet nie widząc nigdy panny, przybywam do niej w charakterze konkurenta... Czy myślisz, że ten jegomość, który kocha się w niej od dwóch lat, zna ją lepiej ode mnie? broń Boże!... (*Jan się niecierpliwi.*) Zaraz ci to wytłumaczę... każda panna, mająca chęć wydać się za mąż, obliczywszy rękojmie, jakie przedstawia ten i ów z pomiędzy wzdychających do niej, zaczyna od tego, że go zwodzi...

JAN (*który chodził po scenie—zatrzymując się*).

Zwodzi?... cóż przez to rozumiesz?

ALBIN (*rzucając się w fotel*).

Nic naturalniejszego. Wszystkie, ile ich jest, mają pazurki, ale nie chwalą się z niemi przed czasem. Wobec wybranego szczęśliwca każda swe instynkty osłania maską uśmiechniętą anielsko. A on czyż nie tak samo?... czy nie stoi ciągle na dwóch łapkach, z oczyma bacznemi na skinienie swojej lubej? Dziś, powiedziałem, panna na wydaniu wszystkie swoje wymagania chowa na po ślubie, tak, jak konkurent znowu okazuje gotowość na to wszystko, czego nigdy nie zrobi... I ci ludzie powiadają, że się znają dlatego, że się tak oszukują od dwóch lat!

JAN (*oburzony*).

Powiedz mi, z jakich ty faktów, z jakiej społeczności czerpałeś wzory do tej filozofji?

ALBIN.

Z jakiej społeczności? z naszej, z tej, w której obydwa żyjemy... Zresztą ja ci tam filozoficznie ani psychologicznie dowodzić nie będę, bo się w te rzeczy nie bawię, tylko przekonam cię faktem... Chcesz, trzymam zakład. Nie będę wcale podstępnie kopał dołków pod moim rywalem, tylko wprost przedstawię się w charakterze starającego się, dając delikatnie do zrozumienia, że w tym celu przybyłem... chociaż prawdę mówiąc i to niepotrzebne, bo ona już wie o tem.

JAN (*porywczo*).

To niepodobna!

ALBIN (*zdziwiony*).

Dlaczego niepodobna? cóż w tem nadzwyczajnego? (*uważa go—po chwili*). Mówiłem ci przecie, że prezesowa korespondowała z nią w tej materji, i zostałem niejako upoważniony do przybycia.

JAN (*na stronie z bólem*).

Ha! (*idzie do okna*).

ALBIN (*na stronie*).

Czyżby to on? (*po chwili obojętnie*). Powiedz mi, jakiego to rodzaju dom jest?... znasz ich dobrze?... dawno mieszkasz w tych stronach?

JAN (*rozdrażniony, siląc się na zimną krew*).

Trzeci rok...

ALBIN.

Kupiłeś co w sąsiedztwie?

JAN (*jak wyżej zawsze w oknie po lewej*).

Mam dzierżawę.

ALBIN (*na stronie*).

To on... niepotrzebniem się wypaplał (*głośno*). Dziwna rzecz, że nas zostawiają tak samych (*idzie także do okna*). Cóż to tam za dwie kobiety w tej lipowej ulicy... zapewne panna Jadwiga z tą panią.

JAN.

Tak.

ALBIN (*opiera się o okno i zakłada binokle—z zajęciem*).

Któraż panna Jadwiga? zaczekaj, czy też zgadnę... ta z tej strony...

JAN (*zaciskając zęby*).

Tak.

ALBIN (*śmiejąc się*).

Widzisz, zgadłem... dobry znak.. domyślność serca... A ta druga, to pani... jakże tam...

JAN.

Leonowa...

ALBIN.

*Pas mal...* niczego... (*biorąc kapelusz*). No, ale chodźmyż do nich, kiedy same do nas nie przychodzą... (*w zwierciadle*) zaprezentujesz mnie... Sędziego się chyba nie doczekamy... Cóż on robi?... musi być zawołany agronom...

JAN (*gorączkowo*).

Pójdźmy!... (*na stronie*). Ostatnia próba. (*Wychodzą głębią.*)

---

## SCENA VIII.

LUDWIK (*wchodzi szybko drzwiami z prawej*).

Siedziałem, jak na szpilkach... wymknąłem się sędziemu, który znowu zajęty sosem do raków... gdzież oni są? (*biegnie do okna z lewej*). A! w ogrodzie... Jaś go prezentuje... nie podoba mi się ten akcent poufały przy powitaniu... proszę, rozmowa ożywiona, jak gdyby się znali od dziesięciu lat... Jasiek, nieborak osowiały... Hm! przewąchuję jakieś głupstwo: to oglądanie fotografji, ta wizyta ni ztąd ni zowąd o tyle mil niezmiernie pachnie zapisanym umyślnie konkurentem... Pfe dalibóg, zajęta nim... idą we dwie pary... Jaś wlecze się obok Leonowej, jak na ścięcie... nic nie mówi... Ho! ho... muszę ja się w to wdać... tu trzeba energicznych środków... (*chce wyjść*).

---

## SCENA IX.

LUDWIK—SĘDZIA.

SĘDZIA (*wchodzi z prawej z papierami i ołówkiem w zębach*).

Zawsze mi się wymknie... pójdźno, siadaj... musimy przecież skończyć!

LUDWIK (*idąc napowrót do okna*).

Ale panie sędzio... oni tu chodzą pod lipami... ja muszą na nich patrzeć...

SĘDZIA (*siadłszy na kanapie przy stole*).

A niech sobie chodzą, co ci to zawadza... my korzystajmy z czasu.

LUDWIK (*tajemniczo*).

Pan sędzia, widzę, niczego się nie domyśla...

SĘDZIA.

Czego się mam domyślać?

LUDWIK (*j. w.*).

Że ten jegomość przyjechał tu w zamiarze starania się o rękę panny Jadwigi...

SĘDZIA.

Bardzo być może.

LUDWIK.

Czyż go pan sędzia zna? cóż to za jeden?

SĘDZIA.

Znam. Bardzo przyzwoity człowiek... ma dwie czy trzy wsie w samockiem...

LUDWIK.

To racja fizyka! mnie się nie podobał...

SĘDZIA.

Patrzcie go! fizjognomista!...

LUDWIK.

Taka wyprawa po posag o sto mil zakrawa na spekulację.

SĘDZIA.

O jakie sto mil?... co tobie w głowie?...

LUDWIK.

Sto czy dwadzieścia, wszystko jedno. Przysłowie mówi: kraść daleko, a blizko się żenić.

SĘDZIA (*niecierpliwiąc się*).

Idź-że sobie z swojemi przysłowiami ni w pięć, ni w dziewięć.

LUDWIK (*skwapliwie*).

No, to idę.

SĘDZIA.

Ej, bo mnie niecierpliwisz... siadaj.

LUDWIK.

To idź, to siadaj... (*idąc do stołu*) wszakże sam pan sędzia zauważył, że Jaś z panną Jadwigą mają się ku sobie...

SĘDZIA.

No to cóż ztąd?

LUDWIK.

Jakto, cóż ztąd? czyż to człowiek ma być chorągiewką na dachu? Cóż pan sędzia ma znowu przeciwko Jasiowi?

SĘDZIA.

Nic nie mam. Co mam mieć?... Owszem, bardzo go lubię...

LUDWIK.

Więc wypadałoby okazać temu panu, że...

SĘDZIA (*unosząc się*).

Co ty mnie będziesz rozumu uczył... W imię Ojca i Syna, czy zwarjował! (*łagodniej*). Daj im pokój. Jadwisia ma swój rozum i potrafi zrobić wybór; wie, że nie jestem ojcem tyranem, i że jej nie będę przymuszał—zresztą, jak sama sobie pościele tak się wyśpi, nie chcę brać na siebie odpowiedzialności.

LUDWIK (*siada z drugiej strony stołu, na str.*).

Oto czuły ojciec! czekaj, dokuczę ci za to!

SĘDZIA (*biorąc się do papierów*).

Cóżeś tam znalazł?

LUDWIK (*dobywając notatek*).

Same głupstwa.

SĘDZIA.

U ciebie wszystko głupstwo.

LUDWIK.

Proszę sądzić samemu... Naprzód pod herbem Złotogoleńczyk niema nic w Paprockim; powiada, jak to on, że więcej nikogo tego herbu nie znał... bo nie miał na to czasu...

SĘDZIA (*śmieje się*).

Co ten plecie?

LUDWIK.

Innemi słowy to samo, za to pod herbem Nowina znalazłem tego samego nazwiska dwóch... ale ni to ni owo...

SĘDZIA (*z przekąsem*).

Ciekawbym był tego: ni to ni owo.

LUDWIK (*czyta*).

„Rodzina, z których roku zeszłego byli dwaj bracia rodzeni, na wojnach w Prusiech, ludzie „rycersey" (*sędzia słucha z uwagą*), jako naprzód Marcin rzeczony Ciapugroch".

SĘDZIA.

Ciapugroch?

LUDWIK.

Tak, ciapugroch, ciapukapusta.

SĘDZIA (*zagląda do notatki*).

Jest i kapusta?

LUDWIK.

Niema, ale to wszystko jedno.

SĘDZIA.

Bardzo przepraszam... Ciapugroch może znaczyć, że... ciapał (*robi giest jakby pałaszem*) jak kapustę. Cóż dalej?

LUDWIK.

Jakto? Ciapugroch znaczy, że ciapał kapustę?

SĘDZIA (*niecierpliwiąc się*).

E, nie pleć! czytaj dalej.

LUDWIK (*czyta*).

„Marcin, rzeczony Ciapugroch, rotmistrz i mąż sławny... (*sędzia robi giest głową*) w potrzebach potem i przedtem znacznych bywał i z różnymi nieprzyjacioły" (*dodaje*) to jest był w wojsku kapitanem, bił się tu i owdzie i w wielu innych miejscach...

SĘDZIA.

Znowu coś dodał.

LUDWIK (*czyta*).

„Gabrjel, brat jego rodzony, mąż dobry, umarł *caelebs.*"

SĘDZIA.

Widzisz, mąż dobry, umar *caelebs*... to jest sławnym...

LUDWIK.

Sławnym?... zdaje mi się, że *caelebs* znaczy kawaler... tylko, że się nie zgadza jedno z drugiem, bo mąż dobry, pytanie, czy nie znaczy, że miał żonę i był pantoflem.

SĘDZIA (*śmiejąc się*).

Bodajeś z temi konceptami! (*udobruchany*) Cóż więcej?

LUDWIK.

Z męskiej linji nic, tylko z macierzystej.

SĘDZIA.

Także w Paprockim?

LUDWIK.

Tak. (*czyta*) „Dom herbu Rola, na Kujawach starodawny. Był wieku mego Nosek, tak rzeczono, że nosa nie miał."

SĘDZIA.

Tego prawdę powiedziawszy, nie było co zapisywać.

LUDWIK (*czyta*).

„Miał żonę Benignę i z nią potomstwo..." (*[illegible], kładąc notatki na stole*).

SĘDZIA (*biorąc je*).

Więcej już nic?

LUDWIK.

Nic.

SĘDZIA.

No, dobre i to. Trzeba to pozaciągać w swoje miejsce.

LUDWIK.

Podług mnie to wszystko tylko zwinąć... (*pokazując giestem*) i rzucić w komin.

SĘDZIA (*zgorszony*).

Co ty wygadujesz!

LUDWIK (*idąc do okna*).

Wielkie rzeczy, że rotmistrz się bił!... cóż miał bić, za piec się schować?... takich rycerzy wszystkie wieki miały i mają miljony... (*sędzia słucha osłupiały*). Zresztą gdzie? co i jak? gdzie szczegóły, któreby miały powagę faktu?... co za sztuka powiedzieć: był żołnierzem, więc się musiał bić... (*do siebie, patrząc na ogród*). Jak Boga kocham, bierze się widocznie!

SĘDZIA.

No, czyś już skończył swoje mądre wywody?

LUDWIK (*mentorskim tonem*).

Nie lepiejżby było wypisać sobie dewizę: nie badaj zkąd idziesz, tylko dokąd zmierzasz... (*wskazując w okno*). O! patrz no pan sędzia!

SĘDZIA.

Przestań już, bardzo cię proszę... dalibóg, zaczynasz mię już obrażać... przodkowie!... a mój-że przodek po kądzieli, sławny kuchmistrz w wieku XVII-ym. Czyż nie wyrzekł w dziele swem zdania, które w każdej kuchni, dobrze urządzonej, złotemi głoskami warto wypisać: „lepiej mieć za talar szkody, niżeli za pół grosza wstydu..." Co to za wielka myśl

LUDWIK.

Wartoby to dać przeczytać Kluczykiewiczowej, która wiecznie się kłóci z kucharzem o masło.

SĘDZIA (*poważnie*).

Zapewne.

LUDWIK (*przechylony w oknie, nagle*).

A! co tego, to już zanadto! (*wybiega głębią*).

---

## SCENA X.

SĘDZIA (*sam*).

Gdzie znowu poleciał?... do tamtych pewno... (*patrzy przez okno*) chodzą wszyscy razem... Dobry chłopak, ale okrutnie jeszcze fiu fiu w głowie!... no, proszę! sam mi podał tę myśl, aby robić poszukiwania genealogiczne, a teraz bredzi jak na mękach... (*p. chw.*) Chociaż co do tej paranteli nie można mieć żadnej wątpliwości... (*po chwili, rozmyślając*). Ciapugroch!... nie wiem, czy warto przyznawać się do tego przydomku... Ciapugroch... hm! bywali Świnkowie, Kiszki, Kiełbasy... O Nosku bo niema nawet co mówić...

---

## SCENA XI.

SĘDZIA *na przedzie sceny. Drzwiami w głębi wchodzi* JADWIGA. LUDWIK *rozmawia z nią*. ALBIN, P. LEONOWA *rozmawiają z sobą*. JAN *milczący i pochmurny*.

LUDWIK (*do Jadwigi*).

Jak pani mówi?

JADWIGA.

Mówię, że nie zrozumiałam pana.

LUDWIK (*z przekąsem*).

Pytałem się, o ile wrażenie odpowiedziało oczekiwaniu.

JADWIGA.

Nieznośny pan jesteś.

LUDWIK.

Dlaczego? mam prawo zrobić to zapytanie, jako przypuszczony, chociaż mimowolnie, do tajemnicy... (*poufnie*) poznałem natychmiast ledwiem spojrzał... ale zdaje mi się, że oryginał, pomimo ożywienia, jakiem naturalnie przejęty jest przy pani, jeszcze bezbarwniejszy niż kopja...

JADWIGA.

Nie pytam pana o zdanie, zresztą wszystko mi to jedno.

LUDWIK.

Wszystko jedno?... bardzobym pani winszował, gdyby to było prawdą.

JADWIGA (*żywo*).

A to dlaczego? (*patrzy mu w oczy. Ludwik kilka chwil patrzy podobnież na nią, poczem mówi jej do ucha. Jadwiga odwraca się od niego i siada na uboczu z lewej strony*).

ALBIN (*który rozmawiał z panią Leonową, spostrzegłszy sędziego*).

Ach! otóż gospodarz domu... (*idzie do niego*). Witam szanownego pana dobrodzieja i zarazem przypominam się jego pamięci...

SĘDZIA.

A bardzo mi przyjemnie... (*całuje go w oba policzki*) bardzo mi przyjemnie... O! pamiętam doskonale... przeszłego roku w Karlsbadzie... stałeś pan pod Ananasem, naprzeciw mostu.

ALBIN.

Tak jest.

SĘDZIA.

Dawno pan przyjechał? Nic nie wiedziałem...

ALBIN.

Niedawno... Pan sędzia zajęty był gospodarstwem?

SĘDZIA (*układając fizjognomję*).

A tak, cóż robić... trzeba...

ALBIN.

Sam się pan trudzi?

SĘDZIA.

A, proszę cię, czy to dziś można spuścić się na kogo? (*p. chw.*) Siadaj-że, łaskawco... (*prowadzi go do kanapy z prawej strony i sam siada przy nim*). Wszak pan mieszka w sanockiem?

ALBIN.

Tak jest, w sanockiem... (*rozmawiają na stronie, sędzia niekiedy klepie go po kolanie, na co ten się usuwa, roztargniony jest i spogląda często na resztę towarzystwa, otaczającego Jadwigę*).

P. LEONOWA (*usiadłszy w głębi, także z lewej, do Jana, który usiadł ze strony przeciwnej*).

Panie Janie, o czem się pan tak zamyśliłeś?

JADWIGA (*z ożywieniem*).

Ale, prawda, uważam, że pan Jan jakiś dzisiaj rozmarzony... w niezwykłem usposobieniu...

LUDWIK (*który chodził po scenie, widząc, że Jan nie słyszy, głośno*).

Jasiu! panna Jadwiga raczy się zajmować tobą, a ty śpisz!

JAN.

Ja?... (*wstaje*) Czy pani do mnie co mówiła?

JADWIGA.

Pytałam się zkąd dzisiaj u pana to usposobienie sentymentalne... o czem się pan tak zamyśliłeś?...

LUDWIK (*siada przy pani Leonowej i rozmawiają, uważając Jadwigę i Jana*).

JAN.

Ja, pani?

JADWIGA (*wskazując mu miejsce przy sobie*).

Siadaj pan... (*gdy usiadł*). Słucham usprawiedliwienia...

JAN (*patrząc w jej oczy*).

Człowiek najprozaiczniejszy ma swoje chwile usposobień niezwykłych, w których roją się w jego wyobraźni pasma obrazów, najczęściej nie trafiających się na jawie. Dziś byłem właśnie tak nastrojony, gdy nagle zimne tchnienie rzeczywistości przerwało wątłą niteczkę.

JADWIGA.

Nie sądziłam nigdy, abyś pan należał do marzycieli, bujających po obłokach.

JAN.

Dlaczego?

JADWIGA.

Bo zdawało mi się, że pan zanadto nie dowierzasz rzeczywistości, choćby bijącej w oczy, a cóż dopiero jakimś mrzonkom.

JAN (*żywo*).

Jak to pani rozumie?

JADWIGA.

Domyśl się pan... (*rozmawiają cicho*).

SĘDZIA (*zwracając uwagę Albina, skierowaną na Jadwigę i Jana, uderza go parę razy, coraz to mocniej w kolano*).

Jakże się tam ma prezesowa?

ALBIN (*roztargniony*).

Pani prezesowa?... o! teraz bardzo jest dobrze...

SĘDZIA.

Pisała mi, że ma jechać do Szczawnicy...

ALBIN.

A tak! podobno...

SĘDZIA.

Miewa uderzenia... Ale panowie nie palą... Ludwiku, przynieś no cygar.

LUDWIK.

Mam przy sobie... (*wstaje i dobywszy cygarnicy podaje ją Albinowi, który także wstał*). Służę... (*dzwoni na Franciszka, do którego mówi parę słów na boku*).

ALBIN (*do kobiet*).

Czy paniom nie będzie szkodzić?

P. LEONOWA.

O! dziś panowie takeście już nas przyzwyczaili do tego...

LUDWIK (*do Jana*).

A ty?

JAN.

Dziękuję... później...

FRANCISZEK (*wnosi zapaloną świecę*).

JADWIGA (*do Jana, zwróciwszy uwagę na kwiaty, gdy Albin zapala cygaro*).

A, jaki śliczny bukiet... dziękuję panu, bo jestem pewna, że to pańska niespodzianka.

LUDWIK.

Aż się ożywił, gdy pani zwróciła na niego uwagę...

P. LEONOWA.

Kto?

LUDWIK (*śmiejąc się*).

Bukiet...

JADWIGA.

To komplement! (*do Jana*) Daj mi pan jedną różę... (*Jan wybiera*) nie tę... tamtą jaśniejszą... na wpół rozkwitłą... (*Jan przynosi*) Dziękuję panu... (*Pani Leonowa powstawszy na jej znak, upina różę we włosach i rozmawiają po cichu.*)

JAN (*na stronie*).

O! czemuż nie mam wzroku, sięgającego do głębi duszy!... czy wolno mi wierzyć temu, czy też to jest proste wyrachowanie? (*siada na dawnem miejscu*).

SĘDZIA (*z kanapy do Albina*).

Ale też miałeś pan kawał drogi.

ALBIN (*do sędziego*)

A tak, kilkanaście mil.

SĘDZIA.

Jakaż tam okolica u was... lasy są? wody?...

ALBIN.

O! są...

SĘDZIA.

Szczęśliwy, musisz mieć zwierzyny pod dostatkiem... tu u nas brak coraz większy... A raki masz?

ALBIN (*roztargniony*).

Raków nie mam.

SĘDZIA.

Nie masz raków?... jakże robisz?...

ALBIN.

Nie jem... zresztą nie lubię... szkodzą mi.

SĘDZIA (*n. s. zgorszony*).

Raków nie lubi!... a mają być na kolację.

P. LEONOWA.

A pan sam, czy gospodarz z poświęcenia, czy też z zamiłowania?

ALBIN.

Ja, pani?... o! bardzo mało mieszkam na wsi, więcej przesiedzę w Krakowie lub za granicą i nie dziwię się bynajmniej, że młode pary po ślubie uciekają do Paryża lub Wiednia.

LUDWIK (*z intencją przycinania mu*).

A jakże u pana idzie gospodarstwo?

ALBIN (*krótko, nie patrząc na niego*).

Mam rządzcę. Zresztą nie wiem jak państwo uposażeni jesteście co do towarzystw, ale w mojej naprzykład okolicy sąsiedztw zupełnie jak niema, a to co jest, tak tchnące parafjańszczyzną, tak, że prawdziwie...

LUDWIK (*mentorskim tonem*).

Rozruszać ich, oświecić, nauczyć elementarnej dystynkcji.

ALBIN (*irytując się*).

Że prawdziwie... *c'est inoui*... a co tu robić bez stosownego towarzystwa... w zimie naprzykład...

LUDWIK (*j. w.*).

Książka... (*p. Leonowa mu grozi, Jan zwróciwszy uwagę na rozmowę uśmiecha się*).

ALBIN (*ciągnąc dalej bez zwrócenia uwagi na Ludwika*).

Gdy śnieg usypie wały pod oknami, wiatr świszczy po kominach, wrony kraczą...

JADWIGA.

Bibljoteki pan nie ma?

ALBIN.

Owszem, mam podręczny zbiorek... wcale niezły, najlepsze rzeczy z beletrystyki. Trzymam kilka pism.. *Journal amusant*, *Ueber Land und Meer*, *les bons Romans*, to wszystko zaledwie zadawalnia mnie gdy z konieczności zaglądam do domu... (*ciszej, patrząc na Jadwigę*), który zresztą może inny miałby dla mnie powab, gdyby...

SĘDZIA (*z kanapy*).

Kurczęta lubisz?

LUDWIK (*skwapliwie, widząc, że Albin nie słyszy*).

Panie dobrodzieju, pan sędzia robi panu zapytanie.

ALBIN.

Przepraszam, nie uważałem...

SĘDZIA.

Pytałem się, czy lubisz kurczęta?

ALBIN (*zdziwiony*).

Lubię... dlaczego?

SĘDZIA (*zadowolony, z amatorstwem*).

Jak naprzykład z mizerją... a teraz ogórki to prawie nowalja... lubisz ogórki?

ALBIN (*krótko*).

Ogórków nie jem, nie wolno mi...

SĘDZIA (*zawiedziony*).

Nie je ogórków! (*zamyśla się, bębniąc w stół palcami*).

ALBIN (*do Jadwigi*).

Wracając do towarzystw wiejskich, rozumie się, mówię o tych, które wolno nazwać parafjańszczyzną *par excellence*—przyznaj pani, że sam rodzaj ich rozrywek, szorstkość w obejściu...

JADWIGA.

Naprzykład?

ALBIN.

O kobietach nie mówię nic przez delikatność.

P. LEONOWA.

Owszem, prosimy...

ALBIN (*wymawiając się manierowanym giestem*)

*Impossible*, co do mężczyzn, ci nie są w stanie nastroić się do tonu, jaki panuje w przyzwoitym salonie...

JADWIGA (*zimno*).

Przyznam się, że nie rozumiem pana... wniosek podobny wydaje mi się zanadto naciągnięty.

ALBIN (*cokolwiek zderutowany*).

At! wierzaj mi pani — to dzicz, dzicz prawdziwa... (*wstaje i idzie do świecy z cygarem, które mu było zgasło; Jadwiga spojrzeniem i wzruszeniem ramion porozumiewa się z p. Leonową; Ludwik usiadł przy Janie, do którego mówi coś z ożywieniem*).

SĘDZIA (*n. s. wstając*).

Raków nie lubi, ogórków mu nie wolno...

(*zaaferowany wychodzi na prawo*).

ALBIN (*zapaliwszy cygaro wraca na dawne miejsce*).

Pani zna Wiedeń?

JADWIGA.

Z opisów i opowiadań, ale nie byłam nigdy.

ALBIN.

I nie ciekawa pani zobaczyć?

JADWIGA.

Nie powiem, żebym nie była ciekawą, ale żeby mnie co nerwowo, jak innych, pociągało... broń Boże!... Zresztą, tyle się już nasłuchałam o cudach tej stolicy, że znam ją prawie na pamięć. Oto i teraz, świeżo, wiele szczegółów miałyśmy od pana Jana.

ALBIN (*do Jana z żywością*).

Byłeś w Wiedniu?

JAN.

Byłem.

ALBIN.

Dawno?

JAN.

Wróciłem przed kilkunastu dniami...

ALBIN.

Tak! i nic nie mówiłeś... szczęśliwy, ja nie byłem jak zeszłej zimy... (*z ożywieniem*). No, i cóż?... jakże ci się podobało... pierwszy raz byłeś?

JAN.

Pierwszy raz.

ALBIN (*wstając*).

Musiałeś unieść wiele miłych wrażeń... Świat tamtejszy... *dites donc*!... niech mi to gdzie naśladują... (*ożywiając się coraz więcej*). Uderzyły cię zapewne przejażdżki w Praterze, prawdziwa ekspozycja gustu i elegancji... *quel luxe des toilettes*! (*ciszej*) w roku zeszłym robiła furorę Millerka... zakasowała wszystkich ekwipażem ...*imaginez-vous un atellage bleu*... konie na niebiesko.

LUDWIK (*drwiąc*).

To musiało paradnie wyglądać...

ALBIN (*do Jana*):

W tym roku nie słychać było o niej, *que je sache*.

JAN.

Nie wiem; nic tego wszystkiego nie poznałem, jeździłem tylko za interesami.

ALBIN (*uderzając go po ramieniu*).

Przepowiadam ci, *mon cher*, żeś już złapany. Wiedeń, to trucizna może, jak niektórzy utrzymują, ale tak słodka *vous savez*, tak ponętna, że zakosztowawszy jej raz jeden, tęsknisz do niej, łakniesz *vous savez*, pragniesz. Ręczę ci, że nie usiedzisz w domu i co rok *vous savez* będziesz się wymykał.

JAN.

Wierzę, że takie jest twoje przekonanie, ale przypomnij sobie, o ile różnimy się w zasadach i w sposobie zapatrywania się na rzeczy.

ALBIN (*zakłopotany cokolwiek*).

Jakżeż znów tłumaczysz moje słowa... nie zrozumiałeś mnie...

JAN (*ze spokojnem uczuciem*).

Przypomnij sobie naszą dzisiejszą dysputę i nie dziw mi się.

JADWIGA (*która spoglądała nań z zajęciem*).

Jakąż to panowie mieliście dysputę?... (*Jan nie odpowiada*).

ALBIN (*n. s.*).

Zdaje mi się, że złej chwyciłem się taktyki.

LUDWIK (*wstając*).

Co się stało?

SĘDZIA (*śmiejąc się*).

Wyborny... daję słowo... pójdźno!... panie Albinie, proszę... Jasiu...

LUDWIK.

Dokąd?...

SĘDZIA (*j. w.*).

Najeżdżam źrebca... Michałek z kredensu uwziął się wsiąść na niego... (*patrząc na zewnątrz*) ha! ha! ha! kręci się w kółko na miejscu... Jasiu! wsiądź no ty, bo gotów mi go znarowić... (*do Albina*) Albo może pan; (*n. s.*) nie wiem, czy mu wolno... (*głośno*) Jeździsz pan?

ALBIN.

O! jeżdżę... ale...

SĘDZIA.

Pójdźcie...

ALBIN (*do kobiet ceremonjalnie*).

Panie pozwolą?

JADWIGA (*zimno, wstając*).

O! nie róbcie panowie żadnej ceremonji... (*mężczyźni wychodzą*).

---

## SCENA XII.

P. LEONOWA—JADWIGA, później LUDWIK.

P. LEONOWA (*która także wstała, patrząc na Jadwigę z zajęciem*).

Coś ty tak posmutniała, Jadwisiu... taką cię widziałam ożywioną niedawno w ogrodzie.

JADWIGA.

Ach! nie pytaj mnie, bobym ci nawet nie umiała odpowiedzieć...

P. LEONOWA.

Ale przecie.

JADWIGA.

Zła jestem.

P. LEONOWA (*śmiejąc się*).

Ty?... na kogo?

JADWIGA (*idąc do okna na prawo*).

Na siebie i na wszystkich (*spojrzawszy w okno z krzykiem*). Ach!

P. LEONOWA.

Co to?

LUDWIK (*który się wrócił od drzwi*).

Nie bój się pani o niego, czyż nie wiadomo, że jeździ jak Renz... to dla niego jak bułka z masłem... (*śmiejąc się*) Pan Albin boby może dostał bicia serca, chociaż w nie nie wierzy... (*zmieniając ton, do p. Leonowej*). Uważała pani to: ach! szczęśliwy Jaś... (*do Jadwigi*) Czy pani wie, że gdyby je usłyszał, przesadziłby przez ten dom, jak przez barjerę.

JADWIGA (*tupiąc nóżką*).

Nieznośny pan jesteś, powiadam panu zawsze...

LUDWIK (*kłaniając się poważnie*).

Pani! tak już jestem z tem osłuchany, że...

P. LEONOWA.

Że co?

LUDWIK.

Że nie wierzę.

JADWIGA.

Zobaczysz pan, że pogniewamy się kiedy naprawdę... (*wychodzi na lewo*).

LUDWIK.

E, i temu nie wierzę...

---

## SCENA XIII.

P. LEONOWA—LUDWIK.

P. LEONOWA (*stając przed nim i załamując ręce*).

Czego pan ją zawsze tak drażnisz?... mój panie Ludwiku!

LUDWIK.

Ja?... ją?... pannę Jadwigę?... mówisz pani tak, jakbyś nie wiedziała, że jabym jej nieba rad przychylić...

P. LEONOWA.

A sprzeciwiasz jej się pan?...

LUDWIK.

Bom zły (*chodzi wielkiemi krokami*).

P. LEONOWA.

Na kogo?

LUDWIK.

Na siebie i na wszystkich!

P. LEONOWA (*śmiejąc się*).

Czy się umówili?

LUDWIK (*j. w.*).

Ależ bo proszę pani, to trzeba być mazgajem... Ja, żebym był na jego miejscu, przez kijbym tamtego przesadził... musiałby skakać... (*z giestem*) tu!... publicznie!

P. LEONOWA.

Kto?... co pan gadasz?

LUDWIK (*idąc za swoją myślą*).

Właśnie wtedy pora okazać swoją wartość... podrosnąć na łokieć... wszak emulacja, to najdzielniejszy bodziec... (*z gniewem*). A ten ani be ani me, pozwala tamtemu głosić brednie, jak z katedry, i siedzi, wzdychając, jak Filon pod jaworem!... Nie! to ostatnia pasja człowieka bierze.

P. LEONOWA (*okazawszy giestem, że zrozumiała*).

A!... alboż pan nie słyszałeś, jak go zbijał?

LUDWIK (*chodząc poruszony*).

Co mi takie zbijanie!

P. LEONOWA.

Ale, panie Ludwiku, nie zapominaj pan, że prawdziwa miłość ludzi zmienia, że człowieka najśmielszego robi bojaźliwym...

LUDWIK (*ruszając ramionami*).

E!

P. LEONOWA.

Ale prawda, pan tego nie zrozumiesz... pewno nie kochałeś nigdy...

LUDWIK.

Ja? a to dlaczego?... któż to pani powiedział?

P. LEONOWA.

Panbyś potrafił? gdzież tam! taki trzpiot, szaławiła...

LUDWIK (*urażony*).

Błazenek, chcesz pani powiedzieć... bardzo dziękuję. Otóż, powiadam pani, że kochałem, i to kochałem uczuciem, o jakiem wszystkie panie nie macie nawet wyobrażenia...

P. LEONOWA (*żartobliwie*).

Czy podobna!... dawno?...

LUDWIK.

Niedawno... parę lat temu.

P. LEONOWA.

I kogóż?

LUDWIK.

Kogo?... (*rozczulając się.*) Znasz ją pani bardzo dobrze, jesteś jej przyjaciółką od serca... pani i ona, to jedna osoba w dwóch postaciach...

P. LEONOWA (*j. w.*).

To może mnie?

LUDWIK.

Ale gdzież tam!

P. LEONOWA.

Dziękuję panu... Czyż to już rzecz niemożliwa?

LUDWIK.

E! bo mnie pani ciągnie za język. Ale czemuż nie mam powiedzieć... dziś mogę bezpiecznie... (*ciszej*) Tym przedmiotem była... panna Jadwiga...

P. LEONOWA.

Czy podobna!

LUDWIK.

Ach! pani, jak ja ją kochałem... com ja wycierpiał!

P. LEONOWA.

Prędzejbym się nie wiem czego spodziewała.

LUDWIK (*gorzko*).

Naturalnie! dlatego, że byłem napozór zimny, że uczucie to otaczało ją tylko niewidocznie, zdaleka... żem się nie zdradził ani słówkiem, bojąc się śmiechu szyderczego... żem się wystrychnął na błazna salonowego, dowcipnisia drwinkującego na zimno, aby wyjść uczciwie, z honorem i przygasić w piersi ten ogień, który tleć mógł tylko w tajemnicy...

P. LEONOWA (*z współczuciem*).

Biedny chłopiec!

LUDWIK.

O! tak, ognia tego nikt nie dojrzał... ona nawet... Przed nią szczególniej strzegłem się wydać, zanadto miałem dumy. Bo kobieta najuczciwsza, z najlepszem sercem ma swoje chwile zalotności; widząc swoją władzę nad mężczyzną, nie powstrzyma się, żeby jej nie użyć kiedy niekiedy, jak mówią filozofowie, *in anima vili*... ale pani tego nie rozumie... (*chodzi wielkiemi krokami*).

P. LEONOWA.

Ale rozumiem, rozumiem, mów pan...

LUDWIK.

I cóżby wynikło z tego, gdybym się był nie opamiętał?... (*z goryczą i ironją*) Pan Ludwik, literat bez grosza przy duszy, człowiek tylko z głową i sercem, któremi gotów dzielić się z ludzkością, wzdycha do miljonowej dziedziczki! gdzież sumienie?... gdzież wstyd?... czciciele złotego cielca ukamienowaliby mnie żywcem!... A ona?... ja ją tak kochałem, że strzegłem się strącić ją z piedestału, na który wyobraźnia moją ją podniosła... bo choćby nawet najprzychylniej przyjęła moją miłość, nadeszłaby chwila, w której stanąłby przed nią człowiek z prawnemi tytułami do starania się o rękę panny z posagiem... wtedy usłuchałaby naturalnie głosu rozumu i wymagań światowych, a na mnie spoglądaćby zaczęła z politowaniem... (*gwałtownie*) a jabym tego nie zniósł!... (*łagodniej*) Widziałem to wszystko odrazu i dlatego zapanowałem nad sobą... Parę tygodni bólu dla ocalenia honoru mego, co to znaczy...

P. LEONOWA.

I kochając ją tak, jak pan powiadasz, odkochałeś się w parę tygodni?... Otóż to mężczyźni!

LUDWIK.

Otóż to jest kobiece odezwanie się!... (*Patrzy na nią, kiwając głową, poczem szyderczo*) Dręcz się, męcz się, służ, kochaj, póki nie powiem: basta! wynoś się teraz, boś już niepotrzebny... Ale prędzej ani się waż! Cóż to panie macie za wyobrażenie o nas?

P. LEONOWA.

Ale, panie Ludwiku, wierzaj mi, że o panu mam jaknajlepsze i nikt cię pewnie więcej odemnie nie ceni... (*Podając mu rękę.*) No, daj mi pan rękę na zgodę... Wierzysz, spodziewam się, że masz we mnie przyjaciółkę...

LUDWIK.

To dajże mi pani dowód... bo ja chciałem pani zrobić poufne zapytanie. To wszystko było wstępem tylko, w którym zabrnąłem dalej, niżem był powinien. (*Ogląda się, ciszej.*) Jak pani sądzisz, na jakiej stopie stoi sprawa Jasia?

P. LEONOWA (*unikając odpowiedzi*).

To szlachetność! nietylko zrzeka się przedmiotu ubóstwianego, ale jeszcze swata go przyjacielowi.

LUDWIK.

O! nie myśl znów pani, żeby mnie to tak wiele kosztowało, żebym spełniał jaki czyn bohaterski. U mnie w piersi grają tony tak wysokie, tak wzniosłe i święte dla mnie, że na sprawy sercowe spoglądam nieraz z politowaniem z góry, jak Jowisz na świat z Olimpu... Nie wiem, co będzie ze mnie w przyszłości, ale dziś czuję często, że mi świat za ciasny, w myśli powstają obrazy, na których określenie ludzkiej mowy zamało. Pojmujesz więc pani, że pożar było czem przygasić; dziś ja pannę Jadwigę kocham, ale jak brat najczulszy, a nie mogę jej

…go p…zego dowodu moich uczuć, jak życząc jej za …isia.

P. LEONOWA.

Zupełnie podzielam pańskie przekonanie.

LUDWIK.

A to chwała Bogu.

P. LEONOWA.

Tylko niecierpliwi mię to, że tak mało ma ufności w sobie.

LUDWIK.

I mnie tak samo... jak my się zgadzamy... (*całuje ją kilkakrotnie w obie ręce*) Pani kochana, czyby to nie można tak jakoś co wymyślić... żeby to popchnąć.

## SCENA XIV.

P. LEONOWA—LUDWIK—JAN (*wchodzi drzwiami głównemi*).

JAN.

Ludwiku, pan sędzia cię prosi... masz przynieść jakiś dokument na pokazanie Albinowi.

LUDWIK.

Idę. (*Cicho do Leonowej*) Napompuj go tu pani.. dodaj mu odwagi... zrobisz pani dobry uczynek (*wychodzi*).

## SCENA XV.

P. LEONOWA—JAN.

JAN (*szukając spojrzeniem Jadwigi*).

Pani sama?

P. LEONOWA.

Sama.

JAN.

Gdzież panna Jadwiga?

P. LEONOWA.

U siebie... (*po chwili*) Panie Janie, co panu dziś jest?

JAN.

Mnie?... nic.

P. LEONOWA.

O! widzę bardzo dobrze... (*p. ch.*) Dlaczego nie mamy pomówić otwarcie... Czy pan nie masz do mnie zaufania?

JAN (*z żalem*).

Ach! pani, kto pracował, wytrwale wznosząc przybytek dla szczęścia całej swojej przyszłości, kto ty-[illegible]krotnie zadając sobie niewypowiedziane męczarnie, przykazywał sercu milczenie, aby to dzieło swoje wy-k[illegible]eścić, a dziś, gdy już ostatniej tylko cegiełki brakowało, widzi ten gmach w ruinach, widoku tego znieść nie może z zimną krwią.

P. LEONOWA.

Ale, na miłość boską, w czemże pan widzisz tę ruinę; ja nie pojmuję... czyż Jadwisia zmieniła się względem pana?

JAN.

O! dzień dzisiejszy, który miał być najszczęśliwszym w mojem życiu... niestety, otworzył mi oczy.

P. LEONOWA.

Ale cóż się stało?

JAN.

Gdyśmy po zaprezentowaniu go rozmawiali wszyscy w ogrodzie... w czasie małej przerwy... gdy panie obie znajdowały się nieco w oddali, usłyszałem zapytanie, które panna Jadwiga zrobiła pani...

P. LEONOWA.

Zapytanie?

JAN.

Pochwyciłem je więcej oczyma, niż uchem, domyśliłem się go z poruszenia ust, ale zakłuło mię boleśnie do głębi serca.

P. LEONOWA.

Ach! przypominam sobie. Jadwisia zapytała mię wtedy, mówiąc o panu Albinie: jakże ci się podobał?...

JAN.

Tak jest; ale ja widziałem, jak to było wymówione. Spojrzenie i intonacja głosu znaczyły: „oto jeden człowiek godzien przecie mojej ręki, odpowiadający moim marzeniom!... wszak prawda, że i ty jesteś tego zdania?"

P. LEONOWA.

A! przyznam się, jeżeli pan sobie w podobny sposób wszystko tłumaczysz, to winszuję przenikliwości...

JAN.

Chcesz mię pani pocieszyć, bardzom jej za to wdzięczny, ale...

P. LEONOWA.

Mogę panu zaręczyć, że się mylisz. A! panie Janie, tak się nie godzi, tyle podejrzliwości za najlżejszym pozorem, fe! wstydź się pan... i siebie nękasz i ją...

JAN.

I ją?

P. LEONOWA.

Przez dwa lata tego się pan nie dowiedziałeś? Tym sposobem nie zmówicie się za lat dziesięć...

JADWIGA (*za sceną*).

Karolciu!

P. LEONOWA (*na stronie*).

Niema rady, tu trzeba stanowczego kroku. (*Do Jana, wskazując drzwi na prawo.*) Idź pan do tego pokoju, przymknij drzwi za sobą i nie wchodź tu aż zakaszlę...

JAN.

Jakto, co pani zamyślasz?...

P. LEONOWA.

Jak pan mię nie usłuchasz, umywam ręce od wszystkiego i dziś jeszcze będę swatała Albina.

JAN (*na pół przekonany*).

Ale...

P. LEONOWA.

Pozwolę panu nawet podsłuchiwać.

JAN.

Och!...

P. LEONOWA.

Masz tobie! gotów robić skrupuły (*żywo wypychając go*) Jadwisia idzie!... (*odstępuje od drzwi—sama*) Że też to każdy mężczyzna, żeby najrozumniejszy, im bardziej zakochany, tem śmieszniejszym się staje, wyraźnie głupieje... U kobiet zupełnie przeciwnie.

## SCENA XVI.

JADWIGA—P. LEONOWA.

JADWIGA (*we drzwiach z lewej strony*).

Karolciu, głowa mię boli, pójdźmy się przejść po ogrodzie.

P. LEONOWA.

Głowa?... od czego?... ach! mówiłaś niedawno, że się gniewasz na wszystkich, widzisz, to ci zaszkodziło...

JADWIGA.

Ale, bo też ja nieszczęśliwa jestem z tą moją drażliwością. Naprzód ty wyłajałaś mię dziś... a później ten znowu niewczesnem swojem przybyciem popsuł mi humor do reszty.

P. LEONOWA.

Więc nie podobał ci się na prawdę?

JADWIGA.

Ach! czyż możesz się pytać?... w czasie naszej rozmowy w ogrodzie poznałam go dostatecznie. Taka zarozumiałość. Co za samolubstwo! nie może rozmawiać pięciu minut, żeby nie wtrącił czegoś o sobie. Co za różnica... (*wstrzymuje się*).

P. LEONOWA.

Mogłabym ci przytoczyć w odpowiedzi niejedno z naszej dzisiejszej rozmowy, ale będę wspaniałomyślną...

JADWIGA.

Ach! wierzaj mi, że to głowa tylko pobłądziła chwilowo, serce nie miało w tem żadnego udziału. Zresztą dziś dopiero otworzyły mi się oczy.

P. LEONOWA.

Więc nie zważaj na niego, wszak cię nikt gwałtem nie ciągnie za rękę. Ale zdawało mi się, żeś się gniewała i na pana Jana...

JADWIGA (*zaprzeczając głosem*).

Ja?... (*zmieniając ton*) Naturalnie... niedobry!... co on mi dziś nadokuczał...

P. LEONOWA (*mówi głośniej i umyślnie przybliża się do drzwi, przez które wyprowadziła Jana*).

Czemże?

JADWIGA.

Albożeś nie uważała? parę razy, tu, zaczepiałam go, raz nawet powiedziałam może zawiele, dając mu do zrozumienia, że mógłby być śmielszym... a on na to nic... zimny, jak kamień.

P. LEONOWA (*j. w.*).

Ależ, moja droga, trzebaż wejść w jego położenie...

JADWIGA (*żywiej*).

Czyż pierwszy raz jesteśmy z sobą, czy się nie znamy oddawna? takie niedowierzanie, brak ufności okazują tylko, że mnie nie pojmuje.

FRANCISZEK (*we drzwiach w głębi*).

Proszę państwa do stołu!

P. LEONOWA (*niecierpliwie odprawiając go giestem*).

Idźże sobie!

JADWIGA (*prawie z płaczem*).

Ach! moja Karolciu, jaka ja jestem nieszczęśliwa. Zrzekłabym się nieraz posagu, jeżeli to mu odwagę odbiera.

P. LEONOWA.

Gdyby był pewny, że mu sprzyjasz...

JADWIGA.

Czyż tego nie widzi?

P. LEONOWA.

Że go kochasz...

JADWIGA (*z wybuchem*).

Jakież mam mu to okazać? wyczerpałam wszystkie środki; gdybym postąpiła krok naprzód, gotów mnie znowu posądzić o zalotność i ustraszyć się.

P. LEONOWA.

Ale jesteś pewna swojego serca?

JADWIGA.

Ona się pyta?

P. LEONOWA.

Naturalnie, że się pytam, zkądże mam wiedzieć?

JADWIGA (*znowu prawie płacząc*).

Okrutna jesteś, czyż ci nie mówiłam, że dziś dopiero przejrzałam naprawdę?

P. LEONOWA.

Więc go kochasz?

JADWIGA (*j. w.*).

A naturalnie...

P. LEONOWA (*jakby nie dosłyszała*).

Co?...

JADWIGA (*zdziwiona*).

Czyś słuch straciła?

P. LEONOWA.

Ale bo powiedziałaś tak jakoś...

JADWIGA.

Jakżeś chciała... (*z mocą*) kocham go... (*znowu przechodząc w płacz*) kocham, chociaż nie wart tego... niewdzięcznik, szkaradnik, brzydal... (*Spostrzegłszy Jana, innym tonem, prawie obrażona spoglądając po obojgu*). Cóż to jest?..

P. LEONOWA (*n. str. śmiejąc się*).

Nie czekał kaśnięcia.

## SCENA XVII.

P. LEONOWA—JADWIGA—JAN (*wszedł drzwiami z prawej strony*).

JAN (*rozpromieniony szczęściem, przeistoczony zupełnie*).

Ślicznych się rzeczy dowiaduję, przymiotniki spadały jak grad. Dobrze mówią, nie podsłuchuj, bo usłyszysz...

JADWIGA (*przerywa*).

Głupstwo! dokończ pan... (*do Leonowej z żalem*) Karolciu, nie zapomnę ci tego nigdy!

P. LEONOWA (*tryumfująco*).

Spodziewam się!

JAN (*z czułością*).

Panno Jadwigo, mamyż dłużej grać komedję?

JADWIGA (*zawsze z urazą*).

Komedję? nie pojmuję pana...

JAN.

Tak jest, komedję, (*Jadwiga spoglądając nań mile*) którą na szczęście wiem już jak sobie tłumaczyć... (*klęka i, porywając jej rękę, okrywa ją pocałunkami*). O! tyś moją już, Jadwisiu, aniele mój ukochany... (*z upojeniem*) wolno mi cię już tak nazwać!... Odwracasz się znowu? czy chcesz, abym myślał, że żałujesz tych wyrazów, które niebo otworzyły przede mną? O! powtórz je raz jeszcze choć spojrzeniem...

JADWIGA (*kładąc rękę na jego ramieniu z miłością i dąsem zarazem*).

Nie wart jesteś!... tyleś mię dziś namartwił.

JAN (*z uniesieniem*).

Całe życie poświęcę, aby ci to wynagrodzić, najdroższa moja... (*Całuje jej ręce.*)

## SCENA XVIII.

POPRZEDZAJĄCY — SĘDZIA — LUDWIK — ALBIN—FRANCISZEK.

SĘDZIA (*we drzwiach w głębi*).

Bójcie się Boga! kolacja od godziny na stole, wszystko wystygnie... (*widząc Jana na klęczkach*). A ty co robisz?

JAN (*wstając i trzymając rękę Jadwigi*).

Kochany ojcze, przedstawiam ci moją narzeczoną i proszę o błogosławieństwo...

SĘDZIA (*do Ludwika—tryumfując*).

A co? widzisz! nie mówiłem ci? (*do Jana i Jadwigi*) No, to chwała Bogu!... (*Ludwik śmieje się i klaszcze w dłonie. Do Franciszka, który stoi w progu z serwetą*) Franciszek! (*rachuje osoby*) cztery butelki szampana do stołu... (*do Albina z odcieniem ironji*) Pan wolno pić?

ALBIN.

O! nie, nie piję...

SĘDZIA.

No, to wypijemy sami... (*do Franciszka*) tego Carte-blanche, rozumiesz?... (*mówi mu do ucha*).

LUDWIK (*do Albina*).

Wystaw pan sobie, kochali się od dwóch lat..

ALBIN (*kwaśno*).

Wiedziałem o tem...

LUDWIK (*zdziwiony*).

Wiedziałeś pan?... (*n. s. uderzając się w usta*) chciałem powiedzieć, a pocóżeś przyjeżdżał?... (*idzie do Jadwigi, podając jej ramię i, zwróciwszy się do Jana, mówi z uśmiechem*) Jasiu, pozwolisz? (*Jadwiga spojrzawszy figlarnie na Jana, bierze ramię Ludwika.*)

SĘDZIA (*odprawiwszy Franciszka, nagląco*).

No, pójdźcie, pójdźcie, pobłogosławię was przy stole!... (*Wychodzą drzwiami w głębi, Ludwik z Jadwigą, Jan z p. Leonową, na końcu sędzia i Albin ceremonjują się we drzwiach. Zasłona spada.*)

KONIEC.

Lipiec, 1867 r.

---

Obyłaby się bez przedmowy komedja Bliźińskiego zupełnie, gdyby nie potrzeba było wytłumaczyć, dlaczego ten jeden utwór, zupełnie wykończony, znakomity komedjopisarz przez lat dwadzieścia sześć w tece zatrzymał, oraz z jakich powodów dziś, po śmierci autora, na scenie i w druku się ukazuje. Jest to druga z kolei praca Bliźińskiego, wykończona w r. 1867-ym. Poprzedziły ją tylko „Imieniny”, a nastąpiła po niej „Przezorna mama” i „Kawaler marcowy”, obie wykończone między 1869-ym a 1871-ym rokiem.

„Panna z posagiem” jest obrazkiem obyczajowym, żywcem z dworu wiejskiego przeniesionym na scenę, a nieodżałowany autor „Pana Damazego”, choć bardzo dosadnie charakteryzuje występujące w niej figury, nie daje im jeszcze właściwego, zdobytego późniejszem doświadczeniem, artystycznego oświetlenia. W „Panu Damazym”, „Kawalerze marcowym” i w innych komedjach, a nawet drobiazgach mniejszej wartości Bliźiński wie dobrze, że odtwarza przeszłość, że to pokolenie szlachty, rolników, obywateli wiejskich, choć nie tak bardzo od nas odległe, zmieniło się zupełnie, że ci, których przedstawiał w swoich komedjach, wymarli już, że przepaść rozwarła się między tamtymi a dzisiejszymi ludźmi. Otóż właśnie lata stanowczego przełomu między pojęciami, zasadami, wierzeniami, a nawet bytem ekonomicznym dwóch pokoleń—to są te lata, które rozdzielają „Pannę z posagiem” od „Marcowego kawalera”.

W „Pannie z posagiem” to jeszcze ludzie żywi, współcześni autora, sąsiedzi jego, może nawet krewni i powinowaci. W „Panu Damazym” to już ludzie przeszłości, ciepłem serca Bliźińskiego ogrzani, miłością i poezją autora do życia wskrzeszeni. Pan Damazy i pan Ignacy, starzy Dawnoscy i para dziadków z „Dzikiej różyczki”, to są wszystko typy z przeszłości, o których autor wie doskonale, że muszą być silnie zbudowane, ażeby się obroniły przeciw wszelkim zarzutom, jakie się w walce młodych ze starymi, rozpoczętej około 1867-go r., ze wszystkich stron na te biedne głowy posypały. Gdy Bliźiński „Pannę z posagiem” wykończał, jeszcze burza nie wrzała, jeszcze nawet postępowcy pierwszych strzałów z konserwatystami nie zamienili. Więc też sędzia z tej komedji, ani Albin nie mogliby się bronić, gdyby przeciw nim wielkie działa nowych doktryn i poglądów zatoczono. Autor śmieje się z nich łagodnie, ale ich nie wyszydza, a wierzy jeszcze i w praktyczne wychowanie rolnika bez teoretycznego wykształcenia i w Paryż, jako źródło nietylko uciech wszelakich, ale i wszelkich mądrości. Wszakże nawet praktyczny i oszczędny dzierżawca małej wioski, pan Jan, jedzie na wszechświatową wystawę, aby się tam obeznać z nowemi wynalazkami narzędzi rolniczych. Za lat parę już i Paryż przestanie imponować młodszemu pokoleniu. Wystawy powszechne zdyskredytują się również. Pan sędzia z komicznego gastronoma i zawziętego heraldyka, wyszukującego sobie świetnych koligacyj w herbarzu, smagany biczem satyry, obsypany gradem wyrzutów za wszystkie winy przeszłości, z typu lekko komicznego przemieni się prawie w czarny charakter egoisty i pasorzyta. Albin zostanie rozbitkiem w rodzaju Kotwicza, a kto wie, czy i Jan z Jadwigą nie znajdą się w nędzy na bruku miejskim, gdy szacunek ziemi spadnie do połowy dawnej wartości.

To są właśnie powody, dla których Bliźiński „Pannę z posagiem” w tece zatrzymał; bo trzebaby było ją przerobić zupełnie, albo zaznaczyć bardzo wyraźnie dla krytyki i publiczności, że skończona była przed rokiem 1867-ym, że jest obrazem z natury, żywcem z ówczesnych ludzi pochwyconym, i że ani ci ludzie, ani autor nie mogli wtedy wiedzieć o nadchodzącym przełomie ekonomicznym, ani przeczuć nowych doktryn filozoficznych, socjalnych, historycznych, a nawet literackich.

Jeśli te powody wstrzymały autora „Rozbitków” od publikowania „Panny z posagiem”, to nie mogły one istnieć dla nas, którzy się spuścizną po nim zajmujemy. Krytyka i publiczność inaczej patrzeć będą na utwór żyjącego autora, a inaczej na jedną z pierwszych prac znakomitego komedjopisarza, która jako dzieło pośmiertne się przedstawia. Gdyby to była rzecz niedołężna, bez wartości, naszym obowiązkiem byłoby ją ukryć albo użyczyć tym tylko, którym, jako materjał do studjów nad rozwojem talentu Bliźińskiego, przydaćby się mogła. Ale „Panna z posagiem”, choć i pod tym względem ciekawa, bo przedstawia parę figur, które w późniejszych komedjach autora „Pana Damazego” szerzej traktowane odszukać można, jest utworem, który nietylko sławy Bliźińskiego nie obniży, ale nowy listek wawrzynu mu doda, za bardzo ładną oryginalną i pewnym urokiem poezji opromienioną postać Ludwika. Choćby dla tej jednej figury godziło się dać poznać „Pannę z posagiem” szerszej publiczności, i nie wątpię też, że cała komedja zawsze przy uwzględnieniu daty, w jakiej była pisaną, zajmie niepoślednie w repertuarze Bliźińskiego miejsce, nie gorsze od kilku drobniejszych utworów, jak: „Ciotka na wydaniu”, „Chleb ludzi bodzie” lub „Ojczulek”, które przecież niemałem cieszą się na scenie powodzeniem.

Przez lat dwadzieścia sześć nieodżałowany komedjopisarz przetrzymał w tece ten utwór, który dziś do druku i na scenę podajemy. Nie poprawiał go i nie przerabiał, jak to zwykle z innemi czynił; a że jako początkujący komedjopisarz nie miał jeszcze później nabytego doświadczenia, więc rzecz okazała się za rozwlekłą; były sceny za długie, niektóre zdania powtarzane.

Trzeba to było trochę uregulować, a właściwie mówiąc skrócić dla teatru i do druku.

Mnie przypadła ta praca w udziale, gdy wdowa po przyjacielu spuściznę po nim w moje i Zygmunta Sarneckiego złożyła ręce.

Czuję się w obowiązku oświadczyć, że tekst „Panny z posagiem” nie uległ z mojej strony żadnym zmianom, żem go uszanował wszędzie, ograniczając się do skróceń i wykreśleń, według mnie dla sceny niezbędnych; zresztą historyk literatury czy monografista Bliźińskiego znajdzie w razie potrzeby manuskrypt tej komedji w całości w bibljotece publicznej uniwersytetu warszawskiego, do której złożyć go takim, jakim pozostał po nieboszczyku, zamierzam.

Oto i wszystkie objaśnienia, jakie się czytelnikowi należały. Zbytecznem byłoby prosić go o względność i pobłażanie dla pośmiertnej pracy Bliźińskiego, dla pierwocin talentu znakomitego komedjopisarza, który pozostanie chlubą naszej literatury. Ostatni to po nim dobytek, równie dla teatru, jak dla wdowy, która zmarłemu była wierną i poświęconą towarzyszką życia. Powodzenie „Chwastu” i tego wdzięcznego, swojskiego obrazka złagodzić mają choć trochę jej dolę sierocą.

**Kazimierz Zalewski.**

---

# SEWER.

Do dziś dnia pamiętam doskonale to silne wrażenie, jakie na mnie wywarły w r. 1875-ym drukowane w jednem z czasopism „Szkice z Anglji”, podznaczone króciutkim pseudonimem: Sewer. O osobie piszącego nie wiedziałem nic, bo nazwisko jego rzeczywiste (Ignacy Maciejowski) przez czas długi mało komu było znane; ale mnie zastanowiła niepospolita bystrość spostrzeżeń, nowość kreślonych sytuacyj, żywość nadzwyczajna i oryginalność iskrzącego się dowcipem stylu.

Niebawem potem, pod koniec tegoż roku, czytałem w *Niwie* list Sewera, pisany z Londynu o smutnym stanie naszych większych gospodarstw wiejskich, odznaczający się trzeźwością poglądów i gruntowną znajomością przedmiotu. Wykazywał tu trudności prowadzenia wielkich gospodarstw w czasach dzisiejszych i dowodził potrzeby nieodzownej ich parcelacji. Redakcja *Niwy* nie podzielała wprawdzie przekonania swego korespondenta o zbawienności proponowanego przezeń środka, lecz uznając doniosłość kwestyj w liście jego poruszonych, zamieściła go w swych łamach i wezwała właścicieli ziemskich do zabrania głosu. Popłynęły liczne artykuły „w sprawie upadających posiadłości ziemskich”, artykuły, które przez dwa z górą lata nader żywo interesowały wszystkich zajmujących się tak doniosłą sprawą i wywołały dużo broszur i dzieł, dużo projektów i sporów. Sewer mógł być dumnym, że list jego nie tylko nie przeszedł bez echa, ale stał się punktem wyjścia dla tak ożywionej i w dobre wyniki niepłonnej dyskusji. A trzeba wiedzieć, że nie pisał on owego listu jako publicysta tylko, którego zabolało dotkliwe położenie ziemiaństwa, lecz także, jako wykwalifikowany agronom, co już w roku 1858-ym napisał i wydrukował książkę „O plantacjach buraków”, a potem miał możność przypatrzenia się gospodarce w różnych krajach europejskich.

W r. 1876-ym z jednej jeszcze nowej strony przedstawił się talent Sewera. Na ówczesnym konkursie dramatycznym w Warszawie komedja je[go] „Pojedynek szlachetnych” otrzymała nagrodę, była przedstawiona na scenie i doznała powodzenia, wszyscy podziwiali w niej świeżość motywów.

Pod dobrą więc wróżbą wystąpił Sewer na widowni literackiej. A jednak po chwilowym rozgłosie nastąpiło długotrwałe o nim milczenie, tak, że wciąż nanowo niejako musiał sobie zdobywać uznanie. I dlaczego?

Najprzód zapewne dlatego, że pisma, w których pomieszczał swe utwory, nie miały zazwyczaj wielkiej liczby prenumeratorów, a ztąd poszło, że utwory te ze szpalt czasopiśmienniczych rzadko kiedy przechodziły w format książkowy. I kiedy bez porównania niższe, a czasem nawet liche zdolności, drukując swe wyroby w pismach poczytnych, znajdowały nabywców na ich przedruki, najlepsze rzeczy Sewera do chwili jeszcze obecnej spoczywają w dziennikach, tygodnikach j miesięcznikach, do których jedynie bibljograf zagląda.

Drugim zaś powodem zaznaczonego milczenia było to, że w tych rodzajach literackich, które Sewerowi dały rozgłos, nie pracował on wytrwale, przechodząc natomiast do innych dziedzin. „Szkice z Anglji” stoją odosobnione, po „Pojedynku szlachetnych” w długich dopiero odstępach czasu pojawiły się „Zabiegi” i „Marszałek powiatowy”; w publicystyce wyjątkowo tylko autor brał udział. Wobec tego zaniedbywania jednych, a wytwarzania sobie innych form twórczości trudno było pochwycić istotną fizjognomję duchową Sewera i złączyć z nią jakąś jednolitą, łatwo wyrazić się dającą cechę.

A i to wreszcie nie pozostało bez wpływu na małą rozgłośność Sewera względnie do jego talentu, że od początku zawodu swego okazywał zawsze jawnie swe przekonania postępowo-demokratyczne, co w Galicji, gdzie przebywa, za dobrą rekomendację nie służy, gdyż przemaga tam stronnictwo zachowawcze, rozdające dowoli dyplomy wielkości.

Słuszność wymaga, by to zaniedbanie naprawić, rozpatrzyć się bezstronnie w dotychczasowej działalności autora „Zyzmy” i „Nafty”.

Można w niej rozróżnić trzy fazy, z których pierwszą nazwiemy—*egzotyczną*, drugą—*ludową*, a trzecią—*społeczną*.

## I.

Pobyt w Anglji, spostrzeżenia tam porobione i porównania, jakie się nasuwały ze stosunkami krajowemi, były dla Sewera pierwszą pobudką, by swój talent zużytkować w kierunku belletrystycznym. Świeżość i obfitość wrażeń, wynikająca z potężnie, a oryginalnie rozwiniętego życia społecznego, z rażącego kontrastu bogactwa i nędzy, z zestawienia właściwości narodowych ujemnych i dodatnich, tak przepełniła umysł ciekawego i żądnego nauki spostrzegacza, że musiał się niemi podzielić z ogółem czytającym, dla którego mogły się one stać pożytecznemi napomnieniami czy wskazówkami.

Książek przedstawiających nam Anglję, poczynając od 3-tomowego dzieła Krystyna Lacha Szyrmy (Warszawa, 1828-go), nie brakło naszej literaturze, a jednak „Szkice z Anglji” Sewera, głównie w r. 1875-ym pisane, ale w całości i w książkowej odbitce wydane dopiero w 1882-im, wyróżniły się bardzo wybitnie z pośród wszystkich dawniejszych i spółczesnych i to zarówno pod względem formy, jak i treści, gdyż były naprawdę oryginalne.

Co do stylu, nie znam w piśmiennictwie naszem drugiej książki podróżniczej, którab y żywością, niespodziewanemi zwrotami, subtelnym dowcipem dorównywała dziełku Sewera. Można powiedzieć, że tu zdania sypią się i błyszczą, jak iskrzy fajerwerkowe, których powstawanie i znikanie ledwie dostrzedz się daje, tak szybko po sobie następują, tak się przenikają nawzajem. Zamiłowanie w krótkich, dobitnych lub delikatnych frazesach nigdy już później tak świetnie się u Sewera nie uwydatniło, jak w „Szkicach”. Ten zwięzły a jednak powabny sposób pisania ma własność podbudzania myśli i zapładniania wyobraźni czytelnika, ktoremu autor nie wykłada wszystkiego szeroko, lecz napomyka tylko, pozostawiając jemu samemu rozsnucie i dopełnienie podanego wątku. Ci, co przywykli do długich okresów, do szczegółowych określeń, do odejmowania czytelnikowi wszelkiego niemal wysiłku myślenia, może nie będą smakowali w ucinkowym stylu Sewera; dla mnie atoli, który się niejednokrotnie nudziłem nad obszernemi dziełami belletrystycznemi, które nader szczupłą dają karm dla ducha, styl ten, choćby go kto skaczącym nazwał, ma powab niemały i on to najprzód zwrócił uwagę na świeżego pisarza. Sewer nie sili się na obrazowość, ale ona sama bardzo często ciśnie mu się pod pióro i wtedy ma urok niespodzianki nader miłej, nie goni też za dowcipem, lecz on sam mu się nasuwa, a wtedy podoba sie najbardziej.

„Szkice” swoje kreślił Sewer lekko, swobodnie, polotnie, wiedząc o tem, że u nas czytelników, którzy, by nie ziewali nad szerokiemi wywodami i cyframi

jest, niestety, bardzo mało; pisał feljetonowo, ażeby w tej ponętnej formie wypowiedzieć rzeczy nietylko ciekawe, ale ważne i nauczające. Bo umysł jego bynajmniej feljetonowym nie był; wchłonął on doświadczeń mnóstwo, odnoszących się do wszystkich główniejszych dziedzin życia społecznego i na serjo je rozpatrywał i rozważał. Nie pierwsze lepsze wrażenie notował w swych „Szkicach", lecz się dobrze zastanawiał nad ich wyborem, by przedstawić spółziomkom swoim te strony życia angielskiego, które mniej im są znane, lub położyć nacisk na takie cechy charakteru, których brak naszemu społeczeństwu. Spostrzeżenia bowiem swoje robił nie jako młodzieniec niedoświadczony, lecz jako mąż dojrzały, który zebrał już duży zapas obserwacyj, by z niemi nowe porównywać i wnioski z pewnym zamiarem wyciągać.

To, co nam ze społeczeństwa angielskiego w „Szkicach" swoich Sewer ukazał, stanowi niewątpliwie drobną tylko cząstkę ogólnej sumy objawów życia, lecz się odznacza pochwyceniem najwydatniejszych i najoryginalniejszych stron jego. Czy to kreśli nam sposób świętowania niedzieli i szerzenia prawd ewangelicznych przez rozmaite sekty; czy wgląda w życie rodzinne, wykrywając różnorodne sprężyny, wprawiające w ruch umysły, serca i charaktery mężczyzn i kobiet; czy zajmuje się odmalowaniem zebrań niewieścich celem rozpowszechnienia oświaty, lub też rywalizację pomiędzy temi, co hodują lub topią „biedne kotaszki"; czy kreśli stręczycieli małżeństw i pieniaczy, lub obrazki z życia robotników, albo szczegóły z handlu towarami w dalekich kolonjach; czy wreszcie daje przykład zabiegów o wybór do parlamentu; jednem słowem, czy przedstawia złe, dobre, czy obojętne sceny: zawsze uwydatnia tę siłę charakteru, tę wytrwałość, tę pracę niezmordowaną, jaka odznacza zarówno ubogich, jak bogatych, a którą cenić się każe nawet tam, gdzie popada w dziwactwo i ekscentryczność. Dla społeczeństwa zwłaszcza skłonnego do zapału chwilowego, ale nie do wytrwałej pracy, takie wizerunki z życia praktycznego narodu są w wysokim stopniu nauczające i krzepiące.

Jednę z tych właściwości anglików obrał Sewer za temat swej 4-aktowej komedji: „Pojedynek szlachetnych" (Warszawa, 1876 go), jakby chciał okazać obrazowo różnicę pomiędzy naszą arystokracją a angielską.

Arystokracja angielska nie ustępuje ze swego stanowiska, lecz chętnie garnie ku sobie plebejuszów, stara się odświeżyć swe szeregi nowemi siłami. Oto bogata i utytułowana Lidja pokochała ubogiego, ale utalentowanego Juljusza. Ukrywa się z tą miłością przed swoimi opiekunami, może w części przez zamiłowanie w tajemnicy, a w części przez bojaźń oporu. Autor bardzo długo utrzymuje widza w przekonaniu, że ci opiekunowie (lordowie Harvey i Burghley) starają się istotnie o zerwanie stosunku tego, więżą bowiem Juljusza; a gdy Lidja go uwalnia, chroniąc się z nim na baszcie, oblegają tę basztę i do poddania się zmuszają. Już się wytwarza w fantazji widza ponury obraz przemocy możnych nad słabymi, już gotów złorzeczyć takiemu układowi stosunków, gdy się naraz przeświadcza, że wszystkie zabiegi szlachetnych lordów dążyły do tego, ażeby się przekonać, czy Juljusz jest rzeczywiście zdolnym i dzielnym i człowiekiem, ażeby mu następnie wyrobić tytuł lordowski i połączyć z pupilką.

Zapewne środki, jakich się lordowie chwytają, są płodem raczej fantazji romantycznej, niż obrazem zwykłych stosunków realnych; niewątpliwie takie porwanie i więzienie młodzieńca dla zabezpieczenia jego osoby i ściągnięcia informacji, wyjątkowo się zdarzyć mogło. W ogóle można powiedzieć nawet, że autor igrał sobie trochę z tworami swej wyobraźni i niezupełnie na serjo traktował wszystkie prawie sceny, wprowadzając do komedji „humor" prawdziwie angielski. Mimo to zapomina się niemal o wątłych zadziergach osnowy głównej, widząc przed sobą całą galerję „indywidualności", którym tę zaletę w pełni przyznać można, indywidualności mających swoje poglądy, swoje wyrażenia, a od pana do sługi przepełnionych poczuciem siły i znaczenia we właściwym sobie zakresie. Niższe mianowicie stanowiskiem swojem w sztuce figury świetnie zostały scharakteryzowane: i para małżeńska (Bull i Peggy) i sekretarz lorda Burghley, i bibljotekarz lorda Harvey, a zwłaszcza ten dozorca więzienia, ten szczątek czasów feudalnych, ten wyborny Pocock, tak znakomicie odtworzony u nas na scenie przez p. Rapackiego.

Doskonałą komedją ta nie jest; zanadto może grubemi rysami nakreślone są postacie, zanadto może mało rachował się autor z rzeczywistością w układzie całości, lubo szczegóły wszystkie traktował realistycznie; ale bądźcobądź jest to komedja ładna, wesoła, w której bez brudów społecznych całkowicie się obeszło, a humor pogodny panuje od początku do końca. Walc, śpiewany przez Lidję, nabył pewnego stopnia popularności: dorobiono do niego nuty (Warszawa, 1877).

Pierwsza większa powieść Sewera ma tytuł „Wydziedziczone" i osnuta została również na tle stosunków społecznych angielskich. Pierwsza jej część, przedstawiająca stan robotnic fabrycznych, nadmiar pracy, pokusy, działające rozkładowo pod względem moralnym, odznacza się realistycznemi barwami, lubo trzymanemi zawsze w szlachetnym tonie estetycznym, przejmuje grozą, budzi współczucie, woła o ratunek. Dwie tu uwydatniają się postacie: jedna, żyjąca bardziej życiem wewnętrznem, namiętna czytelniczka powieści, pełna szlachetnych popędów, sięgających granic poświęcenia; druga powszedniejsza, miła, wesoła, zalotna, łatwowierna. Ta druga dała się uwieść, bo siejej piękny panicz podobał: pierwsza sprzedała się, ażeby sobie, a jeszcze bardziej koleżance swojej zapewnić możność przebycia najcięższych dni głodowych. Poświęcenie jej doznało wzgardy; towarzyszka ją opuściła, poczytując ją za zhańbioną, lubo sama miała kochanka. Lizeta znika z Londynu, by po niejakim czasie powrócić tu wielką damą, zamożną, czarującą młodzież najwykwintniejszą. Ale w duszy pozostała ona dawną serdeczną dziewczyną, więcej dbającą o los swojej towarzyszki, Fanny, która nią wzgardziła, aniżeli o siebie. Fanny wyszła za mąż, za urwisa, pijaka, wyzyskującego jej pracę. Lizeta stara się dopomódz jej tajemnie, a gdy ta, w przystępie rozdrażnienia porwawszy młotek, uderzyła w głowę męża i ten padł trupem, wystąpieniem swojem w sądzie uwolniła ją od odpowiedzialności, wzięła na wieś i przy pomocy szlachetnego dziwaka zapewniła jej byt dostatni, w założonem przez siebie towarzystwie spółdzielczem, produkującem ubranie.

Prócz dwu figur kobiecych występujących w tej części, wyborne są poboczne: detektywa (t. j. trudniącego się prywatnie śledzeniem czy to osób podejrzanych, czy w ogóle takich, o których ktoś potrzebuje zebrać ieformacje); doktora, który wszędzie i zawsze ma na myśli zareklamowanie swojej wiedzy i swoich odkryć; bogatego wegetarjanina, który wytrwale głosi i apostołuje przekonanie, że „mięso rodzi bestjalstwo w człowieku i sprowadza upadek ludzkości, degradację człowieczeństwa, wykształcając dzikie namiętności". Tyle tu życia, urozmaicenia, interesujących scen i niespodzianych zwrotów, że się tę część pochłania z wciąż rosnącem zajęciem i zapomina o nieprawdopodobieństwie zasadniczem, żeby Lizeta w krótkim czasie mogła się z prostej robotnicy przerobić na wielką damę.

Inne części „Wydziedziczonych", lubo mają ustępy śliczne, nie posiadają zalet powyżej zaznaczonych. Historja towarzystwa spółdzielnego, zawodów miłosnych Lizety, jej małżeństwa ze starym wegetarjaninem, małżeństwa zupełnie platonicznego, zawartego jedynie w celu przekazania bogactw lorda szlachetnej kobiecie, zadużo mieści w sobie materjału nieobrobionego artystycznie, albo też obrobionego słabo. Dwa jednak charaktery kobiece zostały konsekwentnie przeprowadzone. Lizeta zawsze szlachetna, zawsze o cudzej niedoli myśląca; Fanny dopóty jedynie dobra, póki, dzięki Lizecie, nie porosła w pierze; wówczas bowiem złe instynkty w niej się odzywają; z robotnicy stawszy się panią, gotowa tak samo wyzyskiwać zależnych od siebie, jak ją wyzyskiwano niegdyś.

Jeżeli do tych większych utworów dodamy jeszcze króciutki zarys p. n. „Jedna noc w Londynie", to będziemy mieli wszystko, co na tle angielskiem nakreślił Sewer. W szkicu tym zapoznaje nas autor z życiem gorączkowem wielkiego miasta-potwora, które wchłania w siebie żywoty jednostek, przetwarzając je w niedostrzegalne niemal kółka olbrzymiej maszyny, ale w którem, mimo to, wytwarzają się pod naciskiem potrzeby dzielne, świadome zadania swojego, charaktery. Widzimy tu biednego, zidjociałego prawie pod wpływem pracy mechanicznej muzyka, który całe jestestwo swoje zeŚrodkował w robocie obowiązkowej, oraz jego zaniedbanego syna, który przecież po zgonie ojca czuje w sobie siłę skutecznego zaopiekowania się rodziną, a mówi o tem w taki sposób, że mu całkowicie zaufać można.

Dołączywszy do powyższych utworów opowieść „Na pobojowisku", malującą mniej szczęśliwie jeden z epizodów wojny r. 1871-go, wyczerpiemy zasób tych dzieł Sewera, które nazwałem *egzotycznemi* ze względu na materjał, poczerpnięty ze stosunków zagranicznych. Kompozycja większych z pomiędzy nich jest wadliwa, dawną metodą przeprowadzona, lecz szczegóły nieraz znakomicie tu nakreślone.

---

## II.

Powieści ludowe stanowią drugi z kolei w porządku chronologicznym dział twórczości Sewera.

Mieszkał on przez lat kilka we wsi Szczurowej i miał tam sposobność zblizka i dokładnie przypatrzyć się życiu wieśniaków, przyswoić sobie ich wyrażenia, zauważyć ruchy, poznać zwyczaje i obyczaje, różnorodne skłonności i przekonania, a dokonywał tego zarówno z myślą społeczną, jak i z zamiarem artystycznym.

Dawniejsze obrazy ludowe, rysowane piórem Kraszewskiego, Jeża, Gregorowicza, przedstawiały stosunki poddańcze lub pańszczyźniane. Sewer i Prus byli u nas pierwszymi powieściopisarzami, co odtworzyli duszę chłopa i stosunki jego zewnętrzne wśród nowych warunków, jakie wytworzyło uwłaszczenie. Obaj równie szczerze i z jednaką miłością na lud patrzyli, lubo bynajmniej nie zamierzali zakrywać wad jego i śmieszności. Obaj posługiwali się środkami realistycznemi, ale obaj rozjaśniali obrazy swoje promieniami poezji. U Prusa poezja ta płynęła przeważnie z głębokiego, serdecznego uczucia, u Sewera przeważnie z fantazji; chociaż, rozumie się, nie myślę przez to zaprzeczać istnienia i jednego i drugiego pierwiastku razem—u obudwu. Prus stworzył, prócz drobnych arcydziełek, potężną kreację w „Placówce", Sewer nie zeŚrodkował tak silnie talentu swego w żadnym utworze ze sfer ludowych, ale w poszczególnych rozsypał wiele rzeczywistych klejnotów obserwacji i poezji.

Pierwszym szkicem ludowym Sewera była przepiękna, słoneczna „Łusia" (1878), pełna wdzięku, wesołości, ładnie szkicowanych krajobrazów. Można z nią chyba zestawić późniejszą o lat jedenaście, szerzej rozwiniętą, większem bogactwem szczegółów, głębszem wniknięciem w duszę prostaczą, rozleglej kreślonemi krajobrazami bogatą „Wiosnę", którą do najśliczniejszych noweli, jakiemi pochlubić się może belletrystyka nasza, śmiało zaliczyć można. Przeciwieństwo wsi i miasta w poczuciu wiejskiej dziewczyny chyba nigdy piękniej i artystyczniej nie było odmalowane. Marysia przybywa ze służby z Krakowa na czas krótki do swej wioski rodzinnej i czuje się odrazu przyciągniętą wszystkiem, co tu odnajduje: polem, łąką, lasem, robotami polnemi, zabawami, jarmarkiem; odrazu czuje się w swoim żywiole szczęśliwą, upojoną; a gdy wraca znowu do miasta, gdy się styka z dawnemi swemi znajomościami, które ją przedtem silnie zajmowały, coś ją odtrąca, coś ją czyni rozdrażnioną, niezręczną, gniewną: to urok wiosny na wsi tak na nią podziałał! Jakże jej oddychać wśród zamkniętej przestrzeni, wśród przepełnionej wstrętnemi wyziewami atmosfery, wśród „freitrów" i ich kompanów, gdy się dopiero co wróciło z rozległych pól, gdy się dopiero co oddychało czystem, świeżem powietrzem i miało się za towarzystwo tych, z którymi się wychowywało i żyło. Więc dalej na wieś!

— Matusiu, jestem!—zawołała Maryś.

Kobieta się zerwała, rzuciły się w objęcia.

— Ze wszystkiem?

— Ze wszystkiem.

— A niechże ci Bóg da zdrowie

— Jest przyodziewy pełen kufer, pierzyna i jeszcze coś grosza na żniwa.

— A niechże ci Bóg da zdrowie. I już nie wrócisz do miasta?

— Nigdy!—zawołała dziewczyna, wznosząc rękę w górę.—A teraz spać, bo się na nogach nie mogę utrzymać.

Rzuciła się na matczyne łóżko.

— Tak ci jestem uradowana... matusiu, żeby to tak w niebie!...

Zasnęła...

I jak w tem zakończeniu, które prostotą swego obrazowania osięga wyrazistość prawdy realnej i poezję nastroju; tak i w całym szkicu niema nigdzie mdłej sentymentalności, choć wszystko tchnie wiosną pełną woni rozkosznej i świeżości.

Nie wszędzie naturalnie w obrazach Sewera panuje ta słoneczna pogoda, nie wszędzie tętni zadowolenie z życia; owszem, jak w rzeczywistości, tak i w jego utworach częściej występuje mrok, częściej pojawia się nieszczęście, złość, zawiść. Sewer bowiem nie myśli nigdy o tendencyjnem wykrzywianiu prawdy gwoli dowiedzeniu jakiejś z góry powziętej dążności, przedstawia dobre i złe strony życia chłopskiego jednakowo charakterystycznie; nie popada w krańcowości, nie zaczernia swych obrazów pesymistycznie, nie zaróżawia optymizmem. Jeżeli ma jaką słabostkę, spólną zresztą i Dickensowi i Prusowi, godną najszczerszego uznania, to w malowaniu cierpień i nieszczęść, jakie spotykają maluczkich, w rozrzewnianiu czytelnika nagromadzeniem tkliwych i bolesnych rysów z życia sierot wiejskich. Taką jest np. nowella p. n. „Dola".

Czternastoletnia dziewczynka sierota, mająca serce skłonne do wzruszeń sympatycznych, poniewierana przez stryjnę, lękając się kary za cielę zabłąkane, ucieka, próbuje się utopić, potem kładzie się na szynach, ale uratowana, wspomożona datkiem pieniężnym przez podróżnych, dostaje się pod opiekę człowieka brzydkiego, również, jak ona osieroconego, również, jak ona nie doznającego miłości ludzi, a to z powodu swej brzydoty. Dziewczynka choruje. Marcin otacza ją najtroskliwszą opieką, marzy wraz z nią o przyszłości, o pobraniu się i kochaniu; ale smutna dola rwie tę tkankę rojeń; sierota umiera,

szczęśliwa, że choć raz w krótkiem swem życiu zaznała, co to życzliwość serdeczna, co to delikatna tkliwość. Pierwsza część tego obrazka, gdy Marcysia krowy pasie, gdy zbiera kwiatki, by ukradkiem dostawszy się na procesję Bożego Ciała, wysypać je przed obrazem Najświętszej Panny, jest podobno bliższa rzeczywistości, aniżeli część druga, malująca przygody Marcysi, a zwłaszcza owę smętną sielankę w lesie; w każdym jednak razie „Dola" stanowi całość bardzo ponętną, budzi uczucia dobre, usposabia rzewnie i poetycznie.

W podobnym rodzaju, tylko na szerszą rozwiniętym skalę, jest zarys powieściowy o żądnym oświecenia „Franusiu Walczaku" (drukowany w *Ateneum* 1883-go r.). Tu już nietylko ze światem chłopskim, ale i z „pańskim" mamy do czynienia. Wielkie frazesy o oświacie ludu, pozorne zajmowanie się nią przez sfery inteligentne i zamożne, a w gruncie obojętność lub nawet niechęć wobec rzeczywistych objawów garnięcia się do nauk wśród chłopów; ciężkie przejścia we wsi i w mieście, jakie Franuś przebyć musi, przygarnięcie go przez rodzinę żydowską i śmierć w szpitalu—oto w suchem streszczeniu wątek opowiadania, które miejscami wstrząsa duszę do głębi, a często goryczą ją przepełnia. W zakończeniu jest zestawienie głosu serca z głosem sofistycznego rozumu, który, mając wygodną formułkę w „hyperprodukcji inteligencji", zimno patrzy na straszną dolę biedaków, rwących się do światła, i z urąganiem przyjmuje skargi serdeczne.

— I nikt się nie znalazł—wołała matka Franusia z rozpaczą—nikt w takiem mieście, w takiem wielkiem mieście, coby dziecko przytulił, pomógł i nie dał mu umrzeć. A przecież on nie chciał kraść, tylo się uczyć... Czemużeś nie ukradł choćby bochenka chleba, wtedy daliby ci opiekę, łyżkę strawy i ciepłą izbę, gdziebyś głowę do snu mógł złożyć. A bodajby was ziemia święta pochłonęła!

Ludzie się zaczęli gromadzić, co zmusiło filozofa do odwrotu.

— Pomoc, opieka!—powtarzał.—Niema położenia w naszem społeczeństwie, niema najzwyczajniejszej kombinacji między ludźmi, żeby zaraz nie usłyszeć tych dwóch nędznych i głupich wyrazów: opieka, pomoc! Rozpacz ogarnia myślącego człowieka.

Istotnie na opiekę i pomoc takich filozofów o twardem sercu i ciasnej głowie nikt liczyć nie może; a ich zwątpienie świadczy tylko o miałkości własnej ich duszy.

Innych stron życia ludowego dotyka Sewer w nowellach: „Dla świętej ziemi" i „Nad brzegiem Rudawy"; w odmiennym też one tonie zostały wykonane.

„Dla świętej ziemi" składa się z dwu części, tożsamością zasadniczego motywu połączonych. Autor pochwycił tu bardzo dobrze jeden z najznamienniejszych rysów charakteru chłopskiego: żądzę posiadania gruntu, będącą zresztą specjalnym jedynie przejawem powszechnej żądzy mienia u wszystkich warstw społecznych, i pięknie przedstawił dzieje tej namiętności w kolizji z uczuciami miłosnemi.

W „Kasi" doskonale skreślony został obrazek wypuszczenia żołnierzy austrjackich ze służby, wrażenia jednego z wypuszczonych, powracającego do wioski rodzinnej, gniew i straszny żal z powodu utraconego gruntu, który matka sprzedać musiała dla pokrycia długu bankowego, zaloty Józka do bogatej wdowy, a odwrócenie się od energicznej, poświęcającej się dla niego sieroty Kasi, którą przecież lubił siarczyście, myśli i postępowanie tejże dziewczyny, opuszczającej wprawdzie chatę Józka, gdy się o wdowę oświadczył, ale wracającej następnie na serdeczne wezwanie jego matki. Mniej są rozwinięte kolizje, wynikłe z naprężonych stosunków pomiędzy Józkiem, jego żoną i Kasią; dlatego też zakończenia niepodobna zadowalniającem nazwać.

„Hanka" doskonała jest, jako wizerunek bohaterki tytułowej. Dziewczyna biedna, sierota jak Kasia, ale piękna, energiczna i rezolutna, umie sobie dać rady z chłopcami i starszymi. Pragnęłaby się wydać zamąż bogato, ale gdy upatrzony przez nią syn wójtowy nie miał dość siły, by się oprzeć woli ojca, ciągnącego synalka do dziewczyny bogatej, patrzącej „świdrami", wychodzi za równie ubogiego jak sama, postanawia wraz z mężem dorobić się i stawia na swojem, tak, że wójtowie zaczynają żałować, iż nią dla syna wzgardzili. Miło jest patrzeć na te objawy żywotności, siły i umiejętnego a zręcznego brania się do rzeczy w tych dwojgu wieśniakach, którzy nie skarżą się, lecz pracują wytrwale. Natomiast figury poboczne, jak wójtowie, ich syn, Guliczka, jej córka, lubo wszyscy mają cechy znamienne, wybornie pochwycone, nie są przecież należycie rozwinięte.

Nowella „Nad brzegiem Rudawy" przedstawia nam stosunki ludności izraelskiej i chrześcijańskiej na wsi w Galicji, nie według tego zwykłego szablonu, który każe po jednej stronie kłaść wyzyskiwanych, a po drugiej wyzyskiwaczów; lecz z wniknięciem w delikatniejsze i różnorodniejsze odcienie usposobień, poglądów i nawyknień ze stron obu. Postać Sary Wajowej, zabiegliwej, skrzętnej, nie bardzo się rachującej z przepisami ścisłej moralności, ale podobnej w tem do innych mieszkańców wioski, tylko przebieglejszej i zręczniejszej, bardzo szczęśliwie narysowana i konsekwentnie przeprowadzona została. W jej pasierbie Zyzmie, którego ona niecierpi, na którego sprowadza przekleństwo rabina, widzimy temperament nerwowy, miarkowany chęcią i umiejętnością zdobywania grosza, nie przez pospolitą szacherkę, lecz za pośrednictwem wyższej inteligencji, a przytem z jakiemś zabłąkanem do serca dziwnem przywiązaniem do dziewczynki wiejskiej. Postać ta, bardzo dobrze nakreślona w początku, od chwili usiłowanego samobójstwa z powodu rozbicia pierwszych planów zbogacenia się, znika z widowni powieściowej i dopiero po latach kilku pojawia się w nowej przemianie zewnętrznej, ale z niezmienionem pragnieniem pozyskania serca dziewczyny. Ta stałość młodocianych wrażeń, czy uczuć, wśród nader ruchliwego, jak się domyślać trzeba, żywota Zyzmy, wymagałaby subtelniejszego wycieniowania. Stosunek natomiast dziewczyny do Zyzmy, mającej dla niego pewną słabość, ale za nic nie chcącej się zgodzić na oddanie mu swej ręki, jako żydowi, gdyż stałaby się pośmiewiskiem całej wioski, bez którejby żyć jej było niepodobna, zupełnie dobrze został utrzymany.

Arcydziełem Sewera wśród powieści ludowych są „Przybłędy". Należą one do najwcześniejszych jego utworów; drukowane bowiem były w *Ateneum* w początkach r. 1881-go, ale czy to wskutek świeżości wrażeń, czy też z powodu szczęśliwego nastroju autora, lepiej i harmonijniej zostały obrobione, aniżeli późniejsze, z wyjątkiem naturalnie tej ślicznej, ale drobnej nowelli, jaką jest „Wiosna".

„Przybłędy", to obraz życia wiejskiego na skalę szeroką. Wszystkie wydatniejsze na wsi figury, wszystkie główniejsze stosunki pomiędzy jej mieszkańcami występują tutaj na tle dziejów biednej a pracowitej wdowy, którą nieszczęścia zagnały ze stron rodzinnych do Pojawia i zmusiły zamieszkać w opuszczonej nędznej chałupinie na skraju wioski pod lasem. Miała ona synka ukochanego, Jasia, będącego jedyną jej pociechą, jedynym celem życia i zabiegliwej skrzętności. Ludzie stronili od biednych „przybłędów", nie mających we wsi żadnego krewieństwa. Najuboższe tylko jednostki, mogące się choć trochę pożywić u tych „przybłędów", garną się do nich i są im przyjazne. Przygoda Jasia na pastwisku z czerwoną „galantą" czapką, którą mu urwis Kuba do wody wrzucił, za co następnie przez innych chłopaków, dzięki paru grajcarom przyniesionym przez Jasia, został giętką wicią przeciągnięty, stanowi węzeł zajść między przybłędami a bogatymi mieszkańcami wioski, zajść, które się skończyły spaleniem chałupy przybłędów, śmiercią Jasia i ucieczką tegoż przed grozą prześladowań, jakich się obawiał.

Śliczną jest postać tej matki czułej, serdecznej, zapracowanej, nie mającej ani rozrywki żadnej, ani opieki i obrony, wpatrzonej tylko w syna, jego radością rozradowanej, jego smutkiem przygnębionej. Szczegóły realistyczne z życia powszedniego, wybornie z całą prawdą odmalowane, nie dają się rozpłynąć tej postaci w mgle sentymentalnej, lecz utrzymują w świeżej atmosferze świata rzeczywistego. A i Jaś, czy w dziecięcej dumie pysząc się swoją czerwoną czapką i nowemi butami, czy w słusznym gniewie wybuchając przeciw złośliwemu Kubie, czy dzieląc się swojem skromnem pożywieniem z głodnemi dzieciakami Płonczyny, czy w czasie choroby słuchając z zajęciem baśni czarodziejskich, czy tęskniąc do elementarza i nauki, czy uciekając przed ludźmi, których ze złej jedynie poznał strony, przed siebie, bez pamięci, gdzie oczy poniosą; zawsze i wszędzie jest prawdziwym, naturalnym i budzi najszczersze spółczucie.

Te dwie główne postaci stanowią pierwiastek tkliwy opowiadania; pierwiastek zaś chłodnej obserwacji różnych stron życia wiejskiego jest bardzo obficie reprezentowany. Poznajemy więc i bogaczów wiejskich, ubiegających się o urząd wójtowski, w kilku bardzo znamiennych odmianach, poznajemy człowieka, który pragnąłby tylko pić, hulać i zwodzić dziewczęta, a przemarnowawszy całą swoją cząstkę dziedzictwa, okrada rodzinę, wdaje się w konszachty z żydami, idzie do więzienia, w końcu powoli ulega przemianie pod wpływem wytrwałej, niczem zrazić się nie dającej Franki, która pracą wytrwałą umiała sobie stworzyć skromne gospodarstwo.

Widzimy dalej cynika wiejskiego, Siemieńca, kunsztownie spluwającego przez zęby, grzebiącego żonę w nocy bez księdza, bo „czy tak, czy owak będzie ona na sądzie Boskim", i starca Skowrona, którego „dzieciska z pościeli zawlokły do samych drzwi chaty, aby śmierć, jak próg przestąpi, zdybała go odrazu", a który dzięki kilku łykom piołunówki, podanej przez Siemieńca a wypitej chciwie, lubo z zapewnieniem, że nie myśli się śmierci oganiać, wstał na nogi, poszedł do karczmy i raczył się wódką zafundowaną przez cynika za odzież pogrzebanej Kasi...

Nie można też przepomnieć o tych dwu siostrach, które wieśniacy poczytują za czarownice, a które na tej opinji bardzo dobrze wychodzą, bo nie pracując żyć mają z czego. I arendarz wiejski, i żydzi małomiasteczkowi, i muzykanci, wszystko to z taką naturalnością, a z takim umiarem artystycznym zostało wciągnięte w historję „przybłędów", że służąc do wypełnienia obrazu stosunków wiejskich, równocześnie podaje czytelnikowi możność zadowolenia różnorodnych uczuć na bardzo rozległej skali i w ustopniowaniu nader bogatem. Ta umiejętnośćześrodkowania wszystkich użytych efektów wywołuje doskonałość utworu pod względem kompozycji.

---

## III.

Sewer jest szczerym demokratą, lecz bynajmniej nie demagogiem. Nie pragnie on waśnić z sobą różnych warstw społecznych, lecz wymaga od wszystkich, ażeby w życiu czynny a pożyteczny udział brały. Wyzysk, w jakiejkolwiek pojawia się postaci, czy jako handlowe szachrajstwo, czy jako prywata, ciągnąca korzyści z ogólnego dobra, czy jako wydobywanie z opłaty zbytkownych wydatków, piętnuje on równie silnie, jak wygodną bezczynność, społeczną bierność, nieużyte sobkostwo. Nie ma on swoich specjalnych ulubieńców, którymby wszystkie zalety przyznając, im kierunek spraw społecznych powierzał; nie myśli dopatrywać w jakichś fachowych zajęciach gwarancji rozumienia i spełniania obowiązków; nie wprowadza na pierwszy plan doktorów, inżenierów, adwokatów, jak to robili w swoim czasie niektórzy nasi powieściopisarze, lecz bierze materjał do swych utworów ze sfer różnych, wskazuje dodatnie i ujemne strony wszędzie, bohaterów doskonałych nie tworzy, ale też nie lubuje się w całkowicie czarnych postaciach.

Dotychczas najczęściej i najchętniej dotykał stosunków żydowskich, artystycznych i ziemiańskich. W kwestji żydowskiej Sewer, nie wdając się w rozbiór zasadniczy, ani też nie podnosząc haseł t. zw. liberalizmu, przedstawia sprawę na gruncie faktycznym w Galicji w czasach najnowszych. Nie bieli on ani czerni żydów; gdzie widzi szachrajstwo i zdrożność moralną, to nazywa je właściwem imieniem; gdzie zaś dostrzega usiłowań w celu etycznego podniesienia żydów, kreśli je z uznaniem. Powieścią, skupiającą wszechstronnie wszystkie wybitne czynniki kwestji żydowskiej w Galicji, jest „Zyzma". Rzecz ta drukowana była w *Ateneum* w 1884 i 1885-go i należy do najlepszych utworów Sewera.

Z pierwszą młodością Zyzmy poznaliśmy się już w noweli „Nad brzegiem Rudawy". Charakter bohatera, jaki tam został zaznaczony, utrzymuje się konsekwentnie w tej nowej, obszernej powieści. Zyzma pragnie się zbogacić, ale się brzydzi nieuczciwością, ma w sobie szlachetne popędy, które mu znikczemnieć, zamknąć się w sferze sobkostwa nie dozwalają. Jedzie do Wiednia, jest bezpłatnym dostarczycielem nowin giełdowych dla *Neue freie Presse*, podchwytuje tajemnicę kampanji Rotszylda przeciwko Boutoux, zużytkowuje ją w grze na giełdzie i staje się odrazu zamożnym człowiekiem. Wówczas otwierają się przed nim salony chwiejących się bankierów, gdy atoli się przekonał, że go tam ciągną nie dla jego osoby, lecz dla jego pieniędzy, ambitny młodzian ucieka z salonów, by się powierzyć redaktorowi *Neue freie Presse*, który chce go zużytkować jako swego korespondenta z Galicji. Zyzma wykształconym nie był; olśniły go słyszane z ust redaktora teorje o posłannictwie rasy żydowskiej, o jej wyższości nad innemi, a więc i o jej prawie panowania nad światem. Wprawdzie w duszy jego tkwią też uczucia sympatji dla tych, wśród których spędził dzieciństwo swoje, a zajęcie się losem zrozpaczonej hrabiny, która, wyszedłszy za człowieka nie pochodzącego ze sfery arystokratycznej, została przez tę sferę odepchnięta, stawia Zyzmę w kolizji z misją, jaką wziął na siebie. Potrzeba będzie czasu i wielu przykrych doświadczeń, by się te sprzeczne dążenia i interesy ułożyły, a raczej by szlachetność wzięła górę nad ambicją i żądzą znaczenia.

Szkołą, w której Zyzma wyrabia i wyjaśnia sam sobie swoje stanowisko, jest towarzystwo lwowskie, któremu zarekomendowany został jako korespondent *Nowej prasy*. W towarzystwie tem pierwszą rolę, z natury stosunków Zyzmy, odgrywają żydzi zamożni. Pomiędzy nimi bardzo rychło wyróżnia bohater cztery grupy. Jedna—to otwarci zwolennicy cywilizacji niemieckiej, mówiący w domu jej językiem, wyzyskujący, ile się tylko daje, stosunki miejscowe. Drugą grupę reprezentuje dr. Fuchs, siedzący na dwu stołkach, wobec stronników niemczyzny powstaje on na krajowców, wobec krajowców kryje się ze swemi centralistycznemi sympatjami, a w końcu wywiesza (pozornie tylko) sztandar palestyński; zamało ma jednak przebiegłości, ażeby się stać naprawdę wpływowym i ciągnąć wielkie zyski ze swojego stanowiska; musi zatem poprzestać na skromnych

łoodach. Trzeciej grupy przedstawicielem jest ecokat Blum, mający z powodu interesów stosun- z arystokracją, dbający jedynie o własne korzyści ierjalne, które też umie bardzo zręcznie ściągać ze vszystkich stron, posługując się swoimi klijentami a narzędziami. Czwartą wreszcie grupę tworzy łodzież, która szczerze pragnie etycznego dźwignięcia żydów, zawiązuje w tym celu stowarzyszenie, vydaje czasopismo.

Żyzma nie może się odrazu w tym chaosie zorjenować i popada w najfałszywsze położenie, tembardziej, że przebiegły i przewrotny Blum potrafił go vwikłać pod nader pięknemi pozorami w sprawę wyednania koncesji na kolej, którą potem odprzeda Niemcom. Jedni mają Zyzmę za ajenta *Nowej prasy*, drudzy za przeciwnika zarówno niemczyzny jak żydowszczyzny dlatego, że się łączył z młodzieżą zraelską i łożył na jej wydawnictwo. Do tego obozu pociągnął go zapał jego przewódzców, a adto miłość do siostry jednego z nich. Fanatycy urządzili zasadzkę na życie Zyzmy, który ciężko musiał ją odchorować, lecz zarazem doznał serdecznej pociechy w uznaniu swoich młodych przyjaciół i miłości ukochanej Żanety. Ustalił już swoje sympatje i przekonania i działać zaczął. Historja jego est w wysokim stopniu zajmującą i obrobioną z wielkim talentem, z niepospolitą werwą i dramatycznością.

W obrazowaniu życia artystycznego Sewer stanowczo zerwał z dawną rutyną deklamowania na temat sztuki, jej znaczenia dla społeczeństwa, jej upośledzenia pod względem materjalnym itp. Nie maluje on wielkich, niby niepoznanych artystów, ani też nie popada w drugą ostateczność, przez naturalistów z lubością na jaw wydobywaną, rozszerzania się nad brudami życia tych, co się cisną do przybytków artyzmu. Wystawia on raczej takie osobistości i takie stosunki, jakich w świecie rzeczywistym spotykamy najczęściej: ludzi mniej więcej zdolnych, którzy z upodobaniem oddają się umiłowanemu zawodowi, a jakiekolwiek czekają ich losy, nie tracą odwagi, pocieszają się, jak mogą i umieją, pracując dalej.

I w przedstawianiu tego cygańskiego żywota artystów wraca Sewerowi ów styl sypiący iskrami dowcipu, który tyle powabu nadawał jego „Szkicom Anglji". Widocznie tu jest najbardziej w swoim żywiole, tu odtwarza myśli i uczucia zajmujące go najsilniej, tu się może posługiwać językiem, którego używa w sferach literackich.

Najwcześniej zobrazował usposobienie i przygody wędrownych aktorów w powieści „Za kulisami" (1887 w *Gaz. polsk.*) Od czasu gdy Korzeniowski we „Wdowcu" sposobem epizodycznym nakreślił kilka wybornych sylwetek i odmalował stosunki tej wesołej, swarliwej i swarliwej dziatwy Melpomeny; wielu traktowało ten temat, ale nikt nie dorównywał doskonałemu obserwatorowi i plastykowi, jakim był autor „Spekulanta". Jedni wdawali się w zbyt małostkowe szczegóły, inni tonem lamentacyjnym opiewali nędzę z jednej, obojętność z drugiej strony. Kilka figur nakreślono trafnie (Rapacki, Łętowski, Zamarajew), ale całości artystycznej, któraby rysy poszczególne w pewną harmonijną całość złączyła, nie przypominam sobie. Sewer dał właśnie taką całość.

Pod wodzą zręcznego, przemyślnego i wesołego dyrektora jeździ nieliczna gromadka aktorów po miastach prowincjonalnych; w jednem daje zaledwie trzy przedstawienia, nie chcąc przeciągać struny, która wyjęczała głównie skutkiem puszczonej wieści o znakomitem pochodzeniu jednej z artystek, w innem osiada na sezon zimowy i doznaje chwilowo gorącego poparcia, dopóki się nie zaczęły tańce i bale.

W czasie względnego przynajmniej powodzenia panuje lekkomyślna nieopatrzność i wesołość; w dobie zastoju i obojętności zaczynają się, jak naturalna, niezadowolenia, kwasy, szukanie sobie jakiegoś chlebodajnego zajęcia, rozprzężenie, ucieczka. Wszystkie szczegóły życia, przygotowania do przedstawień, reklamy, reprezentacje, wieczerze, rozmowy, wzajemne przymówki i intryżki z taką prawdą, siłą, wyrazistością i smakiem zostały odmalowane, że czytelnik czuje się istotnie wśród grona żywych osób, mówiących i działających z siebie, nie zaś z samowoli autora.

Każda z figur ma swoją znamienną fizjognomję, a pomiędzy nich wybitnieje jako bohaterka kobieta wysoce utalentowana, moralnie czysta, nie lubiąca dzielić zbyt wesołych i wolnych zabaw swojego otoczenia, ale nie skrupulizująca z konwenansami. Ta niezależność nie podoba się w końcu (t. j. w chwili niepowodzeń teatralnych) ani aktorom, ani małomiejskiej publiczności. Aktorzy sądzą, że surowością swą odstręcza protektorów widowisk, publiczność zaś zgorszenie w jej stosunku do pierwszego teatralnego kochanka, człowieka pełnego pretensyj do ...a, samoluba bez charakteru. Rozgoryczona, zawiedziona na człowieku, którego silnie pokochała, opuszcza teatr, aby odpocząć na wsi, zmienić ... życia. Towarzyszy jej Wikta, dziewczyna z ...tóra, skończywszy szkołę ludową, nabrała smaku do czytania, a dostawszy się do usług Józi, użytą została do ról subretek. Lato spędziły obie kobiety na wsi bardzo mile u ojca Wikty, ale wraz z sezonem jesiennym Józia zatęskniła za teatrem i z zapałem przyjęła ofertę jednego z dyrektorów. Natura nie mogła już jej zastąpić tego, co dawała sztuka, choćby z dodatkiem upokorzeń i zawodów. Wikta oczywiście jej towarzyszyła. Całość utrzymana w tonie pogodnym, harmonijnie łączącym sprzeczne wrażenia i nastroje.

W przedstawieniu życia malarzy odbiło się spółczesne usposobienie artystów. Nie treść, nie temat, nie duchowa strona obrazu ich zajmuje, ale forma, technika, wykonanie. Sewer przejął się wszystkiemi charakterystycznemi szczegółami aż do osobnej gwary mistrzów pędzla i z werwą wielką, gorączkowo niemal odmalował parę figur wybornych.

W „Konkursie" dał nam poznać z jednej strony prawdziwie artystyczny, żywy jak skra temperament, lekkomyślny, ale poczciwy charakter malarza poszukującego modelu dla namalowania pięknego biustu, a z drugiej—rutynę, pełną pruderji, uprzedzeń i zastrzeżeń, rutynę, która odtworzenie natury nazywa niemoralnością.

W „Dzielnej kobiecie" pochwycił i odtworzył naturę artysty, nie znoszącą żadnych więzów, nawet więzów dobrobytu. Adam dostał za żonę kobietę bogatą, z pańskiej rodziny, wykształconą, samowolną; lecz życie zbytkowne bynajmniej nie sprzyjało jego natchnieniu, poczuł niezwalczoną potrzebę odetchnięcia w atmosferze cyganów artystycznych w jednem z ognisk sztuki; tam wśród towarzyszów zawodu znalazł się w swoim żywiole i stworzył piękny obraz. Żona z początku mocno dotknięta postępkiem męża, dla którego zerwała ze swoim światem, nie poszła jednak torem pospolitym dąsów, kwasów i wyrzutów, wniknęła w duszę artysty i podążyła z nim razem w krainę sztuki, dając za wygraną powabom salonu, pod któremi kryje się czczość a niekiedy i zbrodnia, upostaciowana w Henryku. Psychologja może nie wszędzie zadowalnia w „Dzielnej kobiecie", ale strona malarska, zwłaszcza w przedstawieniu scen z życia artystów w Monachjum, może ubiegać się o lepsze z mistrzowskiemi obrazami francuzów w tym rodzaju.

W ścisłem wewnętrznem powinowactwie z życiem artystów jest życie inteligencji wogóle w przeciwstawieniu do prozaicznego, czysto materjalnego pojmowania potrzeb i zadań społecznych. Sewer dał nam „W kleszczach" przykład bezsilnego szamotania się jednostki wyższej, mogącej zajaśnieć w dziedzinie badań naukowych a skrępowanej więzami zewnętrznych warunków istnienia; płaskość mieszczańskiego trybu życia zabija w niej zdolności.

Nowella ta nasuwa nam przejście do ostatniej grupy utworów Sewera, malującej życie warstwy szlacheckiej w jej różnorodnych związkach z mieszczaństwem i z arystokracją. Już w poprzednich grupach nieraz nam ukazywał autor tę warstwę, czy to w stosunku do ludu wiejskiego, czy do żydów, czy do artystów. Częściej malował stronę jej ujemną, niż dodatnią, lubo jakiejś z góry powziętej niechęci dla niej nie miał. Jest atoli parę utworów, w których wyłączniej nią się zajmuje.

I tak „Pozytywizm w praktyce" przedstawia nam ziemianina, który głośno się popisuje takiemi hasłami, jak: wyrachowanie, oschłość serca, interes osobisty, gromadzenie grosza, lecz w gruncie rzeczy jest charakterem uczciwym, a nawet uczuciowym, i pod wpływem miłości ten grunt wewnętrzny wydobywa się na jaw.

„Pan Piotr"—to starannie wykończony wizerunek człowieka, który dla zaszczytu kłaniania się wielkim panom i paniom, dla przyjemności raczenia się u nich obiadami czy kolacjami, oddaje im na usługi swój czas, swój niewielki zresztą sprycik, swoją całą osobę — i otrzymuje za to w końcu, gdy wynik starań jego okazał się niepomyślnym, wzgardliwy uśmiech i wypowiedzenie wstępu do salonów. W szczegółach jest to figura zupełnie nowa w belletrystyce naszej i wykonana wybornie.

„Słowa a czyny" (1890, Warszawa) przedstawiają kilka ważnych a znamiennych rysów z życia Galicji spółczesnej, z jej stosunków autonomicznych. Najświetniej nakreślonym jest tu pan marszałek powiatowy, Rembowski, z sercem poczciwem i szlachetnem, ale z głową słabą, przejętą wszakże największem dla siebie uznaniem. Stara się on o wszystkie dostojniejsze stanowiska w powiecie, biorąc na swe barki ciężar nad siły, pragnąc wszelkiemi sposobami pozyskać sobie popularność wśród szlachty, a zaniedbując własne gospodarstwo, które grozi rychłą ruiną. Na każde wystąpienie publiczne ma on gotowe frazesy, które powtarzając tysiąckrotnie nietylko się nie znużył, lecz owszem upaja się niemi nawet wówczas, gdy je sam przed sobą wygłasza. Przywykł do dobrodusznego pozowania, nie czując sztuczności ani w swej postawie, ani w swych słowach. Ciągle u niego na ustach: obowiązek, poświęcenie; ciągle wydaje się zajętym i przekonanym, że na nim losy powiatu, a może i całej prowincji spoczywają, choć w rzeczywistości wszystkie ważne referaty odrabia sekretarz, a sam pan marszałek wtedy tylko spryt znaczny okazuje, gdy idzie o obronę własnego stanowiska, gdy spostrzega niebezpieczeństwo zachwiania tej powagi, jaką sobie umiał wyrobić. Rozumie się, że i wówczas nie dopuszcza twierdzenia, ba, myśli nawet, jakoby działał z pobudek samolubnych. Nie chce się podzielić osiągniętą władzą z nikim dlatego, że nie widzi ludzi dostatecznie zdolnych i dostatecznie z egoizmu wyzutych, ażeby się mogli poświęcić na usługi publiczne i umieli je spełniać.

W procesie tym najlepiej uwidoczniony został kontrast ogólno-ludzki, a więc i w naszem społeczeństwie bardzo częsty, kontrast pomiędzy słowami a czynami. Rembowski był właściwie tylko prezesem od parady, a zaniedbawszy gospodarstwo, lubo mniema, że jedna jego na tydzień rozmowa z ekonomem wystarczy na pokierowanie całą maszyną, doprowadza do sprzedaży majątek rodzinny; ale i wtedy jeszcze się nie poprawia, chociaż przychodzi do pewnego zastanowienia nad postępowaniem swojem. Dostawszy urzędzik w mieście, polityku je dalej na zabój i ubiega się o najpodrzędniejsze bodaj prezesostwo w jakiem zebraniu. W tej drugiej fazie zaniechał trochę swego marszałka autor, a szkoda! bo gdyby do końca konsekwentnie był przeprowadził ten charakter, byłby stworzył kreację pierwszorzędną.

Podobnież w początkach dużo zajmuje miejsca pan Jan, dorobkowicz, ożeniony z córką utytułowanego rodu, przejęty ambicją wyprowadzenia syna swego na szerszą widownię polityczną. Bierze on potem udział tylko w akcji wyborczej, ale gra rolę bardzo niepoczesną, a zostawszy marszałkiem po Rembowskim, formalizmem zraża zdolniejszych i wywołuje niechęć ogólną.

Wreszcie nadzieje, pokładane w synu Adamie, zawodzą go najfatalniej; syn ten bowiem nietylko nie zrobił karjery politycznej, ale się w dodatku zdegradował społecznie, biorąc za żonę aktorkę.

Wyborną była w pomyśle postać Tadeusza, idealisty, marzyciela, który, pomimo ciężko przebytych kolei, nie stracił prawie nic ze swej młodzieńczej wybujałości.

Od chwili zwłaszcza, gdy obok niego stanął „pozytywista" Radwan, z rozumem wyostrzonym a sercem wystudzonem, można się było spodziewać rozwinięcia przepięknej paraleli pomiędzy temi charakterami, na których duch czasu odcisnął swe cechy; u autora została ona zlekka tylko zaznaczona.

Z wybitniejszych zresztą postaci tej powieści, obfitującej w szczegóły znamienne i osobistości silnie odznaczone, wymienić jeszcze wypada śliczną sylwetkę Julji, córki Rombowskiego, śmiałej, czynnej, nie załamującej rąk w nieszczęściu, lecz umiejącej pracować z powodzeniem i korzyścią dla siebie i innych.

Najświeższa powieść społeczna Sewera „Nafta" zbyt dobrze jest znana czytelnikom *Kurjera*, ażebym ją potrzebował rozbierać...

Mówiąc w ogóle, talent naszego powieściopisarza dzielny, prawdziwie męski, zupełnie wolny od sentymentalności, pogodny, woli przedstawiać jaśniejsze strony życia, a przynajmniej oświetlać je częściej niż ponure i groźne objawy, lubo tychże nie przeocza bynajmniej. Tym sposobem stanowi on kontrast dodatni względem tych kraczących pesymistów, których, jak na potrzeby nasze, jest trochę zadużo.

**Piotr Chmielowski.**

---

# PAN KAROL,

## OBRAZEK GALICYJSKI.

Pan Karol był blondynem, cerę miał jak mleko,
Oko jasne, nos taki, że szukać daleko,
Twarz okrągłą, wąs pełny, wypomadowany,
Jednem słowem, był piękny, jakby z porcelany.
Urodził się pan Karol ze świętej pamięci
Ojca, który dla syna miał najlepsze chęci,
I z matki, która, w mężu swoim zakochana,
Widziała w nim, posłuszna, półboga i pana.
Owóż pana Karola rodzic, praktyk stary,
W systemie wychowania znajdując przywary,
Postanowił wypełnić dostrzeżone luki
I syna na zasadach wychować nauki.
Więc najpierwej, teorji trzymając się klamki,
Do małego Karolka nie dopuścił mamki.
„Toż każdy, jak na dłoni—mawiał—widzi jasno,
„Że człowiek ma kłopotu dość z naturą własną.
„Po cóż go więc narażać, by w postaci mleka
„Połykał niedostatki drugiego człowieka?
„Może trafić na mamkę niepotem, złośnicę,
„Wyssać z niej w razie czego raka, lub gruźlicę,
„Jeśli więc moje dziecko musi mieć narowy,
„To już wolę sto razy, niech je ma od krowy."

I Karolek ssał sobie wielu krów rozumy
Z flaszeczki, zakończonej małą kulką z gumy,
A ssał je z apetytem i takiem zacięciem,
Że śmiało jenerałem mógł zostać cielęciem.
Czy został? O tem można rzeczy to i owo.
Bądź co bądź, rósł na podziw i chował się zdrowo,
Aż znalazł się powoli w zabawek epoce.
Wtedy to rodzic jego dumał dni i noce,
Jakby, jedynakowi umilając chwile,
Dać coś, coby mu było *dulce et utile*.

Więc, skoro tylko głowę podniósł nad poduszkę,
Kupił mu fajansową, ze szpareczką puszkę,
Wrzucił grosz i uczynił z niej rodzaj grzechotki,
Dającej odgłos równie zabawny jak słodki.
Karolkowi to cacko tak się podobało,
Że skoro tylko dźwignął je rączyną małą,
Czule cisnął do piersi i ciągnął do gęby.
A choć o puszkę szczerbił pierworodne zęby,
Przyjaźń, raz z nią zawarta, trwała długie lata.
Gdy puszka była pełną, Karolkowy tata
Brał ją i, wyciągnąwszy nożem jej wnętrzności,
Dla synalka do kasy nosił oszczędności...

Tak, powoli pan Karol rósł sobie wesoły...
Miał lat sześć, gdy go ojciec zapędził do szkoły.
„Bo—mawiał—dziecko w domu dobrze się nie chowa,
„Nic tak głowy nie kształci, jak szkoła ludowa.
„Tam, chłopak za naukę nie dawszy i centa,
„Pozna życia arkany oraz mankamenta..."
I miał słuszność, bo szkoła, ludową nazwana,
Jest niejako rodzajem u nas Al-Korana,
Zwłaszcza dla tych, co na niej kończą edukację.
Człowiek, mając lat dziesięć, pozna gwiazd rotacje,
Kąty ostre, rozwarte, trapez, parabole,
Jaką w zdaniu złożonem podmiot grywa rolę,
A z świadectwem w kieszeni, napisze mniej więcej:
*Jezdem jusz zdruf zópełnie od cztyrych miesiency.*

Jednakże ta ludowej szkoły aureola
Nie ubliżyła wcale czci pana Karola,
Który w gimnazjum począł naukę na nowo.
A chociaż był w niejakiem kuzynostwie z krową,
Postępy czynił wielkie; no, i byłby święcie
Jasną gwiazdą na lwowskim błysnął firmamencie,
Gdyby nie ukochana i wspaniała greka,
Która mu tak tęgiego wbiła w głowę ćwieka,
Że już jej nie odgwoździł do końca żywota.
Pomimo to niejedna zakwitła w nim cnota
Na szlachetnej podlewie onego klasycyzmu.
Ileż razy, greckiego pełen heroizmu,
Karolek, zasypiając, wkładał pod poduszki
Boskie księgi Achajów obok miłej puszki!
Łącząc mądrość Solona, cnotę Arystyda,
Z bohaterstwem Achilla i rozumem żyda!
Tak, humanitaryzmem nadziewając duszę,
Po ośmiu latach przebrnął matury katusze
I ruszył na wszechnicę...

Wybrał sobie *prawo*.

Raz, że sam był niejako chodzącą ustawą,
Potem, że *prawo* zbytniej pracy nie wymaga,
I że prawników pewna otacza powaga.
Prawnik, gdy los pojęciem obdarzy go bystrem,
Może i ekscelencją zostać i ministrem,
Przyczem zainkasować krocie, ba, miljony!
Gdyby zaś mózg miał nawet nieco przygwożdżony,
To i tak, krocząc ciemnym biura korytarzem,
Zbudzi się prędzej później jakim konsyljarzem.
Te powody i pana Karola skłoniły,
Że *pandektom* poświęcił wszystkie swoje siły,
Polityki unikał; chodził na wykłady,
Zdawał kollokwja... słowem, przystał do gromady
Tej przeciętnej, statecznej, praktycznej młodzieży,
Która na zimne dmucha, w ideał nie wierzy,
I niczemu zwyczaju nie ma stawać kantem.
Kiedy wstąpił do biura i był auskultantem,
Te same przekonania wiodły jego kroki;
Nie zazdrościł tym, którzy pną się pod obłoki,
Kłaniał się przełożonym, pracował powoli,
Regularnie, spokojnie... Tak, kontent z swej doli,
Żył sobie uśmiechnięty, swobodny, bez grzechu,
Cicho, miło i słodko, jak robak w orzechu.

A jednakże pan Karol raz wylazł z orzecha.
Wywabiła go ztamtąd ludzkości pociecha,
Miłość, w postaci młodej, uroczej dziewczyny.

I stać się mogły wkrótce wesele i chrzciny,
Gdyby nie zacny rodzic Imć pana Karola,
Który mu wytłumaczył, że małżonka rola
Nie przystoi mężczyźnie tak jak on młodemu,
Że sobie zwichnie przyszłość, że ma czas po temu;
Wskutek czego, pan Karol choć w istocie młody,
Uznał za racjonalne ojcowskie wywody,
I miłość swoją, ile że była skrzydlata,
Zamknął do pudełeczka na późniejsze lata.

I oto lat dziesiątek przepędził miarowo,
Nie pracując zbytecznie sercem ani głową;
Uczęszczał do teatru, lub składał wizyty,
Elegancko odziany, ugrzeczniony, syty...
Ta tylko w życiu jego zaszła mała zmiana,
Że naprzód rodzicielka jego ukochana,
A potem rodzic, tylu radami bogaty,
Pożegnawszy go, w lepsze udali się światy,
Zostawiając mu, w zamian, zalanemu łzami,
Kilkoro sztuk zastawnych listów—z kuponami.
Pan Karol kapitalik schował do komody
I dalej pędził chwile spokojnej wygody,
Wśród której sekretarzem zrobiono go w biurze
Tak, mając dochodziki przyzwoicie duże,
W czterdziestym roku życia, pan Karol, szczęśliwy,
Raz w pięknej swojej brodzie zobaczył włos siwy,
A na wspaniałem czole zaczątek łysiny.
Nieco się zirytował, lecz nie stracił miny,
Tylko siadł i w poważnej utonął zadumie,
Która przy jego mocno praktycznym rozumie
Pokazała mu, że jest cokolwiek znudzony.
Więc obejrzawszy siebie z tej i owej strony,
I nie chcąc się zmarnować jako pusta sieczka,
Wstał i zamkniętą miłość wyjął z pudełeczka.

Biedna, latek piętnaście w pudle przeleżała,
Więc była zapylona, chuda i ospała.
Pan Karol ją okurzył, znalazł wcale ładną,
I przeżegnawszy, włożył sobie w serce na dno.
Od tej pory myśl jego innym biegła torem,
Bo choć w biurze był zawsze pracownika wzorem,
Włos i brodę w misterne układał motyle,
I po za biurem—pannom oddał wszystkie chwile.
Trudności nie napotkał w swoim zacnym celu;
Bo nietylko że bywał w domach bardzo wielu,
Lecz wszędzie, jako piękny okaz epuzera,
Spotykała go grzeczność i zachęta szczera.
Z tem wszystkiem długo błądził oczyma bez skutku,
I miłość swoją puszczał bardzo pomalutku.
Raz spotkał się wszelako z jedną, nader gładką,
Niewiastą, jak ulaną—cóż? kiedy mężatką!
Ochotkę miał nielada, ale na myśl o tem,
Jakim romans z mężatką grozi mu kłopotem,
Gdy zważył pojedynki... połamane nogi...
Uważał, że interes jest nieco za drogi,
I poszedł tak, jak przyszedł.

Odpoczął rok cały,

Poczem znowu ku pannom zwrócił swe zapały,
I znowu z sercem swojem nie mógł przyjść do ładu.
Aż raz, w pośród jakiegoś balu, czy obiadu,
Ujrzał miłą i pulchną, jak anioł, panienkę.
Podziwiał jej biust, oczy, nosek, drobną rękę...
Zbliżył się raz i drugi, i trzeci, i czwarty...
I ostatecznie uznał, że to nie są żarty.
Że wabik, zaczajony w tem lichem stworzonku,
Przyciąga go ku sobie niby na postronku.

Więc postanowił, jako za tydzień, w niedzielę,
Oświadczy się, a w kwartał urządzi wesele;
Pod tym jednak warunkiem, że przedtem, w sobotę,
Wszechstronnie zbada swoją na męża ochotę.
W sobotę wieczór tedy usiadł zamyślony,
By jasno stwierdzić *habet* oraz *debet* żony.

Wyjął arkusz papieru, zaostrzył ołówek,
Poślinił go, odetchnął, położył nagłówek,
Rzucił cyfr kilkanaście, jedno, drugie zdanie,
Kreślił jakieś dzielenie i odejmowanie,
Uśmiechał się, przestawał, palił papierosa,
Patrzył na papier prosto i patrzył z ukosa,
Lecz, gdy skończył rachunek i opatrzył datą,
Minę coś niewyraźną miał i kwaskowatą.

Bilansik mu pokazał, że *habet* żoniny,
W porównaniu z *debetem*, to nieledwie drwiny.
Wykazywał on sporo szczęścia i słodyczy,
Lecz co zachodów!... dzieci!... tego nikt nie zliczy!
Serce mu jednak rwało się ku onej pannie;
Westchnął ciężko, wziął papier, złożył go starannie,
I począł szybko chodzić... aż zmęczywszy nogę,
Rzucił się na kanapę i rzekł: „nie, nie mogę."

Poczem wstał i, choć nieco podirytowany,
Rozebrał się, położył, obrócił do ściany,
I wolny od widziadeł sennych i omamień,
Dwanaście godzin z rzędu spał twardo, jak kamień.

Rano, gdy się obudził i przeciągnął kości,
Z całym spokojem duszy dał urlop miłości,
Misternego motyla na głowie zlał wodą,
Tę samą operację uskutecznił z brodą
I udał się do biura, jakby nic nie było.
Jedna tylko historja była mu niemiłą:
Czuł się nieco w konkurach zaangażowany.
Ale od czego rozum, wziął go na barany
I poszedł z nim do panny, gdzie, z końcem wizyty,
Oświadczył, że się czuje, jakby w ziemię wbity,
To jest chory, że radził się doktora Capka,
Który orzekł, że w sercu psuje mu się klapka
I że musi na dłużej jechać do Abazji.

Tak, wybrnąwszy szczęśliwie z niemiłej okazji,
W dni kilka rzeczywiście dostał urlop z biura,
Czyli alegorycznie rzecz biorąc—dał nura.

Gdy po kilku miesiącach powrócił do domu
I o dawny ideał pytał pokryjomu,
Niespodzianie spotkała go miła nowina:
Panna wyszła już za mąż, za swego kuzyna.
To go uspokoiło; i znowu pogodnie
Płynęły mu, jak dawniej, i dni i tygodnie.
Rano chodził do biura, wieczór do kasyna,
Gdzie, chociaż w karty nie grał, przy kieliszku wina
Gawędził z znajomymi, lub czytał dzienniki,
Pilnie śledząc wypadki miejscowej kroniki,
Kursy i inseraty; do domu szedł wcześnie;
Bo najmilsze poczucie istnienia—miał we śnie,
Jako też w filiżance rannej kawy mokka.
Tak mu roczek za rokiem leciał w mgnieniu oka.
W tym czasie, raz, gdy pióro kładł do kałamarza,
Los przyniósł mu w prezencie godność konsyliarza;
A jako konsekwentny Pan i sprawiedliwy,
Dodał wspaniałomyślnie: łysinę, włos siwy,
Mały katar żołądka, mały proch na oku,
Mały reumatyzm w nodze, małe kłucie w boku,
Jednem słowem, te wszystkie małe bagatele,
Kwaterujące sobie kątem w ludzkiem ciele,
Gdy człowiek już szóstego dobiega krzyżyka.
Pana Karola jednak nie brała panika.

Tym samym trybem pędził i dni i miesiące,
Praktycznie i statecznie, jak ślimak na łące,
Rzadko wysuwający na świat Boży rogi.
Raz jednakże wysunął, i, o losie błogi!
Spotkał się oko w oko, z kim?—O chwilo miła!
Z miłością, co z urlopu właśnie powróciła,
A stęskniona i długim postem wypoczęta,
Natychmiast nań zdradliwe zarzuciła pęta.
Wskutek czego pan Karol, pewnego wieczora,
Uczuł, że mu na sercu siadła dziwna zmora,
Co go dusi i dławi, i szarpie, a przytem
Głaszcze miło i słodko, jakby aksamitem,
I rozkoszne balsamy wlewa mu do duszy.
Słowem, że się zakochał aż po same uszy.
Naturalnie, że w pannie—córce adwokata.
Panna była przystojna, młoda i bogata,
Ale pan Karol na to nie zważał—i na nic.
Szalał, jak zwykle starzy szaleją—bez granic.

Nie wdawał się już w żadne *habety, debety*...
Dzień i noc tylko myślał, jak dotrzeć do mety,
To jest ze swem bożyszczem klęknąć u ołtarza.
Więc, pomimo powagi słusznej konsyljarza,
Twarz pudrował, włos czernił; a że go o tyle
Nie miał już, by usadzać misterne motyle,
Zbierał go z boków głowy i rzutem figlarnym
Nakrywał nim łysinę, niby plastrem czarnym.
Rzecz jasna, że prócz pudru i onej fryzury
Posprawiał sobie nowe, modne garnitury,
Zasypywał bogdankę kwieciem i cukrami,
Uśmiechał się, szarmancko posuwał nogami,
Bóg wie nie co—wszelako rzeczy szły oporem.
Więc pan Karol, trawiony ogniem i honorem,
Postanowił raz skończyć; lecz, że konjunktura
Nie była dość wyraźna, przyjaciela z biura
Uprosił, by w tym razie służył mu za swata.
Przyjaciel, człek rozumny, kochał go jak brata;
Więc mu jasno przedstawił, jako jest za stary
Na męża młodej panny, wspominał przywary,
Reumatyzm i kłucie... na nic się nie zdało.
Musiał nazajutrz wsunąć frak na biedne ciało,
I poszedł i powrócił i przyniósł—arbuza.
Pan Karol w pierwszej chwili skoczył, jak Meduza,
Potem jęknął i zemdlał. Gdy go ocucono,
Westchnął i, na kolegi rzuciwszy się łono,
Wybuchnął wielkim płaczem.

Ta była jedyna

W życiu pana Karola bolesna godzina,
Za którą poszły inne; bo chociaż powoli
Biedaczysko chciał wrócić do praktycznej roli
Męża, który swe serce włożył do szuflady,
Dla którego cygarko i smaczne obiady
Były jedynym celem i treścią żywota,
Sił już po temu nie miał. Wola i ochota
Coraz go odbiegały, a reumatyzm w nodze,
Szum w uszach, duszność w piersiach trapiły go [srodze.
A gdy nadomiar złego katarek żołądka
Nie dał mu dobrze strawić marnego kurczątka,
Stracił humor i przyjął kucharkę do domu,
By mieć zdrowy posiłek i by było komu
Usłużyć mu w godzinach, gdy, cierpieniem zgięty,
Potrzebował herbatki, rumianku i mięty.

Ale gdy tej opieki bliźniej i pomocy
Nadużywał zbyt często, a do tego w nocy,
I ten domowy spokój miał ciężko zatruty.
Bo mu cna opiekunka czyniła wyrzuty,
Że taką głupią służbą czuje się zmęczoną.
„Cóż to, czy ja—mówiła—jestem pańską żoną,
„Ażebym grała rolę psa lub popychadła?"
I tak mu ten tematik ciągle w uszy kładła,
Że nakoniec, cichutko, pewnego poranka,
Tak przynajmniej publiczna głosi pogadanka,
Zgnębiony na umyśle, znękany na ciele,
Kucharce wieczną miłość zaprzysiągł w kościele.

**M. Rodoć.**

# PO TEATRZE.

NOWELKA.

Pan Filipek, urzędnik w banku, po dwóch latach najszczęśliwszego pożycia małżeńskiego zdobył się w dniu imienin żony na wydatek nadzwyczajny, bo kupił, niby na wiązanie dla solenizantki, bilety do teatru.

Była to uciecha i niespodzianka niemała, bo pani Filipkowa nie była, jak żyje, nigdy w teatrze. Córka ekonoma, wychowana na wsi, nie miała nigdy sposobności do tego. On znowu, choć miał sposobność za studenckich czasów bywać w teatrze, nie miał nigdy pieniędzy na to, bo musiał się z każdym grosikiem liczyć skrupulatnie, żywiąc się z kilku lekcyjek, które mu bardzo skromne dawały utrzymanie. Raz przecież, namówiony przez swojego koleżkę, skusił się na kupienie z nim na spółkę jednego biletu na galerję. . Było jednak niemało kłopotu, zanim się tam dostali, bo bileter nie chciał go wpuścić za pół biletu, choć Filipek kurczył się, jak mógł, pod algierkę, żeby mógł uchodzić za takiego malca, co ma jeszcze prawo do dziecięcego biletu. Trzeba było aż udawać się w prośby do sekretarza teatru, dyrektora. Filipek po rękach ich całował, na wszystkie świętości zaklinał, żeby zmiękczyć ich serca. Kiedy wreszcie mu się to udało, kiedy usłyszał upragnione słowo: puścić i drzwi galerji otwarły się przed nim, zdawało mu się, że raj, niebo zobaczył, choć w tem niebie nie było nic, prócz brudnych ławek i mnóstwa ludzi, których sylwetki czerniły się niekształtną masą na jasnem tle gazowego światła żyrandola. Filipek wraz ze swoim kolegą z trudnością znaleźli dla siebie wśród tego tłoku tyle miejsca koło słupka, żeby zaczepić się rękami jako tako i z po za pleców ludzkich dojrzeć kawałek sceny.

Grano wtedy „Zbójców" Szyllera. Filipek się i spłakał okrutnie i spocił ze zbytku wzruszeń i niewygodnego wiszenia w powietrzu prawie, ale miał uciechy tyle, że do dziś dnia mu ta chwila w pamięci została.

Był jeszcze potem raz, ale już na parterze i za studenckim biletem na „Trójce hultajskiej". Zdusili go, jak w prasie, w tłoku, bo parter był napchany tak, że kto chciał sięgnąć ręką do kieszeni po chustkę do nosa, to musiał do tej operacji łokciami rozpychać tłum koło siebie, który falował potem, jak rozigrane morze głów; ale co się ubawił, uśmiał, to tego nigdy nie zapomni.

Na podstawie tych wspomnień zapewniał żonę, że będzie także oczarowaną teatrem.

— Zobaczysz, jak się ubawisz—mówił, wiążąc przed lusterkiem jasny krawat, gdy żona żelazkiem zapiekała sobie przy lampie grzywkę nad czołem.

Oboje stroili się, jak mogli, bo co krzesła to nie galerja, ani parter—tłumaczył Filipek żonie—tam już bywają porządniejsze osoby, więc trzeba się ubrać, jak należy.

Jeszcze nie zdołał uporać się z wiązaniem krawata, który, jak na złość, dziś nie chciał się dobrze ułożyć, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

— Kto tam?

— To ja.

— Jaś!—zawołała zakłopotana pani Filipkowa—zaraz, zaraz, za chwileczkę.

Pozbierała co tchu ze stołu niewpięte jeszcze szpilki, sznurówkę, suknię—i uciekła z tem do kuchni dla dokończenia tam tualety, rzuciwszy na odchodnem gościowi, czekającemu za drzwiami, głosem podniesionym i ożywionym: można!

Ośmielony tem przybyły uchylił drzwi i wsunął się do pokoju.

Był to kolega biurowy Filipka, jego przyjaciel od lat wielu, a zarazem znajomy jego żony z lat panieńskich. On właściwie wyswatał Filipka, bo zawiózł go raz na odpust do znajomego księdza, gdzie nastąpiło jego poznanie z Cesią; potem, za namową tegoż kolegi, oświadczyny listowne, a niezadługo potem ślub. Z tego powodu bywał Jaś codziennym gościem w ich domu, przychodził bez ceremonji, kiedy chciał i miał czas potemu, kołysał im dziecko, gdy pani Filipkowa była kuchnią zajęta, grywał z mężem w szachy, za sprawunkami chodził, słowem, był uważany za domowego, należącego do rodziny. Gdy którego dnia nie przyszedł albo spóźnił się, było im bez niego, jak bez ręki. Jedno drugiego pytało się, co to jest, że Jasia dziś niema.

I dziś miał iść z nimi do teatru. No, naturalnie, jakżeby nawet mogło być inaczej, Filipek nie wyobrażał sobie bytności w teatrze bez Jasia, dlatego kupił także odrazu i dla niego bilet obok nich. Była mała sprzeczka między nimi z tego powodu. Jaś chciał zaraz płacić za bilet, Filipek nie chciał przyjąć, bo jakoś zdawało mu się, że nie wypada brać pieniędzy w imieniny żony. Stanęło wreszcie na tem, że Jaś po teatrze zaprosi Filipków na kolację do piwiarni i tak jakoś jedno drugiem się wyrówna. Umówili się, że wstąpi po nich przed teatrem. Jakoż stawił się punktualnie o wpół do siódmej, ubrany także bardzo starannie, wypomadowany, wyświeżony, nawet czemś wyperfumowany. Trzymał w ręku pudełko z cukierkami, które dyskretnie położył na stoliku, mówiąc nieśmiało:

— Trochę cukierków dla solenizantki.

— A to się wysadził—odezwał się mąż, uradowany tą pamięcią przyjaciela — patrzaj no, Cesiu, co to za galant, co on ci tu przyniósł.

— Co takiego?— zawołała Cesia z kuchni i rozciekawiona wychyliła się, zapomniawszy, że jest jeszcze w negliżu.—Co takiego? No, proszę się nie patrzeć na mnie, bo ja jeszcze nieubrana.

— Patrzaj, całe pudło cukierków dla ciebie.

— Jaki pan dobry — wyciągnęła do niego z za drzwi białe, gołe jeszcze ramię i ścisnęła mu rękę na podziękowanie, którą on zarumieniony pocałował.

— Tylko śpieszcie się państwo, bo już po wpół.

— Ja zaraz będę — rzekła gosposia, cofając się i przymykając drzwi.

— I ja duchem będę, tylko jeszcze surdut i rękawiczki—mówił Filipek, śpiesząc się—bo bez rękawiczek w krzesłach jakoś nie uchodzi, prawda?

— To się rozumie.

— Tylko, że guziczek mi się urwał, Cesiu!

— Dajże pokój, niech się ubiorę, bo kiedyż to będzie. Ja ci sama przyszyję.

— Ale gdzie igła?

— Wiem, wiem wszystko, gdzie co, zaraz ci przyszyję, tylko się ubieraj.

— Co to grają dzisiaj?—spytał Filipek, przeglądając się w lustrze po włożeniu surduta—bo ja, przyznam ci się, ze zbytku uciechy zapomniałem nawet na afisz spojrzeć.

— „Szczęście małżeńskie"—odrzekł Jan, przyszywając guziczek.

— Dobry tytuł. A czy to wesoła sztuka?

— Nie wiem, nie znam; ale wnosząc po autorze, to będzie zapewne coś wesołego, bo on sam bardzo wesoły facet.

— Znasz go?

— Widuję nieraz w kawiarni, bo on tam prawie mieszka na bilardzie. Charakter, powiadają, nieszczególny; ale dowcipna szelma i złośliwy. Jak utnie językiem, to niczem osa, a jak wpadnie w sztos, to dowcipami sypie, jak z rękawa.

— Ano, to się ubawimy, bo choć ja lubię i takie sztuki, na których do duszy upłakać się można, bo i to także wielka przyjemność; ale dziś, że to niby imieniny Cesi, wolałbym coś wesołego.

— No i ja już—rzekła gosposia ubrana, jak do wyjścia. Była to wesoła, żywa, fertyczna brunetka. Oczy takie czarne a przenikliwe, jakby chciały dobrać się do dna serca każdego, na kogo patrzały. Serdecznie uścisnęła rękę gościa, a do męża, który coś jeszcze chciał poprawiać przed lustrem, rzekła energicznie:

— No, nie marudź stary, bo się spóźnimy.

— A cóż z Ewcią będzie?—spytał małżonek, chcąc zyskać na czasie.

— Już wszystko zadysponowane. Józefka zostanie przy niej, dopóki my nie wrócimy. No, chodźmy.

Wyszli z domu ożywieni, weseli, uszczęśliwieni nadzieją przyjemnego spędzenia wieczoru.

Kiedy przyszli do teatru, muzyka już grała jakąś skoczną poleczkę. Cesia usadowiła się między mężem a panem Janem, który przed podniesieniem kurtyny coś ciekawego jej opowiadał, bo słuchała go z wielkiem zajęciem i ożywieniem. Mąż nie słyszał, co mówił, bo muzyka tłumiła głos, a nie dopytywał się, bo miał myśl zajętą sztuką. Już naprzód układał twarz do śmiechu i wesołości.

Sztuka w istocie zaczęła się bardzo wesoło. Przedstawiała ona jakieś szczęśliwe małżeństwo, nie przymierzając jak on i Cesia. Nie brakło nawet przyjaciela domu, tak jak u nich Jasia, i małego dziecka w kołysce. Filipek, zachwycony tem podobieństwem, co chwila trącał łokciem żonę, powtarzając: słyszysz, Cesiu, to wyrznij kacie, jak u nas.

Akt pierwszy cały obracał się w takiej wesołej atmosferze, przedstawiał w pełnem świetle szczęście rodzinne małżonków, dopiero przy końcu mieni się trochę ta pogoda przez wejście jakiegoś dawnego kolegi męża, którego ponura postać rzuca złowrogi cień na szczęście małżeńskie, ale zakończenie efektowne zatarło to niemiłe wrażenie.

Po spuszczeniu kurtyny przywołano autora kilka razy; recenzenci, siedzący parę rzędów przed Filipkiem i jego żoną, rozpływali się w pochwałach.

— Co za siła, jaka prawda życiowa. To nie szufladkowa robota, nie sztuczne efekty teatralne, to natura na gorąco chwycona.

— Znam doskonale modele, na których wzorował swoje postacie—mówił jeden ze znajomych autora—mówię wam, jak żywi. Zobaczycie, jak on to dalej rozwinie, z ibsenowską werwą.

Filipek, słuchając tych pochwał, aż nogami przebierał z radości i czekał niecierpliwie rozpoczęcia aktu drugiego.

Ale ten akt, wbrew jego oczekiwaniu, nie był już tak wesoły. Autor, idąc śladem nowoczesnych dramaturgów, wziął się z nożem bezwzględnego krytycyzmu do wiwisekcji owego szczęścia małżeńskiego, tak pięknie przedstawionego w pierwszym akcie, odkrył brutalnie wnętrzności tych ludzi i pokazał słuchaczom, że te wnętrzności toczył rak zepsucia i zgnilizny moralnej. Kochająca żona była przed ślubem kochanką przyjaciela, dziecko było owocem tej grzesznej miłości, mąż, zaplątany w pieniężne interesy z przyjacielem, nie ma odwagi zerwać haniebnych więzów, któremi go oplątano, a ów kolega jego, przybyły przy końcu pierwszego aktu, korzysta z tych niezdrowych stosunków, wyzyskuje żonę, będąc panem jej tajemnicy, i wtrąca ją w jeszcze większą przepaść upodlenia; słowem, brudy najgorszego gatunku, komedja zamienia się w dramat szarpiący nerwy, wstrząsający do głębi silnemi scenami; ale wstrętny i obrzydliwy.

Filipek, słuchając tego wszystkiego, doznawał takiego wrażenia, jakby węże, padalce, ropuchy łaziły mu po gołem ciele; najczarniejsze, najpotworniejsze myśli i podejrzenia chodziły mu, niby karaluchy po głowie. Bał się spojrzeć na żonę, żeby nie wyczytała mu z oczu tych myśli, które radby był sam przed sobą utaić. Zły był na siebie, że przyprowadził tu żonę, że musiała wysłuchać tylu paskudnych rzeczy, wstydził się za nią i za siebie. Żona i Jan musieli także doznawać podobnego wrażenia, bo wszyscy troje siedzieli jak przybici, nic nie mówiąc do siebie.

Jan pierwszy otrząsnął się z tego przykrego usposobienia i dla rozerwania, rozweselenia Cesi, coś szeptał jej do ucha. Filipka to drażniło. Gniewała go ta zbytnia poufałość przyjaciela. Jakiem prawem pozwala sobie na to? W domu to co innego, ale tutaj? A i w domu nie powinienby tego robić. Dziwił się, że dotąd był tak pobłażliwym w tym względzie. Im bardziej zastanawiał się nad stosunkiem Jana do nich, tem bardziej wydawał on mu się dziwny, niewłaściwy. Przypomniało mu się, że znał jego żonę dawniej, niż on, że on właściwie namawiał go do tego małżeństwa. Po co? dlaczego? Jaki mógł mieć w tem interes? A te jego ciągłe wizyty. To on prawie mieszkał u nich, był jak u siebie. Co ludzie pomyślą sobie o tych częstych jego wizytach? Tak przecież być nie może; on, jako mąż, nie powinien pozwolić na to, bo ludzie gotowi palcami go wytykać.

Takie myśli opadły go i łaziły mu po głowie, po sercu, po nerwach, niepokojąc i burząc krew, odrywając co chwila uwagę jego od sztuki. Więcej teraz zajmowało go to, co się działo w nim, w jego rozpalonym mózgu, i więcej niż na scenę spoglądał z ukosa na żonę i przyjaciela, obserwując pilnie każdy ich ruch, spojrzenie. Zdawało mu się, że za blizko siebie siedzą, że kolana ich, przyciśnięte do siebie namiętnie, telegrafują sobie różne znaki porozumienia, że spojrzeniami ukradkowemi mówią sobie rzeczy niedozwolone, grzeszne. Wyczekiwał niecierpliwie końca sztuki, żeby tych dwoje raz już ujrzał rozdzielonych od siebie. Gniewało go, że przed ostatnim aktem Jan wyraził się o sztuce pogardliwie i nazwał ją: brednie. Jak dla kogo—pomyślał sobie struty mąż—dla mnie to wcale nie brednie, ale ich prawda kłuje w oczy, i na złość Janowi klaskał zawzięcie, wywołując autora wraz z resztą publiczności.

Nareszcie skończyła się jego męka. Odetchnął, gdy się znalazł na świeżem powietrzu, gdy swoją osobą rozdzielił żonę od przyjaciela. Dla większej pewności wziął ją pod ramię i ciągnął za sobą.

— A to nas wymęczył, niech go nie znam—odezwał się Jan po dłuższej chwili przykrego milczenia.

Filipek nic się na to nie odezwał, tylko przyśpieszał kroku, żeby jaknajprędzej dostać się do domu.

— No, wszakże mamy iść na kolację—odezwał się Jan, widząc, że Filipek skręca z żoną ku domowi.

— Nie idę na żadną kolację—odparł szorstko.

— Jakto? Przecież umówiliśmy się.

— Głowa mnie boli... potrzebuję się wyspać.

— Ale ja, mężusiu, nie mam nic w domu, będziesz głodny.

— Przez jeden wieczór przecież nie umrę z głodu.

— Ale i Cesia głodna—zauważył Jan.

— No, przecież nie możesz żądać, żeby szła sama z tobą beze mnie—odezwał się w tak gwałtowny sposób, że Jan nie śmiał już nalegać i żona w milczeniu zgodziła się z wolą męża, połykając tylko łzy, które się jej cisnęły na myśl, że tak smutnie kończy dzień swoich imienin, na który się tak cieszyła.

Gdy stanęli przed mieszkaniem, Filipek chwycił namiętnie rączkę od dzwonka i szarpał nią z taką gwałtownością, jakby chciał wszystkich mieszkańców pobudzić. Przez ten czas Jan miał czas szepnąć kilka słów jego żonie i podał jej sekretnie jakiś papier.

Filipek obrócił się właśnie wtedy i dostrzegł, jak Cesia ten papier chowała do kieszeni. Nie miał już teraz wątpliwości. Jan i Cesia... a on głupiec dotąd nie widział tego. Jak oni z jego łatwowierności śmiać się musieli! Stukając nogami po ciemnych schodach, prowadzących do mieszkania, doznawał takiego wrażenia, jakby wracał nie z teatru, ale z jakiego pogrzebu. Rzeczywiście był to pogrzeb jego nadziei, jego szczęścia, wszystkiego, co kochał, nawet dziecka. Co wieczór, kładąc się spać, całował je na dobranoc, nieraz nad śpiącem dłuższy czas się zatrzymywał, wpatrując się w rozchylone usteczka, w rumianą buzię, spoconą głębokim snem. Dziś ani popatrzył na dziecko, ani żony nie ucałował, jak to zawsze robił, tylko co prędzej położył się do łóżka, tłumacząc się przed żoną silnym bólem głowy.

Położyła mu kompres z zimnej wody na skronie i odeszła, życząc dobrej nocy i polepszenia. Zamknął co prędzej oczy, udając, że śpi; ale nie usnął. Potworne myśli spać mu nie dały, pulsa jak młotem waliły mu w skroniach, że obawiał się apopleksji. Tyle nasłuchał się w dzisiejszej sztuce o dziedziczności chorób, że teraz mimowoli zaczął sobie przypominać, czy przypadkiem kto w jego rodzinie nie skończył na apopleksję albo na obłęd, bo i tego zaczął się teraz nie na żarty obawiać. Od tego przecież, czego on dziś doświadczał, zwarjować nietrudno, zwłaszcza, jeżeli się ma usposobienie od natury. Przypomniał sobie, że w dzieciństwie słyszał o jakiejś babce ojca czy matki, która cierpiała na pomieszanie zmysłów i ogarnął go strach, że może on odziedziczył po niej to usposobienie, że ten zamęt myśli, jakich doznawał teraz, jest początkowym objawem tej choroby. Ta obawa do reszty pozbawiła go snu. Zerwał się z łóżka przestraszony i niespokojnie rozglądał się po pokoju dla przekonania się, czy jest jeszcze przy zdrowych zmysłach, czy wszystko widzi, jak należy, czy zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, co się z nim dzieje.

Lampka nocna paliła się, jak zwykle, przed obrazem. Przy jej niepewnem, migotliwem światełku widział twarz śpiącej żony, piąsteczki dziecka, złożone na krzyż na piersiach, czarną sukienkę żony, w której była w teatrze. Do tej sukienki wkładała przed kamienicą ów papier, który jej *on* weisnął w rękę. A więc nie zwarjował jeszcze, bo wie i pamięta wszystko dokładnie. Potem mu przyszło na myśl, że ta kartka jest tam jeszcze. A gdyby tak wstał i poszukał, odrazu by się dowiedział: czy podejrzenia jego są słuszne, o ile oni zaszli już w tej grzesznej miłości. Myśl ta kusiła go i nie dawała mu spokoju. Nie mógł się pokusie tej oprzeć. Wysunął się z łóżka i cicho na palcach skradał się do wiszącej sukni. Ciężkie westchnienie żony przez sen zatrzymało go chwilę. To westchnienie wydawało mu się potwierdzeniem jej winy, głosem sumienia, które we śnie ją prześladuje. Odważnie zapuścił rękę w fałdy sukni, odszukał kieszeń, a w niej namacał rzeczywiście jakiś list, zwyczajnego formatu, w twardej kopercie. Chwycił skwapliwie to *corpus delicti* i uciekł z niem napowrót do łóżka, potem nasłuchiwał, czy się żona nie przebudziła. Przekonawszy się po miarowym, jednostajnym oddechu, że śpi, zapalił świecę i wziął się z bijącem sercem, zaschniętem gardłem i spieczonemi od gorączki ustami do odczytania tego nieszczęsnego listu.

Uderzył go najpierw tytuł:

„Najdroższa moja!”

I zrobiło mu się gorąco tak, że przestał czytać, aby otrzeć spocone czoło.

Po chwili odpoczynku zdobył się na odwagę czytania dalej listu, którego treść była następująca:

„Najdroższa moja!

„Ostatni to już raz używam pośrednictwa Cesi do wysyłania mojego listu do ciebie. Za tydzień będziemy już mogli jawnie przyznać się rodzicom, że się kochamy, bo za tydzień zostaję wpisany na etat i twój ojciec nie będzie już teraz zapewne przeciwny naszemu połączeniu.”

Było tam jeszcze więcej tego pisania, ale Filipek już nie czytał dalej, bo co go to obchodzić mogło, skoro list nie był do Cesi, tylko do jej siostry. Wiedział on oddawna, że się kochali z Jasiem, że Cesia była powiernicą tej miłości; ale dziś, pod wpływem owej sztuki w teatrze, zapomniał o tem zupełnie, a raczej tłumaczył sobie, że miłości tej używali dla zamydlenia mu oczu. Ten list przekonał go, jak się mylił, jak niesprawiedliwie ich obwiniał. Naraz zrobiło mu się przestrono w sercu i w głowie, jakby jakieś wielkie ciężary ztamtąd mu usunięto i odetchnął swobodnie, tak głośno, że się aż żona przebudziła.

Zdziwiona widokiem zapalonej świecy, zerwała się z łóżka i tuptając bosemi nóżkami po podłodze, zbliżyła się niespokojnie do męża.

— Co ci jest? — spytała troskliwie. — Dlaczego nie śpisz? Czy może ci gorzej? — i położyła rękę na jego głowie dla przekonania się, czy nie gorąca.

Filipek wziął ją za tę rękę, pociągnął do ust i zaczął całować serdecznie.

— Teraz mi już nic, aniołku, już mi całkiem dobrze... ale było źle.

— Ja uważałam, że ty już w teatrze byłeś jakiś nieswój.

— Ach, ten teatr! — zawołał oburzony.

— Wiesz ty, że ja sobie to całkiem inaczej wyobrażałam — spowiadała mu się z naiwną szczerością dziecka, przysiadłszy na krawędzi łóżka.

— Ale bo widzisz, dawniej to nie tak było. Choć i po smutnej sztuce, to jakoś weselej człowiek wychodził z teatru. A teraz — machnął ręką.

— Wiesz ty, że mnie dzisiaj na tej sztuce zrobiło się tak jakoś smutno, jak to wtedy, kiedyś mi to przez zadymione szkło kazał patrzeć na słońce, pamiętasz?

— A nam tak było wesoło dzisiaj, słonecznie i potrzebaż nam było płacić jeszcze za to, żeby sobie obrzydzić życie?... O! nie złapią oni mnie więcej. Niegłupim.

**Michał Bałucki.**

---

## Grób i ślub.

Gdy się skończą dni człowieka,
Śmierć go ujmie swem ramieniem—
Łza z niejednych oczu ścieka,
Pierś podnosi się westchnieniem.
  Za pogrzebem tłumy drepcą,
  Serc zgnębionych słyszysz bicie:
  „Biedny człowiek!—cicho szepcą—
  Umarł w samym lat rozkwicie!”
Jakaż zmiana wśród tych ludzi,
Gdy wezwani na ślub śpieszą:
Gwar brzmi kołem, śmiech się budzi,
Krzyk weselny trąca rzeszą;
  Płynie winny sok, jak woda,
  Krew rozpala bóg-szaleniec:
  „Jak szczęśliwa panna młoda!
  Jak szczęśliwy nowożeniec!”

Poczekajcie!... Dzień zaślubin
Nie jest polem złotodajnem:
Może gliną stać się rubin,
Piękna perła szkłem zwyczajnem.
  Szczytnych marzeń twych nić złotą
  Może wprędce los rozerwie—
  I popłyną dni tęsknotą,
  Ból uczujesz w każdym nerwie.
Ten, kto złożył czoło w trumnę,
Wolen wszelkich niespodzianek:
Już go myśli nie rwą dumne,
Sił nie strwoni u kochanek;
  Zdrad nie dojrzy w przyjacielu,
  Skaz w brylantach nie dostrzeże:
  Jabym płakał na weselu,
  Na pogrzebie śmiał się szczerze!

**Kazimierz Gliński.**

---

## NIANIA.

### I.

Była to ostatnia może „niania” dawnego stylu, jedna z owych pięknych postaci, które ogólny przewrót stosunków usunął z widowni i zepchnął do legendowego archiwum.

Oto, jaką ją pamiętam.

Niania jest już sędziwą staruszką. Na jej zgarbionych plecach spoczywa ciężar siedmiu krzyżyków. Włosy ma bielutkie, jak mleko, gładko uczesane, w znacznej części zakryte czepkiem. Jej twarz pomarszczona, żółta, jej oczy siwe bez blasku, cała postać podobna raczej do cienia, niźli do żywej istoty. Przesuwa się po pokojach cichutko, niedosłyszalnym, powolnym krokiem wchodzi do kuchni i do izby czeladnej, bo zdaje jej się ciągle jeszcze, że ma pewne zadania do spełnienia, zadania, których komu innemu niepodobnaby powierzyć. I lęk ją porywa, gdy pomyśli, że kiedyś będzie musiała ustąpić. Kto wtedy gderać będzie nad uszyma tej niezdarnej, leniwej czeladzi; kto tak nakwasi ogórki, jak ona; kto burzę odpędzi od domu modlitewką, skutkującą jedynie przez jej usta?

W obszernym dworze ma niania osobny swój pokoik, ale ten służy jej tylko do spania. Przybywa tu późną nocą, gdy światła już wszędzie pogasną; wstaje zaś z pierwszym brzaskiem słońca w lecie, w ciemnościach wczesnego poranku podczas zimy. A zawsze zdaje jej się, że zaspała, że to już bardzo późno. Po cichutku, przyśpieszonym krokiem skrada się do kuchni, by czeladź zbudzić. Gdyby nie ona, spaliby do samego południa; pachnie im ciepłe legowisko, lubią zjeść dobrze, ale od pracy każdy ucieka.

We dnie najczęściej przesiaduje w śpiżarni. Wiecznie tam coś do porządkowania. Tu krupy z jednego woreczka przesypie w drugi, tam mąkę poruszy, ówdzie połeć słoniny przełoży z półki na półkę. Czyni to wszystko z pełną powagi systematycznością, z niezłomnem przekonaniem, że dzieło jej równie konieczne, jak ważne.

Około południa opuszcza niania swe laboratorjum; idzie do pokojów.

W jednym z nich czeka ją śliczna dzieweczka, istna królewna z bajki.

W spódniczce białej i białym kaftaniku, przygotowuje sobie tualetę. Ma oczka filuterne, buzię zawsze uśmiechniętą, a różową, jak kwiat centurji. Włosy jej miękkie, jedwabiste, koloru, który zajmuje środek między złotawym odcieniem a delikatną szarością, spływają w nieładzie na barki, jeszcze dalej, aż po biodra, niby płaszczyk aksamitny.

— Dzień dobry, nianiu!—woła dzieweczka, biegnąc naprzeciw.

Staruszka patrzy na nią z radością i rozrzewnieniem. Jej siwe oczy ożywiają się, usta szare okrasza uśmiech. Nawet zmarszczki nikną gdzieś z twarzy. Jest ona w tej chwili jak kwiat, już zwarzony szronem i chłonący w siebie resztki ciepła słonecznego, resztki tej twórczej siły, która nową stworzy wiosnę.

— Moja gołąbko—mówi pieszczotliwie—moja rybko, moja zorzenko. A jakże ci się spało, a co ci się śniło?

Potem siada przy niej, bierze grzebień, szczotkę, z lubością zatapia chude swe palce w jej włosach i czesze dzieweczkę.

Niania wyprosiła sobie od rodziców Zochny ten przywilej dożywotni. Wyniańczyła dziewczynę na swych rękach, wypieściła, wychuchała, jej się więc należy taka łaska...

Miłość dla „królewny” utrzymuje ją przy życiu. Nie przeżyłaby rozłączenia—powiada. Jest to miłość szczególna, czystsza może i świętsza, niźli nawet miłość rodziców, w których sercu bądźcobądź egoizm gnieździć się musi. Zresztą rodziców obowiązkiem jest kochać swe dziecko, a jej miłość nie z obowiązku wypłynęła, jeno z dobrej woli; jest cichą, bezinteresowaną, jest psiem prawie przywiązaniem do tej małej, nie narzucającem żadnych zobowiązań a przyjmującem wszystko jako łaskę.

### II.

Zajeżdżałem coraz częściej do dworku i coraz silniej czułem na sercu złote okowy uczucia, wzbudzonego przez Zochnę.

Ta piękna dzieweczka łączyła w sobie wszystko, co czaruje mężczyzn. Rozkwitający pączek jej wdzięków budził we mnie namiętne pożądania, a szczera naiwność, o jaką dziś nawet u młodych dziewcząt trudno, upajała mnie swym cennym aromatem.

Kilka razy spostrzegłem, że coraz częstsze moje wizyty niepokoiły nianię. Zazwyczaj, gdy mój faetonik zajeżdżał przed ganek, pierwsza ona wysuwała się na schodki i rękami przysłaniając sobie oczy od słońca, wlepiała je we mnie badawczo. Zdawało mi się zawsze, że w tem spojrzeniu było coś nakształt groźby cichej i żałości beznadziejnej.

Gdy z Zochną udało mi się chwilę sam na sam pozostać, wyszukiwała sobie niania ustawicznie jakiegoś pretekstu, aby wejść do saloniku. Przechodząc zaś obok, zwracała znowu ku mnie wytężone, osłabłe swe oczy, jakby pytając o coś z obawą.

Zrozumiałem, o co jej idzie. Czuła instynktownie, że losy Zochny ważą się, że „królewnę” porwać gotów ten gość młody, z takiem upodobaniem spędzający długie godziny w towarzystwie dzieweczki.

Żal mi potrosze starowiny. Cóż jednak począć? Miałaż tu litość wziąć górę nad miłością; miałżem się wyrzec Zochny, z której oczu czytałem pierwsze błyski wzajemności?

Śmieszna myśl, zaprawdę. Byłem zresztą przekonany, że niania pogodzi się ostatecznie z przykrą dla niej zmianą, no, a jeśli zatęskni za Zochną, to weźmiemy ją do siebie.

Wizyty moje przybierały coraz poufalszy charakter, doszły wreszcie do punktu, w którym przekroczyć należało Rubikon. Zdobyłem się na konieczną odwagę. Raz, siedząc znów obok Zochny, gdy żadnego nie mieliśmy świadka, ująłem ją zlekka za rączkę. Atak nie został odparty. Twarzyczkę dziewczęcia opromienił rumieniec, jej oddech stał się szybszy, a oczy przysłoniły się wstydliwie powiekami.

— Zochno, moja najdroższa Zochno—szeptałem—kocham, kocham, kocham...

Jadąc tu, układałem w myśli piękny frazes oświadczynowy, ale, jak to zwykle bywa w podobnych razach, zapomniałem go zupełnie i prócz jednego słowa, które wypłynęło wprost z serca, nic nie zdołałem z siebie wydobyć.

Zochna z rozkosznym uśmiechem na ustach, jakby bezprzytomna, pochyliła główkę i opuściła ją na moje piersi.

Nagle zerwaliśmy się oboje...

Z sąsiedniego pokoju ozwał się płacz stłumiony, straszny swoją cichością, szarpiący za serce...

To niania płakała.

III.

W przeddzień ślubu, gdym siedział w ogródku, oczekując mojej przyszłej żony, zjawiła się niespodzianie zamiast niej staruszka.

— Przyszłam do pana — mówiła swoim bezdźwięcznym głosem, ostrym, jak szmer badyli. — Pan zabiera mi moją królewnę.

— Nianiu — odparłem — nie zabieram jej samej, ale z nianią razem...

— A mnie tam po co?—ozwała się żywo.—Abym was jak upiór straszyła i płoszyła na każdym kroku? Zresztą... To już nie ta sama Zochna... To pani Zofja odtąd. Po raz ostatni uczeszę jej jutro włosy... Ach, Boże wielki.

Załkała... Nie wiedziałem, jak ją pocieszać. Milczeniem uszanowałem serdeczną boleść staruszki...

Po chwili, uspokoiwszy się nieco, rzekła:

— Mam wielką prośbę... Jedną, jedyną...

Chwyciła moją dłoń w obie kościste ręce i, zatapiając z całą przenikliwością swoje oczy w moich, zdławionym głosem rzekła:

— Niech pan dla niej dobrym będzie...

Dwie duże łzy stoczyły się jej po policzkach. Otarła je i powoli, z widocznym trudem stawiając krok po kroku, odeszła.

A tyle było siły w jej prośbie, że zdało mi się, iż gdybym kiedykolwiek najdrobniejszą nawet krzywdę wyrządził Zochnie, to ta staruszka żywa czy nieżywa przyjdzie i upomni się o pomstę.

IV.

Mimo próśb moich i Zochny niania uparła się, że pozostanie.

— Niedługo mego życia — mówiła — to i wolę go tu już dokończyć, gdziem ciebie wyniańczyła, moja zorzeńko jasna!

W istocie niedługo...

Ledwie ochłonęliśmy z pierwszych upojeń, napisała nam matka, że źle dziać się poczyna z nianią. „Popadła w apatję, a to stan najgorszy. Do śpiżarni nie zagląda nawet, przytem sypia wbrew swemu zwyczajowi bardzo długo. Około południa zwleka się z łóżka i idzie do pokoju twojego dawniej, Zochno. Siada tam na krześle przy tualetce i siedziałaby na wieki, gdyby jej nie wywabić...”

W kilka dni później nadszedł list drugi donoszący, że niania umarła. Pojechaliśmy na pogrzeb oboje.

Zochna silnie odczuła tę stratę. Musiała jednak w końcu pocieszyć się... Zwykłe to dzieje: wiecznie żyć nie można.

Skoro tylko mogiła trochę osiędzie, każemy wystawić pomnik z krótkim napisem: „Niani.”

Niestety, nasze dzieci nie będą już prawdopodobnie rozumiały, ile w tem jednem słowie zamyka się czci i hołdu dla życia, które było źródłem miłości i poświęceń bez nagrody, bo nie dających się niczem nagrodzić.

**Stanisław Rossowski.**

---

# POSŁANIEC.

**Z cyklu «Z Głuszy».**

Stefan Czujko otrzymał we dworze dwa listy: jeden od pana dziedzica do panienki w Wołkiniach, drugi od pachciarza do tamtejszego propinatora.

Miał wyruszyć co żywo i iść kłusem, żeby nazajutrz koniecznie wręczyć „kartę”, a nieodzownie w piątek być z powrotem. Wtedy otrzyma rubla, a od żyda dwa „kruczki” wódki.

Chłop się ułakomił na wysokie w porze zimowej wynagrodzenie, jeszcze bardziej na wódkę i obiecał sprawić się dobrze.

Do Wołkiń było siedem mil drogi latem, zimą trochę mniej, gdy mróz ścisnął trzęsawiska i moczary, lecz o tej porze nagła odwilż uczyniła ją nieprzebytą dla wozu i konia.

Dlatego też dziedzic nie mógł pojechać do narzeczonej a pachciarz do propinatora. Obadwa uznali Czujkę za jedynego w tym razie pośrednika swoich uczuć i interesów.

Chłop był tedy trochę Amorem, trochę Merkurym. A był to chłop młody, zdrów i ubogi — typowy posłaniec.

Mieszkał za wsią na wygonie, wygnany z ojcowizny przez rodzinę, w chatce, którą zlepił przemysłem, to jest w połowie ukradł, w połowie wyżebrał we dworze.

Tam tedy poszedł z listami, aby się do drogi przysposobić.

W kalendarzu była pełnia, a na niebie ciemno, jak to bardzo często się trafia. Dął też wicher przejmujący do kości, pędząc z sobą tumany ostrych, zlodowaciałych igiełek.

— O północku miesiąc się wybije, a wiatr będzie w bok — zamruczał do siebie chłop, obserwując niebiosa i kierunek.

W chacie zastał kilka kobiet znachorek, szepcących i okurzających żonę chorą na gardło, nie zastał zaś wieczerzy.

To go rozdrażniło, zwymyślał więc i chorą i szanowne lekarki, zapowiadając przytem, że idzie do Wołkiń z kartą.

Żona podniosła lament.

— Moja dola, moja biedna głowa. Czy mnie dur napadł iść za takiego wołokitę. Onegdaj wpół żywo wrócił z Oranów i znowu się wlecze! Zginie, zginie w tych bagnach!

— No, to jak owdowiejesz, idź za kulawego krawca. Będzie domu pilnował — burknął chłop, zajadając chleb z wodą.

— A jaż tu słaba, sama. Jak i umrę, nie będzie komu zaświecić i pochować.

— Ot, wielka bieda! Wilki cię zwęszą na wygonie i wywleką pod sośninę. Mało to bab jest we wsi bez ciebie! — zdecydował młody małżonek filozoficznie.

— Och, dolo-ż moja!—jęczała kobieta.

— Nie idź, Stefanie, nie idź! — ozwała się przeciągle najstarsza z kobiet. — A toż po tych bagnach złe chodzi i dusi! Noc czarna, drogi niema.

— To co! Żeby droga była, toby pan sam pojechał, zamiast mnie posyłać. Głupie wy baby, nie durzcie mnie głowy.

— Toś ty i dziecka swojego nie ciekawy?—wtrąciła druga.—Może jutro być!

— Może, może! Co tam za ciekawość. Pastuszek z niego jutro nie będzie, a krzyku zostanie dosyć i dla mnie. Nu, cyt—dosyć!

Skończył jeść i zaczął do drogi się sposobić. Do torby łykowej włożył bochen chleba i dwa listy, owinięte w brudną szmatę, potem przytroczył do niej zapaśną parę postołów. Włożył na siebie kożuch i dwie świty i już do drogi gotów, wyciągnął się na ławie.

— Z północy ruszę, jak miesiąc zejdzie—pomyślał. — Po chwili usnął, rozmarzony gorącem izby, ale we śnie czujny był, słyszał odejście znachorek, stękanie żony, ujadanie Łyski za ścianą.

Marzyło mu się, że już wrócił i pan przez pomyłkę dał mu trzy ruble i pasował się z sobą—odnieść, czy utaić. Odnieść, bo pan może tak umyślnie zrobił „na praktykę”—utaić, bo w chacie chrzciny.

Ocknął się w tej niepewności, dźwignął się z ławy, przeciągnął, otrząsnął i rozbudził zupełnie.

Wyjrzał przez szybkę na świat: czarno i wicher wyje, w chacie też ogień zagasł.

— Miesiąc nie zejdzie. Trzeba iść! — zdecydował, opasując się i nakładając torbę.

Potem przypomniał sobie żonę i po omacku trafił do jej posłania przy piecu.

— Marynka, ho! Marynka! Ostań się zdrowa.

Kobieta obudziła się i spytała żałośnie:

— Idziesz, sokoliku?

— Idę. W piątek wrócę. Niezdrowa ty mocno?

— Oj, mocno! Daj ci Boże szczęśliwie wrócić.

— Ta wrócę, nie płacz, albo mi to pierwszy raz. Matka do ciebie przyjdzie rano. Prosiłem.—Pogładził ją po głowie, po omacku znalazł drzwi i wyszedł.

Wicher uderzył go całą siłą w piersi, naokół była jednolita ciemność ziemi i nieba. Chłop chwilę się orjentował, potem głowę wtulił w ramiona i poszedł drogą piaszczystą ku bagnom.

To, co człowiek wydelikacony wychowaniem i życiem miałby sobie za czyn bohaterski, Czujko uważał za rzecz powszednią i dlatego nic sobie nie robił z chłodu i dalekiej drogi. Nie myślał też o niebezpieczeństwie, ale puścił wodze marzeniom o przyszłości. Do wiosny codzienny zarobek i proceder posłańca zapewni mu chleb i kaszę, przez lato zarobić musi na konia, żona gęsi nahoduje i sprzeda, płótna wybieli i spienięży, w żniwa, chociaż z kołyską, kilkanaście rubli uzbiera. Na jesieni zacznie u braci pola dochodzić....

Rozmyślając szedł i szedł, stawiając kroki szerokie i równe z wprawą wytrawnego piechura. Co myśl, to krok dalej i dalej. I tak po kilku godzinach w myślach był już starostą wioskowym, a w drodze o wiorst dziesięć od domu, w cudzej już stronie, pogrążony w labiryncie nizkich sosnowych pośli, przerzniętych mnóstwem ścieżek. Była to granica bagien wołkińskich. Kanał oddzielał je od stałego lądu. Nad kanałem stała karczemka żyda, który prom dzierżawił. Tu wstąpił Czujko po najświeższe informacje co do stanu drogi.

Żyda jednak trudno się było dobudzić, a gdy wreszcie wstał i lampkę zapalił, odpowiadał bez związku.

— Prom chodzi?

— A chodzi, ale teraz ściągnięty na brzeg. Lód trzymał.

— Można się dobrać do Wołkiń?

— Czemu nie, tędy droga, ale nikt nie jedzie.

— Puściło do gruntu?

— Na ostrowach strzyma.

— Bodaj cię nagła uchwyciła, żydzie. Toć ja nie o ostrowy pytam, a o błota.

— Błota!—powtórzył żyd przeciągle, odzyskując powoli przytomność—ty sam wiesz, że błota roztajały do gruntu.

— Ale kładki letnie są?

— Latem były, może jesienią popłynęły z wodą. Czy ja wiem... teraz nikt nie chodzi. Poczekaj do dnia.

— Aba, ile teraz dnia! Mnie pilno. Przepraw mnie przez kanał łodzią.

— A dasz 30 kopiejek?

— Może!—oburzył się chłop.—Dam dziesiątkę!

— To nie przewiozę.

— Jak chcesz. Znajdę twoje czółno i sam przejadę.

— Ojej! Tylko znajdź! — zaśmiał się pogardliwie żyd.

Zgasił lampkę i cofnął się do alkierza.

Czujko znalazł się znowu na dworze i zaczął szukać czółna poomacku. Zamoczył się przytem po pas, ale przecie odszukał, tylko że wiosła brakło. Na to właśnie rachował żyd.

Ale chłop nie odstraszał się byle czem.

Do łódki wszedł i zepchnął ją na wodę, potem gałęzią sosnową sterował i wiosłował zarazem. Prąd go daleko odrzucił, ale zahaczył się o resztki lodu i brodząc po pas na przeciwny brzeg się wydostał, zostawiając czółno na łasce losu.

— Niech teraz żyd szuka! — pomyślał złośliwie, ruszając raźno naprzód.

Rozpoczynała się właściwa ciężka przeprawa. Przed chłopem leżała halizna kępiasta z torfowym podkładem, latem zupełnie niedostępna.

Stefan skrzesał ognia i zapalił fajkę.

Potem odnalazł ślad zimowej drogi, ubitej poprzednio, a więc względnie bezpiecznej, i poszedł nią pełen otuchy.

Była godzina trzecia rano i ciemność nieprzebita.

— Kłamca miesiąc — pomyślał chłop—i zima macocha. Latem byłby wielki dzień.

Tymczasem brodził w ciemności, drobny, jak mrówka, w bezmiarze zdradliwych bagien. Parę razy zapadał po kolana w rzadki torf, raz upadł na kępinie. Były to jednak nic nie znaczące wypadki, i po godzinie drogi haliznę zostawił za sobą, zaczerniały przed nim łozy olbrzymie, splątane w wał. Droga zimowa wpadała w wązką wśród nich szczelinę i dalej rozgałęziała się, wiodąc albo do Wołkiń, albo w bok od stogu do stogu.

Czujko zatrzymał się chwilę, otarł wilgoć z twarzy i, chowając fajkę w zanadrze, rzekł:

— Szykuje mi się dobrze. Połowa drogi i wcale dobra. Teraz trzeba baczyć szopki letniej i starego dębu, żeby trafić na kładki i nie zbłądzić. Uch, jakie łozy. Terazby lekko było ze trzy pęki uchwycić, bo strażnik nie zaskoczy. Wracając uchwycę!

Wśród łóz było, jeśli możliwe, jeszcze ciemniej, to też, gdy gałąź zerwała mu czapkę, Stefan kwadrans pełzał, zanim ją odnalazł; zaczął tedy kląć łozy, ich matki i ojców i życzyć, aby je wilk zjadł. Jakby w odpowiedzi, gdzieś daleko, głucho wilk się ozwał żałosnym skowytem, potem puszczyk mu zawtórował: Puhu, puhu! Chłop się obejrzał, kij silniej ścisnął. Krok jego stał się jeszcze lżejszym, rozmokłe postoły sunęły się bez szelestu i niewidzialny, szary, przemykał się, jak zwierz w haszczach.

Na zawrotach drogi orjentował się sekundę i skręcał na prawo lub lewo. Nagle zapadł po kolana i upadł plackiem.

Dźwignął się żywo, ze zdradzieckiej topieli uskoczył i stanął.

— Zabłądziłem — szepnął. — Tędy na Kaczkowy Wir. Aaa, od dębu zabłądziłem.

Odzież przemokła zaczynała mu ciężyć, zmęczenia też czuł trochę, chociaż, wciąż się kręcąc, mało się naprzód posunął.

Pełen tępej rezygnacji, zawrócił wstecz, ale wypadek ten zmieszał go, odurzył.

— Może mnie *co* wodzi! — pomyślał, ogarnięty zabobonnym strachem.—Dębu nie widać, a szopka ledwie majaczyła. A może to i nie szopa była? Tfu!

Przeżegnał się kilkakrotnie i nagle stanął. W czarnej głębi błysnęło światełko. Było to jakby kto iskry krzesał z krzemienia. Wyglądało raz bliżej, znowu dalej, gasło, migotało, znowu gasło.

— Co to? — szepnął chłop nieruchomy, tamując oddech.—Kto tutaj może ogień palić? Czy to ogień? Gdzie to? Czy tam ostrów?

Jasny punkt nie znikał. Stał w jednem miejscu i ów zwiastun człowieka, ogień, w tej pustce i bezludziu sprawiał wrażenie odstręczające.

— Pieniądze czart suszy na błocie! — zdecydował wreszcie Czujko. — Oj, wpadnę ja w jakąś okazję! Może dnia zaczekać!

Rozejrzał się, szukając jakiejkolwiek od zimna osłony, ale wokoło tylko łozy stały, pokrywając topiel, i w haszczach dał się słyszeć znowu żałosny, wilczy skowyt.

Chłop ruszył, czując, że iść musi.

Po chwili dąb nagi zamajaczył przed nim i z gałęzi porwała się cicho sowa, musnąwszy go prawie skrzydłem po twarzy.

Od dębu rozchodziło się dróg kilka. Chłop na jedną skręcił i po chwili, podniósłszy oczy, ujrzał znowu wprost siebie owo zagadkowe światełko. Było teraz bliższe i czerwone.

— Na kładkach się pali. Prosto na mojej drodze. Oj, będzie zła okazja! Żeby nie wilki, tobym dnia poczekał.

W tej chwili coś zaszeleściało w łozach, zabulkotała woda. Na drogę wyskoczył wilk.

Chłop go nie widział, ale słyszał i przeczuł. Strach wstrząsnął nim, jak wicher łozą, oczy zwierza zabłysły zielono i obadwa stanęli, jednakowo strwożeni i niepewni, rozdzieleni tylko kałużą. Czujko sięgnął w zanadrze. Rozległ się szelest stali o krzemień i snop iskier prysnął. Przy tym chwilowym blasku ujrzał szary cień zwierza, niknący napowrót w gęstwinie.

Droga była otwarta i chłop naprzód skoczył. Lęk ustępował, zwycięstwo to nawet dodało człowiekowi otuchy.

— Głupi wilk... myślał, że strzelba! Żydowska w nim dusza!

Znowu zajął go ów ogień tajemniczy, który nie gasł i nie wzmagał się, nie zbliżał się, ani oddalał. Trwał wciąż jednako, czerwieniejąc w prostej linji. Czujko w chacie, u komina, słuchając baśni prządek, bywał sceptykiem i z kobiet się naśmiewał. Teraz jednak noc, pustka, wicher, hukanie sów, ponurość otoczenia nastroiły go odmiennie. Wszystkie opowieści o upiorach zaczęły mu wracać do pamięci, o topielcach, samobójcach, wilkołakach, o złem, co po topieli chodzi, dur narzuca, wodzi na bezdroża, o światłach, przy których duchy się grzeją i suszą pieniądze.

Chciało mu się wracać, a strach było do tego ognia plecami się obrócić, aby znowu przed oczy się nie przerzucił, żal też było odbytej drogi, i fatygi, i rubla, i wstyd było przyznać się, że stchórzył.

Szedł, ale zaprzysięgał, że na drugą podobną przeprawę się nie narazi, chyba za trzy ruble.

Wreszcie z łóz się wydostał i miał znowu przed sobą błoto nagie i kępiaste, na którem ludzie uczynili pierwotne przejście z pni, rzucanych tu i owdzie po bezdennych torfach. Droga to była niezbyt bezpieczna w dzień, tem bardziej w nocy. Czujko odnalazł początek kładek i kijem próbując oślizgłych berwion, puścił się naprzód. Teraz osuwał się i padał prawie co krok lub trafiał na przerwy, gdzie się pogrążał zupełnie i wydobywał na czworakach. Spotniał też prędko pomimo przejmującego chłodu i odpocząć potrzebował. Ale mu sił dodawał ogień, który teraz wyraźny palił się na uboczu.

Był to widocznie „nieczysty" ogień — bez dymu świecił, bez ruchu, a nad nim kiwały się jakieś czarne ramiona i słychać było chichot, wycie — jęk.

Więc chłop padał, podnosił się, brodził, pełzł, byle go minąć prędzej.

Już się z nim zrównał, gdy nagle stąpił w próżnię, zachwiał się i wyciągając naprzód ramiona, padł, a woda błotnista zalała mu usta, zanim krzyknąć mógł.

Przez chwilę stracił przytomność, potem zaczął się szamotać, kręcić, szukać oporu, uchwycił ręką za pień i, zbierając wszystkie siły, wydobył się znowu na kładki.

Pierwszą myślą poszukał kija wkoło siebie, nie było go, poszukał torby, torba znikła, a w niej chleb i „karty".

Musiał o coś zaczepić, rzemyk pękł i torba poszła na dno.

— Ot i okazja! Zawiódł mnie „ten" gdzie chciał — zamruczał biedak desperacko.

Obejrzał się, ogień się palił, żarząc jak kupa węgli. Chłopu się zdało, że ztamtąd coś się śmieje.

Położenie jego było opłakane. Siedział konno na kłodzie, do nitki przemokły, głodny, zziębły, opuszczony wśród topieli.

Wtedy opanowała go wściekłość i zawziętość. Pięścią wygroził w stronę ognia i przez zęby zamruczał:

— Zawiódł ty mnie! Poczekajże! Ja tobie pokażę, co umiem, a nie ustąpię i do ciebie grzać się nie pójdę!

Strach go odstąpił wobec niemożności ucieczki. Ulokował się jak mógł najwygodniej, zgarnął się, skulił i czekał.

Przecie noc kiedyś się skończy, a on prędzej z zimna i z głodu skostnieje, niż zostawi torbę topieli. Torba była skórzana, nowa, warta rubla, za czapkę dał rubla, ktoby to zostawił. Co będzie, to będzie, a on swego nie daruje.

We dworze wołkińskim wieczerzano właśnie, gdy lokaj oznajmił:

— Jest posłaniec z Rudni!

Panienka pokraśniała radośnie, a pan rzekł:

— Z Rudni? Któż to? Ptak?

— Człowiek, proszę pana. Ma list do panienki.

— Osobliwość, czego te chłopy nie dokażą!

Panienka skoczyła do kredensu, ojciec za nią. Czujko stał w progu, czarny od szlamu, na twarzy siny z zimna. Woda i błoto ociekało z jego odzieży i tworzyło na podłodze kałużę, wśród której tonęły jego zdeptane postoły. Torbę jednakże miał pod pachą, a kij i czapkę w ręku. Odzyskał, jak postanowił, wszystko.

— Którędy szedłeś, człowieku? — spytał pan.

— Na Prostki, przez błota.

— Jest droga?

— Byłaby, żeby mróz ścisnął.

— Więc jakże się dobrałeś?

— Ot, szedł, taj doszedł. Po nocy, to nie widział którędy. Pan kazał „kartę" wieczorem oddać, ale że to na kładkach zrobiła się przerwa, to „karta" musi trochę zamokła.

Zaczął szperać w torbie i wreszcie podał panience dwie miękkie i brudne koperty. Oblepił je szczelnie szlam i chleb rozmokły.

— Pomieszałem, to panienka sama rozbierze, która od pana. Drugą, do jakiegoś tutaj żyda w karczmie, dał nasz pachciarz.

Ale nikt nie był w stanie „rozebrać", zginęło bezpowrotnie wszystko. I uczucie pana i geszeft żydowski były zupełnie podobną plamą atramentu na mokrym, brudnym papierze, który się w ręku rozpełzał. Panienka skrzywiła się żałośnie, ale ojciec śmiechem wybuchnął.

— Oj, młodzi, młodzi! Zamiast się krzywić, Bogu podziękuj, że ten chłop życiem nie przypieczętował waszych amorów, a swego Stacha zwymyślaj za takie ekscesy.

Tu Czujko wtrącił się do rozmowy:

— Proszę pana zaraz dać odpowiedź, bo pan kazał żywo wracać.

— Jakże zaraz pójdziesz? Znowu w noc, na kładki? Czyś oszalał!

— Z północka pójdę! — odparł niepoprawny w uporze swym chłop. — Już ja tę przerwę sobie naznaczył rankiem, to nie wpadnę, a i do domu pilno, bo chleb rozmókł.

— Nakarmić go, dać wódki, niech spocznie! — rozporządził pan, a chłopu pojaśniały oczy.

Po chwili, rozgrzany wódką, nad pełną misą, rozpowiadał lokajowi swoje przygody.

— Zmanił mnie ogień na błocie. Może jego tam całkiem nie było, czy ja wiem? Czekając ranka, trochę zadrzemałem i gdzieś się podział.

— Tam, onegdaj, łozę trzebili. Może podpalili pień spróchniały, to i tlał dotychczas — wyjaśnił lokaj.

— Może! — potwierdził chłop, bynajmniej nie przekonany. — A taki ja tam okazję miał, „karty" zamokły, i nie wiem, czy pan zapłaci. Nie z dobrego to taka okazja! — Pokręcił głową.

— Pan, jak pan... Trafię pod humor, to i zapłaci, ale wódka od pachciarza, to na pewno przepadła. Będzie mnie żona swarzyć!

Zwrócił się do lokaja prosząco:

— Wspomnijcie odpowiedź! Musi być blizko północy. Pora w drogę.

Po jakimś czasie, syty i ogrzany, znowu szedł ku kładkom.

Powiedział prawdę, że miał w piątek przynieść odpowiedź, powiedział prawdę, że przerwę naznaczył, ale nie powiedział najważniejszego powodu pośpiechu.

Chora żona? Nie. Co godzina niebezpieczniejsza droga? Nie.

Chodziło mu, aby ciemno było, gdy mijać będzie owe sążniste łozy przy haliznie, tak ciemno, żeby go strażnik nie znalazł, gdy sobie natnie parę pęków, tak ciemno, aby ze zdobyczą minął granicę wołkińską. Że postawił i w tem na swojem, można zaręczyć.

**Marja Rodziewicz.**

# FANTAZJA MINOROWA.

Jak oddech uśpionego dzieciątka cicho, słodko i rytmicznie, to w dół, to w górę opada łódź niewielka, kołysana falą Adrjatyku.

Oliwne drzewo zarzuciło gałąź w toń morza, pień jego, kunsztownie rzeźbiony, odbija się w pogodnym lazurze; rzeczby można, koronka, ręką Tetydy usnuta, unosi się na wód przestrzeni.

Czółno, przywiązane do pnia oliwnego, to się oddala od brzegu, to zbliża, potrącając leciuchno kolczaste liście kaktusów.

Cicho, tak cicho, że nawet drzewo oliwne nie zaszemrze liściem swoim.

Sploty eukaliptusów nie drgają, tchnieniem morza muskane, tylko ku ziemi zwiesiły srebrny fijolet swojej szaty powiewnej i zda się marzą.

Czarny cyprys stanął, jak skamieniały, wsłuchany w tę ciszę.

Chwilami ptak skrzydłem zaszumi, albo wiatr południowy westchnie głęboko, aż pod tem westchnieniem cała natura zadźwięczy, jak struny harfy eolskiej.

Ale wnet morze, leżące na straży u stóp wzgórz kwiecistych, pluśnie falą o wybrzeże i znowu cisza zupełna. Szmer rozpryskującej się toni zda się szeptać: — Ostrożnie... cicho... nie budźcie jej.

Łódź, ukryta pod baldachimem gałęzi splecionych, kołysze do snu kobietę.

Słońce zawisło na stropie z szafiru i cały ciężar światła i promieni w morze wrzuciło.

Łuna oślepiająca bije od Adrjatyku.

Fala przesuwa się leniwie, topiąc w sobie złoto, srebro, perły i brylanty.

Blask barw najświetniejszych łączy niebo z morzem. Opale i rubiny tu zadrgają, tu zniknął. Niewidzialne ręce Nereid wyrzucają z modrej toni błyskawice tęczowych ogników.

Tam snop różany łuną błyśnie, tu już go fala fali podała i zamieniła na wstęgę purpury.

Te światła, te drogie kamienie mienią się i błyszczą, toczą się i gonią w ciszy głębokiej, najgłębszej.

Słońce coraz niżej i niżej. Już, już o rąbek fali skrajem swej majestatycznej tarczy potrąci. Już morze ku niemu zlekka się podnosi. Już się zlewają i łączą. Już Adrjatyk zamknął otchłań swoją nad królem ziemi.

I jeszcze ciszej.

Z wód łona wysuwa się teraz przejrzysty opar, cały różowym blaskiem przeniknięty. Otula morze, na noc je spowija i kroplami ożywczemi pada na skłębione u wybrzeża, jak dywan puszysty, siwe liście rozmarynu.

Teraz z kadzielnic kwiatów płyną ku niebu wszystkie balsamy i wonie, na jakie stać czarowną wyspę grecką.

Maleńkie, nikłe rośliny, do ziemi przytulone, hymn śpiewają upajający.

Narcyzy i rozmaryn, magnolje i cytryny, kwiat jaśminu i pomarańczy — wszystkie w jeden akord się zlały i płyną na perłowym oparze po nad falą Adrjatyku dalej, dalej niosąc harmonję zapachu swojego het aż do śnieżystych gór zimnej Albanji, aż do szczytów Pantokratoru.

Nagle cisza przerwana została. Gwałtownie rozchylały się gałęzie nad wybrzeżem morza.

Rozkołysane kiście eukaliptusów zwiastowały, że z wyżyn ktoś ku dołowi się spuszcza.

Już stoi na wybrzeżu... Ogorzały, wysoki, wysmukły, ciemno odziany o czarnych włosach i czarnych oczach, oparł się o pień cyprysa, i tchu zaczerpnął.

Ostatnie słońca promienie, jak skraj płaszcza królewskiego, rzucone na wód szafir, barwiły morze falą złota roztopionego.

Czarny cyprys i ciemna sylwetka mężczyzny wyraźnie rysowały się w różanej jasności zachodu.

Mężczyzna, oddychając szybko, ręką przytrzymywał gwałtowne bicie serca, a oczyma szukał czegoś czy kogoś, badając niespokojnie morskie wybrzeża.

Splecione gałęzie oliwne łódź mu zasłaniały.

Nagle fala głośniej plusnęła o krawędzie łodzi i wyniosła ją po za baldachim z liści sinych.

Jednym energicznym ruchem młodzieniec znalazł się u pnia oliwnego — i pochylony stał już nad czółnem, pień drzewa ramieniem obejmując.

Na odgłos kroków, tak nagle ciszę przerywających, kobieta w łodzi głowę do góry uniosła. W oczach jej zamigotały słodkie blaski zachodu, rozrzucone pośród splecionych gałęzi. Uśmiech radości rozchylił usta jej i rękę wyciągnęła ku przybyłemu, ruchem powolnym, zmęczonym.

Głos jej słodszy od pieszczoty zadzwonił zcicha:

— Wiedziałam, że przyjdziesz... czekałam.

Na gałąź myrtu odwiecznego, w puch kwiatów śnieżystych leciuchno, jak dwa obłoczki, spuściły się dwa białe gołębie. Przytulone skrzydłami do siebie, gruchnęły raz, drugi i trzeci, zamieniły kilka pocałunków, strzepnęły pióra z rosy i poszybowały w górę na nocleg.

— Patrz — rzekł mężczyzna — wszystko stworzenie już spoczynku szuka, gołębie chronią się do gniazda. Spojrzyj, o tu, na lilji wodnej, dwa motyle skrzydełka zwinęły i do snu się kładą, a ty znowu cały wieczór błądzić myślisz.

— Ja też się do snu ułożę, o! do wiecznego, tak prędko już, tak niedługo. Pozwól mi żyć jeszcze.

Nie sprzeciwiał jej się, nie opierał. Wiedział, że taka jest jej fantazja. Wieczory i noce i dnie całe na ziołach pachnących spoczywać, kąpać się w blaskach słońca rozżarzonych, kołysać się na toni z szafirów, liczyć promienie przedzierające się wśród liści, gonić okiem za mewami, pluskać wiosłem o falę i chwytać ręką krople srebrzyste, rozpryśnięte w wodotrysk z brylantów, to jej życie.

Choćby truciznę wchłaniać w siebie na rosie nocnej, choćby śmierci przyzywać wśród wieczornych oparów—to nic! Byle pod szerokiem niebios sklepieniem, byle wśród greckiej natury, byle pościelą mieć łono miękkie Adrjatyku, albo puchy rozmarynu i tymianku.

Nie znosi murów ciasnych, nie znosi ciemności.

— Nie zamykajcie mnie w trumnie za życia—błaga, gdy ją w portykach jej greckiej willi chcą więzić.—Ja się tu duszę, duszę się. Ja chcę powietrza, przestrzeni.—Więc on się nie opiera; woli jej posłuszny, choć zdaje mu się, że własną ręką podaje jej truciznę, gdy trzyma wiosło w ręku i wiezie ją w dal szeroką.

Mgła różana rozchyla się przed nimi i zamyka ich w sobie, jak greckie bóstwa wodne, płynące po nurtach morza.

— Jak mi tu dobrze. Ach! jak mi dobrze!—mówi młoda kobieta, wsparta o krawędź czółna. Głowa jej na ręku spoczywa. On tylko profil jej widzi. Linje czyste, pogodne tej małej główki, miękkie włosy złote falujące nad czołem i cała postać, w białe fałdy lekkiego płaszcza spowita, czyni wrażenie aż nadto eteryczne w tej słodkiej jasności wieczornej.

Rozpłynie się to wszystko z rankiem jutrzejszym i zniknie jak widmo senne i oprócz bólu wspomnień, co pozostanie?

Dusza jej zlała się zupełnie z tą uwielbioną matką naturą. Stanowi cząstkę owych blasków tęczowych; w nie udrapowana, dla nich i z nich musi być stworzoną; to jej żywioł.

Blaski zachodu i mgły perłowe zniknąć muszą i ona z niemi. Tak, nie dziś, to jutro; codzień, co noc oczekuje tego. I nic nie pozostanie, jak z tej leciuchnej mglistej zasłony; oprócz wspomnień dla niego.

„Jego” żal jej serdecznie. Gdybyż mógł nie cierpieć!

Ale natychmiast myśl jej żądna spokoju tak marzycielska, tak mało skoncentrowana przechodzi w ów stan półsenny, dąży ku jedynemu przedmiotowi, na którym obracać się zwykła, jak igła magnesowa ustawicznie w jedną kieruje się stronę.

Od północy, w wieczornym oparze snują się żagle czółen.—Czy żagle?

Może to aniołowie skrzydłem białem prują szlaki błękitne?

Może to już inny świat, nie padoł łez i niedoli?

Ci aniołowie, którzy piórami muskają mgły opalowe, może przenieśli ją bez wstrząśnień, bez bólu na inną planetę, gdzie wszystko jest harmonją i zapachem, gdzie cicho i lekko mknie się na obłokach świetlanych, z rajem w duszy, z miłością w sercu, obok serca dla niej, dla niej jednej stworzonego?

Ach, gdybyż to rozpłynąć się w nicość tak cicho, jak w jutrzence porannej noc się rozpływa!

On tymczasem ciemnem i smutnem okiem wodzi dokoła.

Och! mój Boże! mój Boże! Nie jemu—nie jemu rozczulać się nad niebios stropem. Nie w jego serce cisza greckiego uśpienia wstępuje.

Bunt szarpie każdym nerwem potężnej, pełnej sił żywotnych natury jego.

Czyż jemu z nią razem cudami przyrody się roztkliwiać?

Alež on nienawidzi jej—tej greckiej natury, nienawidzi barw tych tęczowych, innemu światu zabranych. Co one tu robią w tej otchłani, gdzie serce na męki potępieńców skazane?

Nienawidzi woni upajających. Drażnią nerwy jego.

Zdaleka na promieniach bladego księżyca oddźwięk wieczornego dzwonu aż tu się zabłąkał, by szarpnąć zbolałemi strunami serca jego.

Znowu wzrok na nią skierował. Gdzie ona patrzy!? Czy nigdy oczy ich nie spotkają się?

O, tam! Gwiazda zawisła na nieskończonych wysokościach; za nią i druga i trzecia. Jej oczy po gwiazdach błądzą, ani wie, że on cierpi przy niej; zapomniała o jego istnieniu.

On gwiazd nienawidzi, ich promienie dreszczem chłodu go przejmują, dla niego są ostrzem sztyletu, bo ona kocha to wszystko, ale nie jego, nie jego.

Niechby i tak już było, onby się z tem pogodził. Gdyby tylko żyć mogła—żyć chciała!

Jemu się zdaje, że gdyby chciała, toby i mogła—ale szalona jej fantazja niesie ją i ciągnie do tych światów wysokich, dusza jej rwie się do blasków, do woni i ani myśli o bólu jego.

Gdyby miał czas przed sobą,—o! gdyby tylko czasu trochę! Musiałaby jego pokochać, wyrwałby z niej przemocą czy podstępem szaloną, warjacką namiętność do tej bezmyślnej, zwierzęcej macochy natury.

Ale czasu nie ma. Wie dobrze o tem, że nie ma; dość spojrzeć na rękę jej tak filigranową i delikatną, że zda się blask księżyca formą niewieściej dłoni na chwilę zamigotał. Dość spojrzeć na twarzyczkę jej wątłą; wychylone usta w uśmiechu jutrzenki zapożyczyły barw swoich, nic tam u nich cielesnego niema, strach złożyć na nich pocałunek, bo mu się w nicości rozpłyną. I te oczy promieniste, w gwiazdy zapatrzone, czyż takie są oczy kobiety, gdy ciepłem serdecznem wezbrane?

Dlaczego on ją kocha? Dlaczego?

I opuszcza wiosła bezwładnie, a w odpowiedzi „dlaczego” chwyta ją silnie w ramiona, trochę przestraszoną, zdziwioną i okrywa pocałunkami czoło jej i włosy i te oczy gwiazdziste i te słodkie usta różowe.

Tak, tak! Teraz wie, że żyje. Wie, że to nie widmo, że ma ją jeszcze przy sobie pełną krwi gorącej.

Chciałby ją zgnieść w uścisku. Niech cierpi, ale niech wie, że on tam jest przy niej, że nie o gwiazdach, nie o śnieżystym szczycie Pantokratora zadumany, że mu i księżyc i jego uroki i myrtowe wzgórza i smukłe rysy obojętne są, że nie na nie patrzy, nie niemi żyje.

Ale wątła postać ukochanej nie znosi szorstkiego objęcia, nie dla niej uścisk despoty. Powieki jej cicho źrenice przykryły, serce bije słabo, coraz słabiej.

Więc ramiona jego rozplatają się, patrzy na nią z tkliwością i trwogą nieopisaną.

— Moja biedna! Moja jedyna! Gołąbko moja! Pani serdeczna! Otwórz oczęta, spojrzyj na mnie. Żyjesz! żyjesz! Powiedz, że żyjesz, uśmiechnij się.

I błagał.

Jeszcze nie teraz! Nie czas jeszcze na ciebie. Zostań o! zostań ze mną...

Ale ona zemdlona na ręku jego leżała cicho, jak lilja wichrem złamana.

Więc przerażenie wzrastało w nim z chwilą każdą. O, nie dam cię jeszcze!—wołał groźnie prawie. Nie oddam ciebie nikomu. Wyrwę cię śmierci, nie puszczę cię. Duszę z siebie wyrwę i krwi z serca utoczę, a ciebie uzdrowię, ocalę. Ty żyć musisz, o musisz! tyś moja, moja, moja! Nie dam cię, o! nie dam!

Potężne łkanie wyrwało się z piersi jego, a łzy wielkie, bolesne i gorzkie staczały się na twarz jej białą, przejrzystą.

I łzami temi ocucił ją, jak rosa upałem dziennym zwiędłe kwiaty zwykła do życia przywracać.

Otworzył oczy zmęczone, spojrzała na niego, a widząc ból wielki, który orał w bruzdy głębokie jego czoło, widząc te łzy padające na twarz jej, oplotła rękami szyję jego, przytuliła głowę do jego ramienia i szeptała cicho: Nie płacz! Już dobrze! To tylko ze szczęścia omdlałam. Już dobrze zupełnie. Gdybyś wiedział, jak cię kocham, gdybyś wiedział... i już zmęczona zamilkła.

On nie śmiał silniej do piersi jej przycisnąć; otulał ją tylko fałdami miękkiej tkaniny i lekko, ostrożnie jak ptaka spłoszonego gładził włosy jej złote.

Gdy wieczora tego wracał w progi swego domu, gdy zdrów i silny dążył krokiem elastycznym po stokach gór, a krew tętniła w żyłach jego, jak potok wezbrany, żal straszny rozsadzał mu serce.

Czemuż, czemu nie można cudu uczynić i sił swych w nią przelać? Dlaczego na urągowisko żelazne nerwy, żelazne muskuły jemu są dane, dlaczego wypruć nie mogę z siebie ciepła, zdrowia i tej życia pełni, a w nią je wszczepić. Nienawidzi sił swych w tej chwili, tej pełnej żywotności swojej, pogardzał sobą, że cudu uczynić nie może.

Powiódł okiem dokoła.

Tam na północy, na szczytach Albanji jaśnieje płaszczyzna okrągła, śniegiem, jak białym obrusem, nakryta, gwiazdy nad tą powietrzną wieczernicą, jak światła w świecznikach, migocą; kilka chmur czarnych przy stole śnieżystym zasiadło. Uczta olbrzymów.

Księżyc szybuje cicho po szerokiem niebie, dwa różki wybił w górę, a w rozmarzeniu wiecznem toczy się ku chmurom na ucztę.

— Bezmyślna zwierzęca naturo, w ten idjotyczny księżyc blaski, a we mnie siły kładziesz, a ją, sierotę, opuszczasz.

Tak się mężczyzna z myślami szamotał.

Amfiteatr wzgórz wdzięcznych od strony greckiej ku morzu zstępuje, gąszczem ciemnej zieleni przykryty.

Morze samo już wieczorną mgłę zrzuciło i roztoczyło strop, podobny temu w górze. Promienieją w nim blaski gwiazd mnogich, gwiazdy kołyszą się na falach, nikną i powracają, a księżyc świetliste wstęgi rozwiązał i w toń Adrjatyku wrzucił; bujają się teraz, wiją i czołgają, na sznury srebra i stali wiążą się i łamią i koła zataczają, wirując na nurtach morskich,

Mężczyzna stąpa po kobiercu z traw, ziół i kwiatów, przebiega teraz łąkę narcyzów dzikich. Upić się można wonią ich narkotyczną. Białe i nikłe kielichy na wysmukłych łodygach kołyszą się zcicha i zapach leją strumieniami, zda się nie mając innego języka nad ten balsamiczny, by gwarzyć między sobą.

„Wszystko żyje, we wszystkiem wre i tętni, kotłuje życie, z bezwzględnym egoizmem, po szalonemu...

„A z niej ucieka!”

Akompanjament moskitów, żabek zielonych, bąków i koników polnych, świerszczy i fal pluszczących o wybrzeża wtóruje rozpogodzonej naturze.

Mężczyzna uszy zamyka i oczy, on nie chce słyszeć i widzieć.

Uroki te napełniają go szatańską żądzą zniszczenia wszystkiego.

Ona tam biedna, bezbronna, ukochana moja, cierpi teraz; trwoży się i powietrza zaczerpnąć nie może, gdy tu wszystko życiem dyszy...

Ona tam płacze i o litość błaga, gdy tu wszystko rozkoszą przejęte...

I deptał niemiłosiernie po narcyzach białych, łamał cienkie łodygi. Padł na nie, przytłoczył swoim ciężarem, zgniecie je wszystkie razem, i noc tu spędzi bezsenną, skoro ona spać nie może.

Zgniecie rośliny tak, jak chiałby zniszczyć wyżyny Pantokratora, gwiazdy z nieba postrącać, księżyc zdeptać, światła pogasić, śpiewy zagłuszyć, aby zapanowały we wszechświecie takie ciemności, jak w duszy jego.

I pięścią niebu wygrażał.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Stało się zadość woli jego, choć nie dzisiaj, nie tej nocy jeszcze.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Kiedyś, kiedyś, dawno temu, szlachetny Alcinous rozkazał bitnym feakom odwieźć bohaterskiego Odyseusza na wybrzeża ukochanej jego Itaki. Pozejdon, potężny bóg morskich otchłani, rozszalał gniewem za tę zniewagę i na walecznych feaków straszliwą zesłał burzę.

Wszyscy zginęli, tylko statek, przez Pozejdona na martwy głaz zmieniony, pozostał, by świadczyć o gniewie jego.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Granitowe krawędzie statku dziś ziemię dźwigają w sobie. Prości ludzie mówią, że to nie statek, lecz wyspa Pondiconisi gwarna.

Na wyspie tej noc ciemna panuje, tak ciemna, że nawet czarne cyprysy odróżnić trudno od jej czarnej szaty i gdyby nie świst ich przeraźliwy, gdy się uginają ku ziemi, siłą wichru parte, to trudno byłoby okiem ich odszukać.

Wśród szumu, i huku, i zgiełku, i wrzawy słychać jęk straszny, głęboki, jęk morza.

Trzask i łoskot gałęzi łamiących się ogłusza i przeraża.

Czarne, skłębione chmury, jak olbrzymie stado rozszalałych potworów, ku ziemi się spuszcza. Wicher harcuje między spienionemi falami i pędzi je na nie ze wściekłością. One grzywy zjeżyły i rwą naprzód, przewalając się jedne przez drugie i z łoskotem ponurym roztrzaskują łby potworne o granit wybrzeża.

Tam skała sterczy ku górze. Bałwany piętrzą się u stóp jej, przypuszczają atak piekielny, pną się i walą w kamienne ściany, a morze jęczy i jęczy, i pierś swoją olbrzymią wzdyma i skargę ku niebu podnosi.

Księżyc posiniały, bezbarwny, twarz swoją trupią z po za chmur na chwilę wysunął.

Zagłada i śmierć nad ziemią!

Wszystko w naturze skargą śmiertelną o litość błaga, rwąc się i szarpiąc w agonji.

Straszno, tak straszno, że ptaki drapieżne nie śmieją wyjrzeć z gniazd swoich.

Ponure oko księżyca zamigotało przez chwilę na białym marmurze willi, w cyprysach ukrytej. Widma nieludzkie swe skrzydła sine w wicher roztaczają, krążą wśród burzy straszne, ponure, strzegąc marmurów willi.

Ale napróżno grozicie, napróżno! Wy, przyczajone widziadła, i ty, zgiełku nocy dzikiej, bałwany spiętrzone, wichrze złowieszczy, burzo rozpasana i wszystkie harcujące żywioły nie wydrzecie człowiekowi zdobyczy jego.

Mężczyzna jakiś sunie wśród chaosu, unosząc kobietę w ramionach. Zabrał ją, wykradł z miękkiej pościeli, z pośród koronek i kwiatów.

Zabrał ją zimną, bezwładną, cichą, już się teraz nie obudzi, już nie zaplecie ramion na szyi jego.

Teraz do niego należy. Niesie ją i tuli do serca, wie, że jej ciepłem swem nie rozbudzi, ale to nic!

Spokojny nie buntuje się, ani się dziwi. Bo cóż ich teraz rozłączy?

Przedziera się między zarośla i krzewy, to nic, że gałęzie splatają swe ramiona, by mu drogę zagrodzić, on je rozgarnia.

To nic, że kolczaste igły twarz mu prują i krwawą; on tego nie czuje.

To nic, że łoskot i wycie, szum i jęki ogłuszają go, tak być powinno.

Mądra natura, mądra! Wie, co robi i śpiewa pieśń śmiertelną.

Tylko, gdy biała suknia kobiety spowitej w całun na wieczność o cierń zaczepi, mężczyzna ostrożnie fałdy usuwa, by szaty białej nie zniszczyć.

Już jest nad morzem, na skale.

To nic, że wicher oddech mu tamuje, czyż on wie o tem?

Fala wezbrana z głuchym łoskotem u nóg się jego rozbija.

Przystanął chwilę.

I znowu księżyc okiem ciekawem rzucił na świat ten straszny.

Mężczyzna przykląkł, ciężar swój martwy złożył na ziemi. Fałdy sukni zakładał troskliwie, tak troskliwie, jak matka, gdy córkę do ślubu ubiera.

Włosy złote rozgarnął nad czołem, popatrzył chwilę, pochylił się, złożył pocałunek na oczach zamkniętych.

I znowu schwycił ją w objęcia, a teraz stoi na samej krawędzi skalistej.

Pędzi fala potężna, z trzaskiem do ściany przypada.

Pochylił się nad nią i zniknął.

Zamknęła się otchłań; poniosła morzu ofiarę.

Księżyc zasłonił twarz bladą chmurami czarnemi. Ciemność niezgłębiona panuje nad światem. Cyprysy jęcząc zawodzą nad willą z marmurów pieśń żałobną.

**Esteja**

---

## ŚCIEŻKA.

Całą mi ścieżkę z chaty do chaty
Gęsty śnieg pokrył zrana—
Wyjrzyj-no, ścieżko, z pod białej szaty,
Wyjrzyj-no, ścieżko znana!

Chodziłem ci ja ścieżką za wrota
Sto, tysiąc razy mało,
Wiodła mnie na nią jakaś tęsknota,
Coś gnało, coś wołało.

Chodziły za mną tą ścieżką w ślady
Na przemian razy wiele:
To żal serdeczny i smutek blady,
To radość i wesele.

A tam, gdzie w oknie lodowe kwiaty,
I mróz na szybach biały,
Dwa osłonięte rzęsą bławaty
Na ścieżkę spoglądały.

I lęk mnie jakiś chwyta, mój Boże,
Serce się z bólu zżyma,
Że naszych uczuć ślad zginąć może,
Gdy przyjdzie, starość-zima...

I że się kiedyś z szronem u skroni
Człowiek obudzi zrana...
Wyjrzyj-no, wyjrzyj ze śnieżnej toni,
Wyjrzyj-no, ścieżko znana!

**Bożydar.**

---

# CHRYZANTEMY.

W tych dniach otwarto wystawę chryzantemów w Wiedniu. Kwiat modny, pociągający, inteligentny niemal. Kiedy patrzysz na jego nerwową budowę, na energiczne skupienia płatków, pełnej korony jednych, na omdlałość i wprost melancholję drugich, kiedy zauważysz odrębność nietylko każdej odmiany, ale każdego prawie kwiatu, spostrzeżesz obok fizjognomji grup charakterystyczne rysy indywiduów, poprostu oblicza.

Śmiało utrzymuję, że żaden z kwiatów nie jest w stanie dostarczyć widzowi myślącemu tylu wrażeń, ile ich dostarczają chryzantemy.

Niech mi nikt nie mówi o storczykach, to są histeryki w państwie Flory, kiedy chryzantemy, to indywidualności bardzo zdrowe, bardzo normalne, obdarzone niezwykłą zdolnością rozwoju, niezwykłą żądzą nowości, ogromną ciekawością form, badawczym temperamentem odkrywców, śmiałością podróżników, energją reformatorów.

Przedziwna ich podatność kulturalna, ich ideoplastyzm niezwykły nietylko w lot chwyta najtajniejsze intencje hodowcy, ale je komplikuje na swoją, iż tak powiem, rękę, i zamienia w rzeczywistość o wiele nieraz prześcigającą wdziękiem i fantazją najśmielsze jego marzenia.

Chryzantemy współdziałają z hodowcą, rzec można. One nawet same pobudzać umieją wynalazczość jego, same poddają mu niejako skojarzenia nowe, pełne czaru i poezji, siły i oryginalności, a nawet ironji.

Na co patrząc, nie możesz się wprost obronić wrażeniu, że kwiat ten myśli, rozumie, chce, szuka.

Nic w nim szablonowego, nic nudnie skończonego, nic z tej ograniczoności, z tej jednostajności kwiatów, która i z najpiękniejszych tworzy w wielkich ilościach tylko ciężką masę. Dzisiaj sto pączków jednakich, jutro sto jednakich róż—czy może być co banalniejszego?

Ale chryzantem, kiedy się rozwija, czyni to przezornie, zwolna, z pewnym namysłem, nieodłącznym od aktu kreacji artystycznej. Ostrożnie wysuwa on swoje niespokojne, badawcze, wązkie płatki w jednym kierunku. Cofa je w innym, sam jeszcze nie wie gdzie, z której strony pchnie go ku życiu kształtująca siła. Ten sam krzew rzuca na jednej łodydze kilka próbnych linij, na drugiej tworzy szkic, na trzeciej dzieło samo. Jego walka z powszechną w świecie organicznym dążnością do utrwalenia typu, jego indywidualna energja jest zdumiewająca.

Jemu wcale nie chodzi o to, żeby wszystko odbyło się jaknajłatwiej, jaknajgładziej. Bynajmniej. Ma on odwagę form dziwacznych, zawiłych, niespodzianych, ostrych, przeciwnych wszelkim pojęciom o obowiązkowych układach różnych części kwiatu. Powiedziećby można, że sam sobie trudności stawia, aby je przełamywać, aby zużyć energję swoją. A tak jest pogrążony w tej pracy, tak zgubiony w tych kombinacjach, tak skoncentrowany w dążeniu do celów swoich, że na tym samym krzewie, na którym nową odmianę wyrobił, zostawia zapomniany jakiś kwiat pierwotny, jakąś przechodnią barwę, którą się posłużył i, wcale się tem nie troszcząc, idzie dalej, wyżej. Ma roztargnienia wszystkich wielkich twórców.

Za to nie ma wcale kokieterji kwiatów. Nie dba o liść i nie dba o woń. Wszystko mu jedno, czy się kto niemi zachwyca, czy też nie zachwyca. Liść jego ubogi, niepozorny, małym tylko podlegający odmianom, zwiesza się trochę niby bezradnie, trochę zaniedbany; kwiat odbiega od niego daleko, na wysmukłej, obnażonej łodyżce ledwo kilka zielonych wypustek biorąc po drodze z sobą, z dziwacznym jakimś pomysłem w zamkniętym pąku, i w tem odosobnieniu rozważa, kombinuje, tworzy.

Woń chryzantemu nie ma w sobie nic z tej ckliwej słodyczy, którą kwiaty, prócz kilku bezdusznych lub bardzo biednych, wyrabiają zazwyczaj w nektarjach swoich. Jest delikatna, subtelna, a przecież jakby ostra nieco, a tyle jej tylko, ile trzeba, aby świadczyć, że kwiat żyje, dyszy, ale zajęty ważniejszemi sprawami nie ma czasu na omdlewające, miłosne westchnienia.

Ogromnie zajmujący przez tę natężoną pracę nad zrewolucjonizowaniem wszystkiego, co było wczoraj, na rzecz wszystkiego, co być może jutro, rzutki, chwilami zuchwały, pełen niespodzianek, zadziwień, nawet dla samego siebie, chryzantem, niewiadomo zgoła, gdzie się zatrzyma i jakie sobie jeszcze formy wyrobić zdoła.

Oto chudy, ubogi, zsiniały od zimna, pod płotami zapuszczonych ogrodów rosnący, wszystkim znany mrozik. Zakwita on wtedy, kiedy astry są już zniechęcone do świata, a georginje, podobne rozdziewającym się po reducie elegantkom, zrzucają z poczerniałych łodyg swe bezmyślne maski. W jakąś noc październikową, kiedy wiatr górny pędzi chmury, to kryjąc, to odsłaniając bladą pełnię jesienną, kiedy liście, z drzew opadłe, nie mają siły podnieść się i zaszumieć, przybite do ziemi, zlepione, zastygłe, kiedy trawy drżą pod zimną rosą, tuląc się do siebie; w noc, kiedy wpół obnażone drzewa widmowo sterczą wzdłuż opustoszałych alei, a Musset melancholizuje z swą Muzą, stojący gdzieś na uboczu mrozik zakwita.

I nagle krzew jego pokrywa się tysiącem drobnych, liljowych gwiazdek, ze złotem oczkiem każda, a tak tego dużo, tak rojno, taką to wybucha gromadą, że ogród cały, że noc ta nawet jaśniejszą się czyni. A rozjaśnia mrozik nietylko opuszczone kąty ogrodów; rośnie on chętnie na starych cmentarzach, Bóg wie kiedy i przez kogo sadzony, a mogił zapomnianych ostatnim kwiatem bywa.

Ale patrz! Już w drugiej odmianie, w tak szczęśliwie nazwanych cygankach mnoży on z niesłychaną pilnością płatki pojedynczego krążka swej korony. Z jednego płatka robi dziesięć, z jednej niteczki nasiennej sto; wypełnia je, wykrąglą, sporzy, przyciemnia, akcentuje, ożywia swój niepewny koloryt, rozpuszcza w jego fijołkowej czerwieni złote oczko swoje i czyni się podobnym w barwie najbogatszym lakom, nie powiększając ani o jeden milimetr swojego obwodu. Wtem przychodzi mu coś do głowy, nie wiedzieć gdzie i jak smoli swoje czerwonawo złote płatki, odymia się cały, jakby u kopcącego żywicą ogniska, i jak prawdziwy cyganek obsypuje krzew tysiącem zamorusanych, aż czarnych niemal stokroci.

Cyganek jest wszakże odmianą bardzo jeszcze pierwotną, bardzo pospolitą; nie wyszedł ze stanu gminowładztwa i tak jak mrozik hordami jeszcze żyje. Indywiduum nie wybiło się nad masy, nie uświadomiło się także, jest to dopiero materjał, z którego rozwiną się jednostki najenergiczniejsze. Materjał ten nie jest martwym. Żywotność jego, jego siła pędu objawia się niesłychanie szybkim rozrostem wymiarów, bujnością coraz większych, coraz pełniejszych kwiatów, blaskiem i bogactwem kolorów.

Z wielkiej palety świata przybiera teraz chryzantem coraz świetniejsze, lubo zawsze pokrewne pierwotnym barwom i przedziwnie utrzymane w tonie odcienie. Przebiega całą skalę fioletu, przezroczystą czerwień garansów miesza ze złotem ochry, rozbłękitnia się, rozbiela, różowieje, nakłada farby na farby, dobiera, cieniuje, poddaje wymyślne repusuary, albo też miesza wszystkie barwy, razem, na chybi trafi, jak impresjonista.

Potężny wszakże rozrost kwiatowych koron zaczyna mu być uciążliwy. Krzew niepokoi się, nuży, cierpi. Ciążą mu te masy rozbujałego kwiecia. Charakter demokratyczny, gromadny takiego ustroju nie wystarcza budzącym się popędom indywidualizmu. Zmęczony, przytłoczony, zmięty, zaczyna żałować chwili, w której dał zbyt wiele swobody owym to cygankom i podobnie jak niektórzy socjologowie twierdzi, że ze wszystkich tyranij najnieznośniejszą jest tyranja gminu. Zbiera tedy siły, otrząsa się z tej ciężkiej jednostajnej masy kwiecia, zostawiając zaledwie kilka wybranych osobników, i tak oswobodzony z nacisku plebsu, oddycha, daje folgę swoim instynktom arystokratycznym, marzy. Zrazu marzeniom tym brakuje samodzielnego wątku. Snują się one tedy około form już znanych, a chryzantem przechodzi to pospolite każdej cywilizacji stadjum, w którem jednostki, ponad szarzyznę wielkiej powszechności wzbite, nie ufają własnej sile i własnym pomysłom, ale dokoła siebie szukają wzorów dla nowych form życia. Tutaj to, w tym interesującym momencie rozwoju podziwiać można zdolność naśladowczą chryzantemów.

Patrz, jak poczyna sobie ten kwiat, pełny inteligencji. Oto stula szypułki płatków u obsady, rowkuje sam płatek, zaokrągla go nieco i rozkłada tak regularnie, jak to czyni georginja, rozgwieżdża się jak pełne astry, rozstrzępia jak gwoździk, roztula jak peonja. Probuje formy nieśmiertelników, rumianów polnych, łężnych jaskrów, nie gardzi nawet kształtem kolczastego ostu. Nagle, jak czyni chłopię swawolne, zwija tysiąc śnieżnych kulek i zwiesiwszy je, jak buldeneż, na cienkich łodyżkach, czatuje niemal, aż się odwrócisz, aby cię trzepnąć w plecy. A gdy tak wyczerpał wszystkie możliwości, cofa się w siebie, pochyla czoło, w przepysznym płaczącym, złotobrunatnym krzewie wyhodowanym w ogrodach ks. Lichtensteina, i duma.

Duma, i przychodzą mu na myśl owe noce jesienne, kiedy jako ubogi mrozik zakwitał w blaskach miesięcznych. I ogarnia go tęsknota, nostalgja niemal; radby porzucić wielki japoński wazon, w jakim go pomieszczono z przepychem książęcym, radby znów stanąć tam, wśród drżącej z zimna trawy, w zapuszczonym kącie ogrodu, i oparłszy się o żerdź płota patrzeć na pełnię, po której wichr pędzi chmury. A im silniej tęskni, tem żywiej wyobraża sobie owe chwile, aż blednie, zachodzi wskroś miesięczną poświatą, prześwietla się bladem złotem promieni księżyca i rozbłyska srebrny, jak pełnia jesienna, i jak pełnia samotny na swym krzewie, aby na zawsze już zachować w tej przemianie swojej nazwę „*Lune d'automne*”.

Wtedy dopiero z pąka kwiat drugi rozwinie, gdy pierwszy zagaśnie.

Naraz przygasza swe blaski ów kwiat księżycowy, chmurnieje, zawija ciemny turban na głowę. W tej fazie swojej fantastycznej wędrówki przez świat barwy i kształtu przybiera on różne postacie i różne też narowy, aż się zbisurmani na dobre i jako „Damascus” wypuści z korony setki strzał pierzastych, tkwiących w niej, jak w kołczanie, zaczem wyrzucając je po jednej, po dwie, zostawi tylko sam obwód korony, niby kołnierz z piór dokoła nagiej szyi Kazuara. Poczem rozzielenia swą obnażoną tarczę, jak oazę wśród żółtych, spalonych słońcem piasków; z oazy tej wypuszcza szypułki nagie, smukłe, zakończone, jak palma, rozstrzępionym okwiatem, czego dokonawszy pomyślnie, przerzuca się w śliczną odmianę „Delhi” i tworzy z każdej owej szypułki zielonawy kłębuszek, niewiedzieć zkąd biorąc na niego czarodziejską przędzę. Ale już kłębuszki owe bledną, przybierają barwę stali, srebra. Zdaje ci się, że słyszysz ich dźwięk metaliczny, jak dźwięk tysiąca dzwonków w Dolinie Andory, której nazwę nosi ta nowa kombinacja linij. Aż naraz wszystkie owe kulki bieleją, stają się puszyste i jako przedziwnie udana „Avalanche” spadają śnieżną lawiną ze wszystkich krzewów w ogrodach hr. Zichy.

U hr. to Zichy bowiem miewają chryzantemy najdziwaczniejsze i najfantastyczniejsze pomysły. Cała wystawa tamtejszych kwietników składa się z samych nowalij i samych „premier” kwiatowych. Zaledwie wszakże owa śnieżna lawina krzew zasypie, natychmiast chryzantem, jakby uczuł nieznośne zimno, pożąda ogrzać się słońcem.

Zrazu nieśmiało same brzeżki śnieżnych płatków wyzłaca w jego promieniach drobna odmiana „Har-

ry", śmielszy Morel wykrada je po promyku, po smużce, poczem coraz pełniejszą koroną, coraz więcej światła biorąc w siebie, stoi w złoto-różanym brzasku, niby w zorzach, w przepysznym egzemplarzu „Soleil levant" Götza i Hamkensa, aż wreszcie kwiat ogromny zapala żarem południa w „Soleil Royal" w „Equador" i w „Empresse of India", której gorąco-złoty blask jest prawdziwym tryumfem, prawdziwą symfonją światła.

Nagle dekoracja się zmienia.

Chryzantem, wyczerpawszy kombinacje świetlne, przerzuca się w inną dziedzinę, zaczyna schlebiać damom. Louis Böhmer wyucza je flirtu, w ciągu pięciu, czy sześciu odmian, w których dominuje czerwień, od różanej „Amour" do coraz więcej rubinowej „Belle Paule Thumbery" i wspaniałej „M-e Clemence Audiguier".

Wyznać wszakże muszę, iż chryzantem dochodzi szybko na tej drodze do zniewieściałości. Nietylko drobnieje jak „Haricot" pana Pozendaka z Dornbachu, nietylko na fiolety swoje narzuca puszki srebrzyste jak w „Louis Böhmer", ale poprostu decyduje się służyć damom za poduszeczkę do szpilek, i ogałaca się niemal zupełnie z płatków, aby utworzyć wypukłe, złotą frendzlą oszyte, denko, które nosi nawet ślady licznych zakłuć, jakby już jakiś czas leżało na gotowalni Kleopatry, dajmy na to.

Myślę, że jest to odmiana płocha, dla której, lubo ją tu „Caledot" zowią, proponuję nazwę „Bawidamek".

Myli się wszakże ten, kto mniema, że tu będzie Kapua bohatera mego. Jako żywo! Słabostka to tylko, której podlegali i najwięksi nawet bohaterowie. Umie się on z niej otrząsnąć, umie z niej wyzwolić.

Oto czerwono-płomienna „Reduta", jakby w ogniach boju stojąca; oto „Gea" Ziemia, o szarogwiaździstej koronie; oto „Spes", wyciągająca przed siebie w dal wszystkie swe kielichy.

A teraz spojrzyj na tę długą, podobną kościelnej nawie salę. Ileż w zebranych tu setkach tysięcy chryzantemów, siły żywej, twórczej, siły wiecznych przemian i odrodzeń! Ile natchnienia, pędu, wiary w siebie, w jutro? Spojrzyj zwłaszcza na te wybitne jednostki, z których każda osobno ciągnie twoje oczy. Niech kto co chce mówi, to są przecież twarze.

Twarze, z wypisanym na nich temperamentem, żywe, namiętne, młodzieńcze oblicza, z całem bogactwem psychicznych motywów w rysach.

Pod natężonem światłem lamp elektrycznych, w tym przepychu barw, kształtów, refleksów, w tem ugrupowaniu prostolinijnem, które nie rozrywa swej uwagi, patrzysz na nie i one patrzą na ciebie. Chwila jeszcze, a obudzi się w nich świadomość. Jedne wyciągają do ciebie nerwowo haczykowato zagięte płatki, jakby cię przytrzymać chciały, inne pochylają głowy, z prawie ludzkim wyrazem; inne wyprostowane, sztywne, zdają się trzymać wartę na jakichś sobie tylko widnych drogach; jeszcze inne czupurne, butne, jakby szukały zaczepki, a wszystkie wyglądają tak, jakby ci miały coś do powiedzenia.

Mowy im tylko brakuje. Ale nie mylę się! Oto pod romańskiemi łukami sklepienia tej wpół kościelnej sali płynie stłumiona, powietrzna melodja. Nie jest-że to mowa tych dziwnych tworów? Nie ichże to szepty pieśni, zwierzenia modlitwy? Nie sąż to zaklęcia czarodziejskie sił, które im służą?

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że wiedeńczycy ze wszystkiego koncept robią, nawet z chryzantemów. Nie dość, że je sprofanowano w niesmacznych wieńcach na tyle a tyle florenów, z wstęgami na tyle a tyle metrów, ale w jednym z tych wieńców umieszczono zwierciadło, a na niem napis:

„Spieglein, Spieglein an der Wand,
Wer ist der Liebling des ganzen Land."

Kto wziął udział w wystawie? Prócz krajów korony: Czech, Węgier, Kroacji, Galicji, jedna tylko Francja, a ponieważ ogrody księcia Lichtensteina i hr. Zichy stanęły po za konkursem, na całej linji tryumfowali tedy p. Marx i p. Ludwik Böhmer, z zarządu centralnego cmentarza w Wiedniu.

Wiedeń, w maju 1892-go r.

**Marja Konopnicka.**

---

# Z cyklu: „Z południa".

I.

I rozlało się wokół wodami,
Między niebem a ziemią przysiadło,
Jak nieboskie, olbrzymie widziadło,
To cię grozą przejmuje, to mami.

To się zwraca ku ziemi i mgłami,
Jak dobrane otacza się stadło,
To znów nieba przejrzyste zwierciadło
Lśni szafirem i sypie iskrami.

Szumi, jęczy, jak ci, co się żalą,
To się gniewem porywa i ryczy:
Rzekłbyś, żądne podbojów, zdobyczy,

Tak na lądy śle falę za falą.
Pianą ciska w skaliste obroże
I na chwilę nie spocznie...

To morze.

**Marjan Jasieńczyk.**

---

# BLANSZETTA.

*„La bonté c'est notre vie."*
Verlaine.

Do zachodu szło słońce całe złoto-czerwone, z szafirową obwódką, nie zupełnie okrągłe, prawie spłaszczone leciuchno, zmęczone i spokojne.

W głębi ogrodu pod murem białym, pokrytym czerwoną linijką daszku, Blanszetta kopała ziemię, zanurzając głęboko rydel, wyrzucając stosy kamiuszczków drobnych, ciemnych, przeciętych niekiedy błyszczącym krzemykiem, kruszyną szkła albo ceglastą masą oderwanej grudki. Dziewczyna śpieszyła się, cała czerwona, z postronkami żył nabiegłemi na rękach. Barchanową, niebieską spódnicę, zbitą w ciężkie fałdy, podniosła i zapięła z tyłu szpilką podwójną, wyjętą z włosów i sztucznie skręconą. Z pod tej spódnicy wysuwała się druga, czarna, kamlotowa, pocerowana, połatana i obszyta listwą z rudego jedwabiu. Nogi Blanszetty tonęły prawie w ziemi. Widać jednak było niebieskie pończochy, opinające grube łydki, i zaczątek skórkowych, sznurowanych bucików. Resztę ogarnęła ziemia, ciemna, sucha, niezdrowa ziemia okolic paryskich, które są tylko przedłużeniem przedmieść, hen... daleko, aż za fortyfikacje.

Blanszetta co chwila obcierała pot z czoła, który świeżemi, lśniącemi jak srebro kroplami znaczył się na jej skroniach i brodzie. Ciemne blond włosy, skręcone wysoko, zmoczone się zdawały w tym pocie i jakby skąpane. Twarz cała dziewczyny różowa, młoda, jasna, przecięta linją ciemnych brwi, siwych oczu i purpurowych ust wilgotniała co chwila, jakby cały strumień srebrny i czysty bił w nią nieprzerwanym prądem. Cienia nie było ani śladu. Karłowate gruszki lasem równym sterczały wśród zagonów kapusty, co czerwonemi i zielonemi bukietami do ziemi przypadła, okolona koronką delikatnych szparagów. Po murze białym czepiały się jabłonki, dziwacznie śmieszne, jakby sparaliżowane. Tu i owdzie winograd figlarnie zakręcał swoje zielone włosy. Z sąsiedniej willi, po za murem sterczały duże orzechy, ostry, wyraźny zapach w przestrzeń rzucając. W oddali lipy, bukietem olbrzymim, tajemniczym, znaczyły się, mając u stóp basen, przy którym migotały kadłuby przewróconych polewaczek.

W oddali, już koło domu, przywiązana do budy suka ujadała żałośnie.

Blanszetta przestała kopać i oparła się na rękojeści rydla.

— Pani pewnie dziś przeze mnie spać nie mogła?— zapytała mnie z uśmiechem.

— Dlaczego?

— Bo całą noc byłam chora i chodziłam po swoim pokoju. Pani nie słyszała?

— Nie!... a cóż ci było?

— Ot... nic! zwyczajnie, zmartwienie.

Wzruszyła ramionami i splunąwszy w dłonie za rydel chwyciła.

— Zmartwienie!—powtórzyła raz jeszcze.

Usiadłam na składanem krzesełku tuż obok całej masy kamieni.

— Jakież ty masz zmartwienie?

Blanszetta spojrzała na mnie uważnie i nagle łzy jej zamigotały w źrenicach.

— Sercowe!—odpowiedziała z prostotą.

— Kochasz się?

— Naturalnie!...

— W kim?

— O!... to cała historja!

Porzuciła rydel i z trudnością wydostała się z masy gruzów i ziemi.

Gdy tak szła ku mnie w tem dziwnem świetle nastającego wieczora, wydała mi się doskonale piękną w swej wielkiej czerstwości i silnym rozwoju ciała. Miała wielki wdzięk młodej dziewczyny, wyrosłej bez gorsetu na świeżem powietrzu, wśród wschodzących roślin, z piersiami pysznie uformowanemi, z okrągłą szyją zdrowej i krwistej blondynki.

Usiadła na ziemi, tuż obok mnie, wyciągając nogi. Podkute gwoździami podeszwy zamigotały w słońcu.

— Pani wie, że ja nie mam już matki, tylko macochę. Pani ją widziała, ta chuda, żółta kobieta, która mnie do pani markizy przywiozła. Ojciec się ożenił, jak ja miałam dwa lata zaledwie. Macocha mnie nie lubi, ojciec się jej boi, dlatego poszłam w służbę, choć mi wrzosów było żal!... ach, jak żal!...

Oczy jej błądziły wśród zagonów kapusty, jakby szukały tych fal wrzosów różowych, wśród których ona wzrosła, tak różowa, jak te drobne kwiatki, dłońmi widm mglistych ze Szkocji pod Paryż rzucone.

— Obok nas jest drugi ogrodnik, pan Duvast, ojciec mój jest p. Dupont, i nasze wrzosy są najpiękniejsze na całą okolicę. Ale i u pana Duvasta zdarzają się piękne doniczki, zwłaszcza w jesieni. Tylko, że do pielęgnowania wrzosów potrzeba koniecznie kobiet. U pana Duvasta są sami mężczyźni. Nie umieją obchodzić się delikatnie z krzewami. Wstrząsają doniczki, zwłaszcza przy wydostawaniu z ziemi. Jeden tylko p. Maurel potrafi wyjąć doniczkę z ziemi, nie dotykając krzewu. Prawda, że to ja go nauczyłam obchodzić się z wrzosami. Zawsze żartowaliśmy z sobą po przez ogrodzenie, ale ja byłam pewna, że pan Maurel myśli o mojej przyrodniej siostrze, Filipinie, która także razem ze mną pracowała w ogrodzie. Tak samo myślała moja macocha, ojciec i sama Filipina. Tymczasem pan Maurel przychodzi raz do nas, do domu, kiedy wszyscy siedzieliśmy przy stole, staje we drzwiach i mówi: „Panie Dupont, chcę z wami pomówić." Ojciec nic nie odpowiedział, tylko wstał zaraz od stołu, wziął kij, kapelusz i wyszedł z p. Maurelem do kawiarni. Filipina zbladła cała i udawała, że je deser, ale ręce jej drżały. Ja nie mówiłam nic, stałam koło bufetu i układałam talerze, ale było mi czegoś bardzo smutno i żałośnie. Macocha uszczęśliwiona krzątała się koło ognia i wyjmowała nowe filiżanki do kawy. Nagle wchodzi ojciec sam jeden, zachmurzony i pomieszany. Macocha pyta go, co się stało. Ojciec splunął, wzruszył ramionami i nic jeszcze nie mówi. Macocha się niecierpliwi.—No cóż? oświadczył się?—Naturalnie!—odpowiada ojciec—oświadczył się, ale chce... Blanszettę!—Na mnie jakby piorun spadł. Upuściłam talerz na ziemię. Macocha przyskoczyła do mnie i uderzyła mnie w twarz. Ja nawet bólu nie uczułam... tak byłam szczęśliwą!... tak bardzo szczęśliwą!...

— No i cóż się później stało?

— A no!... później, macocha mściła się na mnie za to, że p. Maurel wolał mnie, niż Filipinę. Pozwolili mi wziąć pierścionek, to prawda, ale tyle też było mego narzeczeństwa. Nigdy nie pozwolili mi pomówić z narzeczonym, choćby dwa słowa. Do ogrodu wysyłali za mną albo Filipinę albo młodsze dzieci. Gdy raz jeden pan Maurel pocałował mnie w rękę, ojciec nagadał mu głupstw, a ja płakałam rzewnemi łzami. Przy stole nigdy nie siedzieliśmy razem. Zawsze pomiędzy mną a nim była Filipina. Gdy po obiedzie grali w karty, mnie wyłączali od gry, a ja musiałam szorować naczynia albo podłogę, gdy moje siostry grały z moim narzeczonym, albo spacerowały z nim po ulicy. Macocha mi zabrała jersey i czarną spódnicę umyślnie, ażebym gorzej się prezentowała i wyglądała jak sługa. Mój narzeczony nie mówił nic, ale widziałam, że chętniej bawił się z Filipiną, która miała aż dwie suknie ze stanikami, niż ze mną. Ja też się chowałam do kuchni, bo mi było wstyd moich barchanowych kaftanów. Nareszcie p. Maurel zaczął pytać się o ślub, naznaczać dzień. Ojciec radził się macochy, a ta dnia nie chciała naznaczyć. Ja wiedziałam czemu. Potrzebna im jeszcze byłam na jesień, bo nikt tak nie umiał wrzosów o północy wydobywać z ziemi, jak ja, i ustawiać na wozie. Teraz bardzo często p. Maurel jeździł nocą na targ do Paryża i odwoził wrzosy naszym koniem. Zawsze jeździła z nim... Filipina.

— Filipina?

— Tak, macocha tak kazała. Wie pani, ja jestem bardzo łagodna dziewczyna. Ale jak widziałam, że oni zapalili latarnie, potem wsiedli na wóz oboje, i hue!... dia!... pojechali ciemną nocą, a ja sama zostałam koło parkanu i oni się nawet za mną nie obejrzeli, to już mnie gniew zbierał i łzy mi do oczu płynęły. Później całą noc nie spałam, aż Filipina wróciła rano. Gdy ją zobaczyłam, byłam spokojniejsza. I tak to trwało całą jesień, bo pod Magdaleną potrzeba dużo wtedy wrzosów. Wszyscy je na groby dla swoich umarłych kupują. To już taka moda. Wreszcie przeszła jesień, nastała zima. Pan Maurel prosi znów, żeby ślub przyśpieszyć. Wymówił miejsce u pana Duvasta, wynajął ogród i mieliśmy się na wiosnę już wziąć na swojem do pracy. Po mojej biednej matce zostało mi dwieście franków, ale kiedy ojciec dom stawiał, to ja mu te pieniądze pożyczyłam. Miałam więc odebrać te dwieście franków i dostać sypialny pokój z firankami i zegarem, który mi się po matce także należał. Ale macocha ciągle zwlekała, pan Maurel kupił sobie narzędzia i, nie mając gdzie schować, przyniósł je do nas. Ojciec zamknął je w komórce. Mnie to niemile tknęło, ale

jakże ja mogłam na swojego ojca przed narzeczonym coś powiedzieć. Wreszcie pan Maurel się zaczął niecierpliwić. Mówi: dajcie mi już pannę Blanszettę, bo sam nie wiem, co mam myśleć. Ojciec pluł i nic nie mówił, a macocha się wykrzywiała albo mnie biła. Wreszcie powiadają mu: Nic z tego na teraz nie będzie, ona nam jest potrzebna jeszcze ze dwa lata! Jak pan Maurel to posłyszał, zbladł cały i mówi: Ja nie mogę dwa lata czekać. Ja wynająłem grunt i muszę się ożenić! Macocha zaczyna się śmiać.—A to się pan żeń!—Z Blanszettą?—Za dwa lata!...Wtenczas ja wypadłam z mego kąta i zaczynam płakać i prosić, aby mnie już raz za niego wydali. Macocha mnie złapała za włosy i bije i krzyczy. Dzieci w płacz, Filipina się rzuciła mnie bronić. Pan Maurel postał chwilę i mówi: Nie trzeba bić panny Blanszetty. Ja sobie idę i nie chcę zamieszania sobą robić!—I wyszedł. Ja odepchnęłam macochę i wybiegłam za nim. Noc ciemna, on szedł bardzo prędko, aż go dopadłam pod parkanem koło ogrodów. — Panie Maurel!—wołam—ja pójdę z panem!—Ale on stanął i mówi do mnie: — Niech się panna Blanszetta wróci do domu. Ja widzę, że oni mi dać panny nie chcą, bo nie mają już tych dwustu franków, które się pannie Blanszecie należą. Mebli także matka nie da. To darmo!—Ja nic nie mówiłam, ale czułam, że on miał rację, bo przecież mnie bez niczego, ot, tak, jak stałam w tym biednym barchanowym kaftanie, wziąć nie mógł...

Umilkła na chwilę i dodała zaraz, uśmiechając się smutnie.

— A jednak ja, to choćby on był żebrakiem, poszłabym za niego.

Miała w swym głosie całą moc miłości, na jaką zdobyć się może dobre, kobiece serce.

Dokoła cisza była tak wielka, że najdokładniej słychać było gwizd przelatującego w oddali pociągu.

Z purpurowej plamy słonecznej pozostało tylko morze złota i szarawego blasku.

— I tak staliśmy przy sobie!—ciągnęła znowu Blanszetta—a mnie łzy dławiły i obcierałam je włosami, bo mi macocha włosy zupełnie rozczochrała i szpilki w głowę powbijała. A pan Maurel mówi jeszcze: Trzeba, żeby panna Blanszetta wiedziała, że macocha pożyczyła ode mnie pieniędzy, sto pięćdziesiąt franków, a ojciec panny Blanszetty ma moje narzędzia. Okradliście mnie po prostu, okradliście!... zabraliście mi uzbierane pieniądze i teraz się mnie pozbywacie. Ja was po sądach włóczyć nie będę, bo byłoby mi wstyd, że się w taką brudną familję wmieszać chciałem.—Splunął i odszedł. Ja zostałam sama i o mało nie umarłam z rozpaczy. Wyłam, jak pies, tak płakałam. Wróciłam do domu bardzo późno, położyłam się w kuchni na ziemi i tak zasnęłam. Nad ranem obudziła mię macocha i każe wstawać do roboty. Ale ja porwałam się i mówię: Nie będę u was nic robić, pójdę do służby, pójdę do ludzi!... I poszłam... Były jeszcze straszne sceny, ale ja postawiłam na swojem. Znalazłam przez znajomych miejsce, zabrałam tę trochę łachów i poszłam się wysługiwać obcym. W dzień to pół biedy. Pracuję, latam z kuchni do ogrodu, to i nie mam czasu myśleć... W nocy najgorzej!...

— Chorujesz?

— Niby. Bo serce mnie okropnie boli i na miejscu uleżeć nie mogę. Żal mi domu, ojca, Filipiny, wrzosów...

— A pana Maurela?

Z oczu Blanszetty popłynęły dwie strugi łez.

— Pewnie, że mi go żal najwięcej. Przytem to okropne to, co on mi powiedział, tam w nocy, pod płotem. — Okradliście mnie! — To znaczy, że i ja!... Żadna Dupont nie była złodziejką! Moja biedna matka, gdyby to słyszała, umarłaby drugi raz. Przecież to macocha pożyczyła od niego pieniędzy. Dlaczego on to do mnie powiedział?

Zdaleka, z za krzaków, z za lasu kukurydzy suka wyć żałośnie zaczęła.

Blanszetta porwała się z ziemi.

— Biche wyje, głodna, pójdę jej dać zupy!

Obciągnęła fałdy spódnicy, która grubym ciężarem zwisała ku ziemi.

— Gorąco!—wyszeptała.

— Masz przecież już dwumiesięczną pensję, pięćdziesiąt franków. Czemu sobie lżejszej spódnicy nie kupisz?

Blanszetta stanęła przede mną i oparła mi rękę na ramieniu.

— Kupić? wydawać te pieniądze? — zawołała — ależ ja poszłam w służbę tylko dlatego, żeby sobie uskładać trochę pieniędzy! rozumie pani?

Spojrzałam na nią smutnie zdziwiona.

Więc i ta się łudzi? i ta jeszcze ma nadzieję!

— Myślisz, że pan Maurel do ciebie powróci, gdy uzbierasz te dwieście franków, które ci rodzice zabrali?

Blanszetta uśmiechnęła się smutnie.

— Nie! ja o tem nie myślę. Jeżeli zbieram pieniądze, to po to, aby...

— Dokończ!

— Aby oddać panu Maurelowi to, co macocha od niego pożyczyła. Powiedział przecież: okradliście! Odeszlę mu pocztą. To mój obowiązek.

I odwróciwszy się, poszła ścieżką wzdłuż lip i kukurydzy, które z szelestem zamykały się za nią, czepiając się fałdów jej ciężkiej, zimowej spódnicy.

Paryż, d ..-go czerwca 1892-go r.

**Gabrjela Zapolska.**

---

# STARA KSIĘGA.

W starej książnicy w odwieczerz stałem,
Gorzał zachodem nieba strop siny
I krwawo lśniły w świetle wspaniałem
Grube foljały i woluminy.
Żegnało słońce blasków potokiem
Odwiecznym kurzem osnute półki,
A za gotyckiem oknem wysokiem
Ćwierkały pacierz senne jaskółki.

Zdjąłem z pulpitu foljał potężny,
W pokryte skórą oprawion deski;
Miał narożniki z blachy mosiężnéj,
Rzezane w kwiaty i arabeski.
Mistrz je wypieścił w zamierzchłej dobie
I zawarł księgę złoconą klamrą;
Pisarz i złotnik spróchnieli w grobie,
Ale ich dzieła nie rychło zamrą.

Otwarłem księgę i do mych oczu
Począł pergamin gadać zżółkniały;
Lśnią minjatury w złotem otoczu,
Kolorowane lśnią inicjały.
W starej książnicy krwawemi skrami
Migota słońce nad mym pulpitem,
Mienią się karty, jak przed wiekami,
Purpurą, złotem, srebrem, błękitem...

Jakiś mnie dziwny czar ukołysał
I jąłem, księgo, dumać o tobie:
Mnich średniowieczny ciebie napisał,
Skrybent i malarz w jednej osobie.
Kreśląc z zapałem glorje promienne
I wizerunki i kwiatów zwoje,
Jakąż on treścią w noce bezsenne
Wypełniał, księgo, stronnice twoje?

Żywoty świętych, misterjów parę
W gotyckich liter wije się sploty,
Stare kantyczki, kolędy stare,
Nabożne pieśni, pełne prostoty.
Złym był poetą twórca tych wierszy:
Rym się nie klei, rytm w nich nie kleł...
Pięknemi głoski na karcie pierwszéj
Wymalowano: *Ad gloriam Dei...*

Widzę: mrok osiadł ponure ściany,
Mnich proste słowa z natchnieniem kreśli:
O Rodzicielce Niepokalanéj,
O Bożym Synu i świętym cieśli.
Czernią się głoski na karcie białéj,
Migocą farby złoto, czerwono;
Żółtym promykiem kaganek mały
Mdławo oświetla twarz zachwyconą...

I powiał nagle prąd jakiś szerszy
I mego ducha podniósł ogromnie;
Złym był poetą twórca tych wierszy,
A jakże dziwnie przemówił do mnie!
Srebrzy mnie łzami kolęda stara,
Stara kantyczka śpiewa mi: „wskrześnij!"
Taka serdeczna, gorąca wiara
Z pięciowiekowych tryskała pieśni...

Czerwone słońce w dal padło szarą,
W starej książnicy stałem w zadumie:
O, gdyby ową pierwotną wiarą
Można cię natchnąć, dzisiejszy tłumie!
O, gdyby twoją pierś strupieszałą
Tych świętych uczuć wskrzesiły żary!...
Czerwone słońce w dali skonało
I było ciemno w książnicy staréj...

**Or—ot.**

---

# W NOC LETNIĄ.

Leżał na ziemi wśród traw, z rękoma pod głową, wpatrując się w bezdeń nieba.

Dzień gasł i szarzał. Upał wraz ze słońcem uleciał gdzieś na zachód, pozostawiając za sobą łagodne oddechy, chłodzące i rzeźwiące rozpaloną ziemię. Cicho było i spokojnie, tak martwo spokojnie, jak to bywa nieraz w lipcowy wieczór po dniu upalnym i znojnym, kiedy ani wiatr nie zaszeleści liściem, ani głos żaden nie zamąci ciszy. Drzewa spały, jakby zamarłe w swoim bezruchu, niby już stojące gdzieś na innym świecie, na którym życia niema. Gdzieniegdzie wśród traw strzelała w górę wyniosła dziewanna, zawsze ruchliwa i wiotka, teraz spokojna i sztywna. Niżej, przy samej ziemi, słały się rumianki białe i żółte jaskry, niby drzemiąc na swoich łodyżkach i tonąc w spoczynku. Cisza przepoiła ziemię i, kojąc ją do snu, objęła jej ruch i życie. Czasem tylko smutna czajka zapiszczała żałośnie.

Orliczowi, leżącemu w trawach, wygodnie było jakoś, cicho i spokojnie. Wstrzymywał oddech niemal, żeby najmniejszym szmerem nie przerwać tej ciszy, nie zamącić bezruchu, w jakim wszystko tonęło. Rozkoszował się tą ciszą i wsłuchiwał w nią, a w niebo patrzył i gwiazd na niem szukał. Czuł się dziwnie tym gwiazdom blizki i zespolony z niemi. Po raz pierwszy w życiu nie wyodrębniał się od otaczającej go przyrody, tylko był nią samą. Drzemały drzewa, posnęły kwiaty, powietrze nawet jakby stało w nieruchomości i martwocie; on też wegetował tylko, nie myślał, nie działał, lecz istniał jedynie. Spowinęła go i ukołysała natura cała, a on czuł swą do niej przynależność, jakby ją czuły drzewa i trawy, gwiazdy i niebo.

Roztaczał się przed nim wielki kawał świata, ale on w nim nie widział obrazu, bo sam należał do niego i był jego cząstką nierozdzielną. Zdawało mu się, że ktoś z po za gwiazd, z wysoka, spogląda na ziemię, rozpatrując krajobraz, on zaś gra w nim tylko taką samą rolę, jak ten kamień, co go ma pod głową, jak te dziewanny nieruchome, jak ta czajka, co gdzieś krąży nad wodą. Nie było niczego przed nim, nie było niczego za nim, nie było żadnego środka, wszystko się zlewało w jakąś jedność współistniejącą, a on był w niej małą cząsteczką, małą plamką, dopełniającą ogólnej harmonji.

I była chwila, że nie mógł „ja" powiedzieć, bo albo go wcale nie było, alboby je musiał na całe tło rozciągnąć. Rozpłynęło mu się po całym wszechświecie i cały wszechświat w półsenny, drzemiący, cichy i nieruchomy szeptał z nim razem: „my gwiazdy i drzewa! my rośliny i wody! my dziewanny i dusze!"

I tak czas mu biegł w tem drzemaniu z naturą i w tym szepcie z nią wspólnym, który olbrzymiał coraz więcej, rozszerzał się i wznosił, nabierał mocy i siły, aż przeszedł w potężny hymn jakiś, śpiewany przez wszechświat.

Ocknął się wreszcie z wrażeniem człowieka, co się ze snu budzi i sen swój przypomnieć się stara.

Zaczął pracować umysłem nad rozpoznaniem, co to było i gdzie on był wtedy? W chwili tego współbytowania z przyrodą był jakby w półśnie, bez czucia i myśli i bez żadnych wrażeń. Ogarnął go jakiś spokoj bezmierny, jakieś znieczulenie i znieruchomienie. Nie było mu ani źle, ani dobrze, ani przyjemnie, ani nieprzyjemnie—bo nic nie czuł.

I nawet w całym ogromie wszechświata siebie odnaleść nie mógł. Była natura cała, i on był w niej także, ale jego oddzielnie, w przeciwstawieniu do niej, nie było zupełnie.

Dotychczas wszechświat od zenitu aż do nadiru toczył się przed nim, wirował, istniał i żył, ale zawsze tak, że on nań patrzał tylko i widział, ale z nim się nie toczył i nie wirował. On był zawsze pośrodku, a wszystko istniało dokoła niego. On—był on, a świat był sobie oddzielnie, jak obraz wielki, który oglądać można. Czuł się nie w nim, lecz przed nim.

A teraz z tych dwóch rzeczy, które istniały dla niego przedtem, pozostała jedna tylko: pozostał świat, obraz. On zaś, jego „ja" weszło w ten obraz i rozpłynęło się w nim zupełnie. Po raz pierwszy poczuł się w samej miazdze natury, w jej wnętrzu samem i zrozumiał, że on i ona—to jedno tylko.

A drzewa ciągle spały, rozsiewając dokoła martwotę jakąś obezwładniającą.

Nawet brzozy, takie wiotkie zawsze, ruchliwe i rozkołysane, opuściły teraz gałęzie ku ziemi, w niemocy jakiejś i uspokojeniu.

Żaden głos, żaden ruch, żadna oznaka życia nie mąciły tego skamienienia. Wszystko ogarnęła jakaś wielka bezwładność i wszystko zdawało się szeptać tylko w uśpieniu: śpimy, wypoczywamy—nie ruszajcie nas!

Ale Orlicz już nie drzemał teraz. Myśl jego pracowała uparcie, uświadamiając sobie przebyte wrażenia.

Zdało mu się, że nagle został zepchnięty z jakiejś wyżyny na samo dno wgłębienia, które miał przedtem pod sobą, i że on z tego wgłębienia wydostać się już nie zdoła.

I było mu teraz zupełnie inaczej. Tam, w górze, siedział niby na tronie, czuł się panem wszystkiego, spoglądał zwysoka i miał swoje prawa, swego Boga i duszę, swoje przyczyny i cele. Był czemś zupełnie odrębnem, wyniesionem nad wszystko, stworzonem inaczej i rządzonem odmiennie, niż cała ta natura, istniejąca dla niego, jak masa szara, nad którąby panować można.

Tymczasem coś go zepchnęło z wyżyny i zmieszało z tą masą. Był teraz prochem, jak wszystko. Poczuł w kościach swoich te same drobiny, co skały złożyły, w żyłach ciecz taką samą, jaka płynie w miljonach innych stworzeń, poczuł się duszą bratem tych dusz brzoz płaczliwych, co mu się smętnie zwieszone rysowały w dali na tle nieba szafiru.

Nad poczęciem jego, życiem i zniknieniem praco

wać miały te same siły i te same prawa, co z prochów chaosu lepiły roślinę, tworzyły wodę, opoki i gwiazdy, kazały im istnieć i rządziły niemi. Był drobiną pleśni, pokrywającej ziemię, był wytworem fermentu, jaki na niej sprawiały żywioły walczące. Zapłodniły go w prochu ruch, ciepło i światło, powołały z nicości i dały istnienie jak tęczy kolorom, co są tylko grą świateł, ich drgania igraszką. Słońce zajdzie za chmurę—tęcza zniknie w przestrzeni; żywioły się rozstrzelą—i on zniknie, jak mara, ich tylko skupieniem przy życiu trzymana.

A z prochów, w które się rozsypie, ułoży się może dziewanna wysoka, co tak pnie się w górę, jakby do gwiazd dojść chciała. Albo może lotną falą gazów uleci gdzieś w górę, gdzieś w nadobłoczne krainy, żeby się błąkać tam wiecznie, to rozpraszać, to skupiać i tak lecieć i lecieć na skrzydłach powiewów, ciągle w pustki i próżnie i spokoju nie zaznać.

Tymczasem noc już zapadła zupełna.

Skrawek nieba na zachodzie ciemniał coraz bardziej, osuwał się na dół i gasnął, aż wreszcie przeszedł w granat ciemny i zlał się z ogólnym kolorytem nieba. Wtedy z ziemi zaczęły się unosić w górę jakieś białawe opary i przesłoniły sobą krawędzie horyzontu. Niebo na skrajach przybladło znów nieco i wyblakłym pasem ochwyciło dokoła ziemię.

Dalsze pola i lasy zamgliły się w oparach i znikały powoli, zapadając gdzieś w ciemność. W powietrzu czuć było chłód i wilgoć. Świat zdawał się otulać we mgły i tumany i chować pod niemi, żeby drzemać spokojnie. Cicho było ciągle, tylko powiew lekki rozwłóczył zimno po ziemi.

Orlicz nie czuł go jednak. Leżał, jak przedtem, zasłuchany w ciszę, z oczyma błądzącemi po gwiazdach, spokojny i rozmarzony. Myśli mu się teraz wlokły powoli, leniwie i bez żadnego wysiłku, zwolna podążając za wrażeniami, jakie go opanowywały. Więcej odczuwał, niż myślał, i bez słów nawet rozumiejąc swoje uczucia.

Ogarnęła go apatja jakaś, ani przyjemna, ani przykra i przy zupełnej samowiedzy swojego stanu poddawał się bierny napływającym wrażeniom.

„Więc prochem tylko jestem?"—szeptał sobie zcicha i dziwnie obojętnie zgadzał się na to zupełnie.

„Więc jestem niby roślina, zlepek drobin, nic więcej" — powtarzał znowu sobie, rozchylając zlekka kępy traw pod ręką.

Dziwnie inaczej patrzył teraz na nie. Zdawało mu się, że te źdźbła trawy czują dotknięcie jego ręki i cieszą się z tego, że się stał ich bratem. Więc gładził je dłonią, rozgarniał, nachylał, lubując się ich miękkością i całując je wzrokiem.

A trawy mu odpowiadały. Lekki wiaterek, rozwłóczący po ziemi tumany, rozkołysał je teraz i rozfalował. Chwiały się zlekka, chibotały i gięły, nachylając się ku niemu, jakby w pozdrowieniu bratniem.

„Ty do nas należysz—szeptały mu zcicha—jesteś bratem naszym i masz duszę nam krewną. Ty słońca pragniesz, my się pniemy do niego, ty się zimna boisz, my od niego giniemy; ty pragniesz i łakniesz i tchu ci potrzeba, my się rosą poimy i ziemią karmimy, a z słońca promieni na skrzydłach powiewów czerpiemy dech i życie. Jedna nas matka zrodziła."

— „A że wami jestem, więc jak i wy zniknę kiedyś, więdnąc i żółknąc i rozsypując się w prochu."

„Znikniesz — mówiły trawy — bo i my znikamy."

A zeschnięte źdźbła, co się pod niemi z lat poprzednich kryły, powtórzyły głucho:

„Znikniesz, jak myśmy zniknęły."

Orlicz godził się i na to. Owładnięty niemocą jakąś i rozleniwieniem, opuścił bezwładnie duszy ramiona i dał się unosić wrażeniom. Odczuwał wszystkie i nawet rozumiał, tylko nie miał ni woli, ni mocy borykać się z niemi i otrząsać z ich wpływu. Coś się w nim burzyło, druzgotało, waliło, on czuł to i wiedział, a przecież nie byłby w stanie wyprężyć ani jednej struny ducha, ażeby się bronić i wyrwać z bezwładu. Myśli mu płynęły, jak przytłumionej muzyki melodja, w monotonnem tempie, ze ściśnionem brzmieniem.

Zdawało mu się chwilami, że mu się te myśli oderwały od niego, a toczyły gdzieś w górze, na gwiazdach, tam grając i szybując w przestrzeniach, a on się patrzy tylko na nie, wsłuchuje w ich szmery, rozumie je i czuje, ale sam nie pracuje nad niemi i nie jest ich panem. To gwiazdy myślały, to gwiazdy sunęły w szafirze, to one staczały walki i boje, one się układały w nowe wzory i skupienia, a on patrzył w nie tylko.

I z tych niezgłębionych oddaleń spływały na niego falą odbicia jakichś nowych prawd i uczuć jakieś echa nowych celów i pragnień, jakieś przeczucia nowych walk, pojęć i wierzeń...

On leżał ciągle, zapatrzony i zasłuchany, niby w półśnie jakimś, w bierności zupełnej i zdawał się mówić tym gwiazdom:

— „Oto poddaję się wam w niemocy, czyńcie ze mną, co chcecie, układajcie mi myśli, twórzcie mi duszę nową, bom ja sam słaby i rady sobie nie dam..."

I tak szła ta rozmowa poprzez nieskończone przestworza, gwiazdy toczyły się zwolna, migotały lub gasły, zapadając pod widnokręgiem, a Orliczowi zdawało się ciągle, że to myśli jego, porozpinane na tych światłach nieba, snują kanwę jakąś, to się splątując, to rozplątując znowu.

Noc wreszcie blednąć poczęła. Łagodne kołysanie powietrza przeszło teraz w silniejsze podmuchy wiatru i zasnuło całą ziemię gazą mgieł i oparów. Z nad łąk i stawów zaczęły się nasuwać na pola jakieś mełe, potargane kosmyki białych obłoków i, rozwłócząc się tuż przy samej ziemi, pokryły ją bielą, niby oblubienicę do ślubu.

Potem tumany uniosły się zlekka do góry, zaczęły rzednąć i płowieć, roztrząsać się i rozpraszać, rozwieszać w powietrzu i szarzeć, aż w końcu przysłoniły sobą i gwiazdy i niebo.

Jednocześnie bladawe jakieś, mleczne światło zdawało się przenikać powietrze. Nie płynęło ani od zorzy zachodu, ani od brzasku wschodu, ani od gwiazd i nieba, tylko przeciskało się zewsząd, jakby rodząc się samo i nasycając sobą każdą kropelkę wilgoci, zawisłą nad ziemią.

Zniknęły pola i lasy, znikło niebo i ziemia, a została jedynie jakaś zamglona przestrzeń, której wzrok przejrzeć nie mógł.

Zdawała się nieskończoną i głęboką, jak błękit, a przecież wisiała na oczach i, zda się, można ją było rękami wyczuwać.

Skończoność i nieskończoność, bliskość i daleość, próżnia i nasycenie zlały się w jakąś jedność mistyczną — i było w niej jasno, ale nie widno — szaro, ale bezbarwnie—dźwięcznie, lecz głucho. I czas nawet zdawał się ustawać w swoim wiecznym biegu i przeszedł w jakieś trwanie, zawisłe na kroplach tumanów.

Wreszcie wiatr zaczął przewiewać nizko nad samą ziemią i odparł ku górze siniejące mgły.

Ukazały się najpierw nizkie ściernie i trawy, potem osty i głogi, bliższe płoty i kopce — aż w końcu i drzewa przejrzewać zaczęły poprzez osłony bieli. Świt zdawał się jeszcze dalekim, tylko mdłe światło brzasku i mgły rozpraszało mrok nocy.

Jednocześnie i szmery jakieś zaczęły mącić ciszę.

To wiatr zlekka zaszeleścił liściem na drzewie, to zaszumiały trawy, muśnięte powiewem, to ptak jakiś zrzadka zatrzepotał skrzydłami, budząc się na chwilę i zasypiając znowu. Nie był to jeszcze nieustanny gwar poranku, zgiełkliwe budzenie się natury do życia; było to tylko niby przeczucie ocknienia, niby strojenie instrumentów przyrody przed wielkim hymnem na powitanie słońca.

Jedne tylko trawy rozgaworzyły się zupełnie. Wysokie a mdłe, obciążone kroplami rosy, kołysane wiatrem, zaczęły się kłaniać na wszystkie strony, to kładąc się nizko, tuż na samą ziemię, to wyprostowując znowu, żeby z następnym podmuchem przypaść raz jeszcze do ziemi.

Wyginały się jak fale, garbiły, piętrzyły, zniżały, wznosiły, dając się szarpać i czochrać, to muskać i gładzić, posłuszne każdemu skinieniu i ślepo uległe.

A gdy się tak kładły pokotem, rozwiewały lub gięły w pokorze, zdawały się szemrać szumem, jaki wiatr z nich dobywał:

„Jesteśmy uległe i słabe, lada podmuchom posłuszne, ale dobrze nam jest tak być, bo nie myślimy o sobie."

A że miękkie były, puszyste i pod nogi się słały, więc szeptały jeszcze:

„Pójdź tu na łono nasze; spoczniesz cicho bez marzeń, a my cię kołysać będziemy, z czoła twojego zwiejemy smutki i troski, odgonimy niepokój, a wszczepimy spokój, i będzie ci dobrze, zaciszne i błogo."

Szeptały ciągle i ciągle, gaworzyły, szemrały, układały się miękko, prosiły potulnie, aż uległ im Orlicz—i zanurzył się w nie twarzą.

Rozłożył ręce szeroko, jakby chcąc ramionami objąć glob ziemi cały, i zdało mu się, że tym ruchem wszystką naturę do piersi przyciska. Oto był z nią pierś w pierś teraz, poznawał w niej matkę i powitać ją pragnął. Ona, w tych trawach, przyjęła go na łono swoje, tuliła, pieściła, szumem falowań kołysanki mu śpiewała, a on przylgniętemi do niej wargami powtarzał oszołomiony:

— „Oto jestem, twój syn zabłąkany—przyjmijże mnie teraz!"

I nagle doznał dziwnego wrażenia.

Poczuł, że mu się w tym uścisku przerodziła dusza i że już nie powstanie takim, jakim był przed chwilą. Nowa jakaś fala wdarła mu się aż do głębin ducha, zmyła wszystko, czem żył i istniał dotychczas, a wydobyła na jaw jakieś nowe źródła, jakieś nowe pokłady, z których czerpać miał teraz.

Rozumiał, że wstanie innym już zupełnie i z duszą nową i na życie nowe.

Ani go chciał, ani pragnął, ani go znał jeszcze, a widział, że już iść niem musi, bo mu w tamtem zaciasno teraz było i pomieścićby się w niem nie mógł. Nowa droga stała mu otworem, a on nie wiedział, czy cieszyć się z niej, czy smucić, czy witać ją, czy przeklinać, bo jej końca nie widział. Więc bojaźń jakaś zdjęła go wielka przed tą zagadką przyszłości i żałować zaczął swoich dni ubiegłych i tych urojeń, jakie mu świeciły wtedy.

A oto teraz opuszczały go wszystkie i miał się pozostać sam.

Czuł, że to niewinność jego ulatywała mu z duszy, że to ulatywały jego lata młode, lata anielskie spokoju, ufności i gołębiej prostoty, a czekało go coś nieznanego, ciemnego, gdzie się zbłąkać mógł łatwo.

I wielkie łzy żalu napełniły mu oczy. Duszę miał łkań pełną i wydobywały się z niego coraz gwałtowniej i silniej. Płacz nim wstrząsał i targał, łzy go dusiły i piekły, a on, zanurzony w trawach, raz jeszcze dał się unieść bezwiednemu wrażeniu, oddając mu się cały.

Bo nawet nie wiedział, czego tak płakał w tej chwili. Zamało znał to, co go czekać mogło, żeby całą siłą duszy żałować przeszłości, zamało też wnikał w te przeszłość, ażeby się aż lękać, że ją utracił. Ot, łzy same napływały z jakichś głębi nieznanych, a on płakał jak dziecko, niby w przeczuciu dziwnem przyszłych walk i zawodów, przyszłych zwątpień i niewiar i tych wszystkich cichych smutków i wielkich rozpaczy, co nim wstrząsać miały.

Łzy mu padały na trawy, mieszały się z rosą i wsiąkały w proch ziemi. — I tak życia zaranie i poranku brzask pierwszy to rosą, to łzami witały dzień nowy...

Jakoż i słońce niezadługo wejść miało...

. . . . . . . . . . . . . .

**Ignacy Dąbrowski**

# Nadesłane.

Album Kostrzewskiego cena rs. 2. Przesyłka 30 k.

Wczoraj poświęcony został nowo otwarty zakład najmu powozów pod firmą „*Eclips*" (Nowy-Świat, 25) Telefon 805.

**Biuro bankowe „GAZETY LOSOWAŃ" w Warszawie Krakowskie-Przedmieście Nr. 53.**
**Załatwia wszelkie operacje bankowe w kraju, Cesarstwie i zagranicą.**

***Eli.*** Heliominiatury Nowy-Świat 21 m. 13

## KALENDARZ

*Imiona słowiańskie:* Dziś Mieczysława, jutro Strzeżysława.

*Wystawy stałe:* Wystawa Towarzystwa sztuk pięknych. (Krak.-Przedm.. 15— od 10-ej rano do 4-ej po południu.)—Wystawa obrazów Krywulta. (Hotel Europejski—od 10-ej rano do 8-ej wieczorem.)— Wystawa obrazów spółki malarzy oraz rzeźbiarzy i wystawa szkiców. (Nowy-Świat, 27—od 10-ej rano do 7½ wieczorem.) — Wystawa prób i wzorów przemysłu fabrycznego i rękodzielniczego krajowego. (Gmach Muzeum przemysłu i rolnictwa przy ul. Krak.-Przedm., 66—codziennie od 10-ej rano do 4-ej po południu, w niedziele zaś i święta od 12—4-ej po południu. Wejście bezpłatne.) — Wystawa Muzeum rzemieślniczego. (Gmach Muzeum przemysłu i rolnictwa na Krak.-Przedm., 66—codziennie od 10-ej rano do 4-ej po południu, dla rzemieślników od 7—9-ej wieczorem, w niedziele zaś i święta od 10-ej rano do 4-ej po południu.)—Wystawa etnograficzna. (Wiejska, 18, dom hr. Branickiego—od 10-ej zrana do 4-ej po południu.)

*Wystawy terminowe:* Wystawa tryptyku p. t. „Modlitwa" Wacława Szymanowskiego. (Sala resursy obywatelskiej na Krak.- Przedm.—od 11-ej zrana do 7-ej wieczorem.)—Doroczna wystawa szkiców oraz przedmiotów z działu sztuki stosowanej. (Salon artystów malarzy i rzeźbiarzy, Nowy Świat, 27—od 10 zrana do 7½ wieczorem.)

*Teatry:* **Wielki**: dziś „Halka"; jutro divertissement taneczne, „Rycerskość wieśniacza" (z udziałem panny Libji Drog oraz p. Ernesta Colli'ego) oraz „Wieszczka lalek";— **Rozmaitości**: dziś „Flipota" oraz „Boubouroche"; jutro „Prawa serca";— **Mały**: dziś „Stoliki magnetyczne", „Wice-admirał" oraz „Zemsta nietoperza" (akt drugi—z udziałem panny Klementyny Czosnowskiej); jutro „Zaklęty zamek" (z udziałem panny Klementyny Czosnowskiej). (7½ wieczorem.)

*Lombard miejski:* Gotówki w kasie lombardu do rozdania na zastawy znajduje się na dzień jutrzejszy 19360 rs. 9 kop. (Pożyczki wydawane będą od 9-ej zrana do 2-ej po południu wykup i prolongata uskuteczniane są od 9-ej zrana do 3-ej po południu.)

— W kościele św. Franciszka Serafickiego (po-franciszkańskim) jutro, o godz. 10-ej zrana, odprawiona będzie solenna wotywa z wystawieniem N. Sakramentu i procesją ku czci św. Antoniego Padewskiego.

— W dniu jutrzejszym, o godzinie 9-ej zrana, w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej w kościele św. Ducha (po-paulińskim) odprawiona będzie ku Jej czci solenna wotywa.

# Wiadomości bieżące.

= Dzienniki petersburskie donoszą, iż w ubiegłą sobotę czytany był w radzie państwa projekt reformy ministerjum dóbr państwa, które, jak wiadomo, przemienione będzie w ministerjum rolnictwa.

= *Petersb. wied.* dowiadują się, iż departament gospodarczy ministerjum spraw wewnętrznych przystąpił do opracowania przepisów, dotyczących obrońców w sprawach włościańskich.

= *Petersb. wied.* piszą: Według pogłosek, w ministerjum finansów złożono wiele podań, pochodzących od instytucyj hypotecznych w kwestji konwersji listów zastawnych oraz obligacyj 5-procentowych. Obecnie wydane zostały pozwolenia na przeprowadzenie konwersji towarzystwom kredytowym miejskim: odeskiemu, kaliskiemu, lubelskiemu i płockiemu, oraz Bankom ziemskim tyfliskiemu i chersońskiemu. W ten sposób należy się spodziewać, iż wkrótce zniknie zupełnie typ papierów 5½ oraz 6-procentowych.

= Jak donoszą dzienniki petersburskie, w ekspedycji papierów państwowych odbywają się próby z nową masą papierową do wyrobu marek pocztowych, stemplowych i t. d.

= Według informacyj *Kijewlanina*, powiększona będzie w r. b. liczba podprokuratorów w sądach okręgowych.

= Zarząd główny poczt i telegrafów zawiadamia o otwarciu urzędu pocztowo-telegraficznego dla korespondencji wewnętrznej i międzynarodowej w Czerniatynie (gub. podolska, pow. lityński), odległym o 2 wiorsty od Sewerynówki, stacji odnogi nowosielickiej kolei południowo-zachodnich.

= *Odesskija nowosti* zamieściły następującą depeszę z Petersburga: „Na naradzie ministerjalnej w sprawie przesilenia węglowego zapadła uchwała niezwłocznego zniżenia taryfy od węgla kamiennego w tym stosunku, iżby dostawa węgla z kopalń dąbrowskich w Królestwie Polskiem do Ekaterynosławia nie przenosiła 10 kop. od puda.”

= W tych dniach, jak donosi korespondent *Kij. sł.*, bawił w Petersburgu producent cukru, p. Litwinienko, któremu udało się wynaleźć sposób produkowania rafinady wprost z buraków o 50% taniej. Próby cukru są najzupełniej zadawalające. Wynalazek p. Litwinienki ma być sprawdzony w drodze urzędowej.

= *Now. wr.* potwierdza wiadomość, iż zjazd przedstawicieli kolei, jako instytucja, zostanie zachowany i nadal. Budżet zjazdu zamiast 133,000 rs. obliczony został na 65,000 rs. Komplet urzędników będzie zredukowany z początkiem r. b. Zarządzającym będzie nadal N. P. Czeremisonow. Przedstawiciele kolei zbierać się mają raz na miesiąc.

= *Now. wr.* donosi, iż przy roztrząsaniu w radzie państwa nowej ustawy aptekarskiej ma być poruszona kwestja procentowego ograniczenia uczniów aptekarskich żydów do 5% ogólnej liczby.

= Zarząd kolei nadwiślańskiej upoważnił centralną stację miejską do wypłacania zaliczeń, nakładanych na transporty, ekspedjowane za pośrednictwem tej stacji.

= Tabor ruchomy kolei wiedeńskiej wkrótce powiększony będzie o 10 parowozów najnowszej konstrukcji do mających się zaprowadzić na tej kolei pociągów błyskawicznych.

= W dniu wczorajszym pochowano na cmentarzach: brudzieńskim katolickim 6 mężczyzn, 3 kobiety i 10 dzieci; na powązkowskim. 4 mężczyzn i 3 kobiety; na ewangelicko-augsburskim 1 kobietę; na warszawskim żydowskim: 1 mężczyznę i 1 kobietę; na prawosławnym wolskim 2 mężczyzn. Ogółem pochowano wczoraj 32 zwłok.

= Proszeni jesteśmy o zaznaczenie, że najbliższe posiedzenie członków komitetu opieki nad plantacjami miejskiemi odbędzie się w d. 8-ym b. m., o godz. 8-ej wieczorem, w sali ratuszowej. Członkowie biorący udział w specjalnych podkomisjach, proszeni są o przybycie o godzinie 7-ej.

## = Z teatru i muzyki.

* (*K. Z.*) Doskonały pomysł miał p. Śliwiński wznowienia starej sztuki Stanisława Bogusławskiego p. t. „Stoliki magnetyczne”, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, wystawionej w teatrze warszawskim w r. 1854-ym, jakkolwiek wiem, że ją Żółkowski grywał jeszcze w r. 1858-ym.

Pomysł jest szczęśliwy, powtarzam, bo okoliczności, w których sztuka napisana została — są bardzo podobne do dzisiejszego zawrotu głowy, jakie na nasze miasto sprowadziła plaga w osobie Eusapji Palladino.

Autor, sama sztuka, a wreszcie i jej aktualność zasługują, abym o wznowieniu „Stolików magnetycznych” nie ograniczył się na pobieżnej wzmiance: to też, zaznaczając tylko życzliwe jej przyjęcie przez publiczność w teatrze Małym, powrócę do niej w jutrzejszym numerze.

* Pani Felicja Kaszowska po wyjeździe z Budapesztu udała się na szereg występów gościnnych do Wrocławia.

Śpiewaczka wykonała tam już rolę Elzy w „Lohengrinie” i Małgorzaty w „Fauście”.

Krytyka wrocławska bardzo przychylnie przyjęła artystkę i oddaje wielkie pochwały zarówno jej śpiewowi jak grze dramatycznej.

* W mieście Sumach w gub. charkowskiej dawała koncert na rzecz wdów i sierot po lekarzach panna Helena Papłońska, b. wychowanka warszawskiego konserwatorjum, córka znanego nauczyciela, p. Karola Papłońskiego.

Gra młodej pianistki zyskała powszechny poklask, a lekarze, zajmujący się filantropijnym koncertem, ofiarowali pannie Papłońskiej wspaniały bukiet.

* Onegdajszego wieczora znajdowało się na przedstawieniach osób w teatrach: Wielkim 770, Rozmaitości 710, Małym 545 (komplet); na wystawach: obrazu „Modlitwa” W. Szymanowskiego w sali resursy Obywatelskiej 115, etnograficznej 16, muzeum rzemieślniczego 67; na obrazach niknących w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa 250; na koncercie Ameryki Montenegro w salach redutowych 125.

= Kościół powązkowski.

Na przedstawienie komitetu budowy kościoła św. Karola Boromeusza na Powązkach, zarząd miejski wyznaczył na roboty kościelne z funduszu pokładnego 6,000 rs., które użyte będą na wewnętrzne wykończenie prawej kaplicy rodziny Tosińskich, fundatorów części kościoła.

Ponieważ jednakże komitet budowy wspólnie z dozorem cmentarnym zamierza w ciągu r. b. w znaczniejszych rozmiarach prowadzić roboty, przeto w celu ułatwień w nabywaniu katakumb pod kościołem (wpływy ze sprzedaży których przeznaczone są na rzecz wykończenia kościoła); dotychczasowa cena ich ma być znacznie zniżona, co też między innemi będzie przedmiotem obrad na mającem się odbyć w połowie stycznia pierwszem posiedzeniu nowowybranego dozoru cmentarnego.

= Bal u handlowców.

Współpracownicy handlowi i przemysłowi m. Warszawy na zakończenie starego roku urządzili wczoraj bal dla swoich członków i wprowadzonych gości w lokalu własnym.

Obszerna sala, ustrojona żywemi kwiatami, zapełniła się szczelnie uroczemi tancerkami i dziarską młodzieżą handlową.

O godzinie w pół do jedenastej rozpoczęto tańce polonezem, po czem puszczono się w wir upajającego walca.

Po ochoczym mazurze, o godzinie 2-ej po północy, wesołe grono zasiadło do wspólnej kolacji, życząc sobie wśród ożywionej rozmowy pomyślności przy nowym roku.

Serdecznie pito za zdrowie gospodyń balu, panien: Duńskiej, Mireckiej, Podienówny i Zmitrowiczówny, a następnie przewodniczącego wydziału, p. Fr. Podiena, i członków tegoż, za to, iż dołożyli wszelkich starań, aby zabawa się udała, a że tak jest najlepszym tego dowodem, iż zabawa przeciągnie się z pewnością do rana.

Pp. Gosiewski i Żukowski prowadzili tańce z życiem.

Toalety dam, zgodnie z umową powszechną na obecny karnawał, były skromne lecz gustowne.

Przeważał kolor jasno różowy i biały.

Par tańczących było do siedemdziesięciu.

= Kuchnia ludowa.

Wczoraj, o godz. 11-ej p. poł., otwartwo kuchnię obiadów bezpłatnych, przy ulicy Drewnianej, pod nr. 11-ym, urządzoną przez warszawskie Towarzystwo dobroczynności, pod przewodnictwem prezesa wydziału wsparcia tej instytucji, p. Franciszka Rydzykowskiego.

Na akcie pomienionym znajdowali się: hr. Wincentowa Walewska z córką Konstancją, książę Michał Radziwiłł, pani Irena Karłowiczowa; pp. Franciszek i Wacław Rydzykowscy, Zygmnnt Mirosławski, Jan Rutkowski, Juljan Skibicki, Bronisław Knoll, Wilczewski i Julljan Heppen.

Obiadów wczoraj, jak na początek wydano 44; wydawane będa one codziennie od godz. 10-ej zrana.

Zgromadzeni na cel powyższy złożyli w ręce przewodniczącego rs. 20,

= Szopka u cyklistów.

„W żłobie leży, któż pobieży, kolędować małemu” zaintonowała gromadka cyklistów wczoraj w swojej siedzibie na Dynasach, a chór ten ściągnął taką moc małych i dużych słuchaczy do obszernej ich sali, że literalnie pomieścić się w niej, z jaką taką wygodą było rzeczą niepodobną.

Ulokowaliśmy się jednak i cierpliwie wysłuchali do końca bardzo ładnie ułożonego programu zabawy, która powiodła się nadspodziewanie dobrze, a powiodłaby się była jeszcze lepiej, gdyby zmysł organizacji i porządku był właściwością naszego charakteru.

Na tle bardzo dobrze wykonanego pejżażu ujrzeliśmy tedy pięknie oddaną misterję szopkową, znaną zresztą wszystkim, a pomimo poetyczności swojej, odpowiednio do czasu, wymagającej koniecznie korekty odpowiedniej.

Oto grupa wieśniaków rozmawiała tedy z aniołem, który im dobrą przyniósł „nowinę” o narodzeniu w Betleem Dzieciątka, anachroniczny żydek z pejsami i w śmiertelnej koszuli odśpiewał odpowiednie kuplety; uczynili potem toż samo: kominiarz, druciarczyk, piaskarz nadwiślański, cyganka i strażak.

Szczególniej oklaskiwany przez młodych spektatorów był andrus, ucharakteryzowany dobrze i w żargonie śpiewający swoje dowcipy.

Drugi akt szopki wypełnił djalog o królu Herodzie, naturalnie z nieodłączną śmiercią kościstą i djabłem czarnym, którzy do motji transportują okrutnego despotę w czeluści piekielne...

Przyznać należy, iż kostjumy usiłowały być ściśle historycznemi, że amatorzy-artyści mówili naturalnie i z prostotą, i że chóry bardzo zgodnie i harmonijnie spełniły swój obowiązek.

Mówiąc o reformie szopkowej, zaznaczamy, że dokonano jej już za granicą, że we wszystkich prawie miastach niemieckich już najpoważniejsi artyści w przedstawieniach szopkowych biorą udział, i że godziłoby się i nam o tem pomyśleć.

Że wrażenie opłaci trud i zabiegi, za najlepszy dowód posłużyć może wczorajsze zebranie, które cieszyło się i rozrzewniało tem bardzo, co mu podano.

Po szopce p. Rybka bawił dużych i małych magicznemi sztukami, a w końcu przy niemożliwym tłoku rozdawano pociechom prezenty, pozostawiając w ich umysłach na długo miłe wspomnienia ładnie spędzonych godzin kilku i prześlicznej choinki oświetlonej lampkami elektrycznemi.

= Dla łyżwiarzy.

Pomimo brzydkiej pogody, bo zrana mrzył deszcz i wiatr szalał przez dzień cały, tory ślizgawkowe licznych miały zwolenników.

Klub łyżwiarzy stawił się prawie w komplecie w alejach Ujazdowskich.

Z powodu napływu nowych członków, klub zwołuje zebranie ogólne na d. 14-go b. m., na którem dokonane będzie balotowanie kandydatów i załatwione zostaną wnioski komitetu.

Jak przystało na klub sportowy, Towarzystwo łyżwiarzy urządza konkurs, którego warunki wkrótce będą ogłoszone.

Proszeni jesteśmy o zaznaczenie, iż na torze obowiązki gospodarza dyżurnego, pełni stale członek klubu, p. Franciszek Rembierz, do którego łyżwiarze we wszelkich sprawach zwracać się mogą.

= Pierwsza.

Tradycji stało się zadość...

Afisze zapowiedziały maskaradę „tę pierwszą”, która nie jest maskaradą, dopóki nie stanie się „tą trzecią”.

Kręciło się tedy po salach redutowych i nieredutowych masek nieco i fraków nięco, a bufet zalegały butelki... nieodkorkowane.

Tak było na pierwszej, tak będzie na drugiej.

Do widzenia na—trzeciej...

= Sesja drukarzy.

Bardzo ożywioną była wczorajsza sesja drukarzy, tak z powodu opóźnienia jej w r. b., a ztąd nagromadzenia spraw, jak i z powodu decydowania ich przez zgromadzenie.

Obrady rozpoczęto o 4-ej pod przewodnictwem delegata magistratu.

Zgromadzenie wypisało na towarzyszów 32 kandydatów, czterech zaś wstrzymano dla braku dowodów.

Zapisano 46-iu uczniów i 10-iu na giserów.

Po dopełnieniu tego przystąpiono do odczytania podań i wniosków.

Bardzo dużo czasu zajęło podanie starszego p. Pajewskiego, o wyznaczenie mu 360 rs. rocznie, jako wynagrodzenie za straty materjalne, jakie ponosi, zajmując się sprawami zgromadzenia.

Ponieważ dotąd wszyscy starsi pełnili te obowiązki bezinteresownie, zgromadzeni nie mogli się zgodzić na takie uszczuplanie funduszów, przeznaczonych dla stowarzyszonych.

Gdy jednak p. starszy stanowczo oświadczył, że inaczej obowiązków swych sprawować nie będzie, zgromadzeni postanowili zebrać komisję, która ma obmyśleć środki na ten nałożony... haracz...

Z kolei następowały wnioski, które bardzo byłyby na czasie, jak np. p. Prokopowicza o potrzebie jakiegoś takiego bytu coraz bardziej licznym weteranom zgromadzenia; p. Woszczyńskiego co do skasowania

t. zw. „arend”, które źle wpływają wogóle na stan drukarstwa, o założeniu bibljoteki dla członków zgromadzenia; p. Skrzyckiego o potrzebie wykładu uczniom teorji drukarstwa i inne, lecz wszystkie te wnioski pociągają za sobą koszty, a kasa zgromadzenia drukarskiego nie jest wcale na nie przygotowana, przyjęto je więc do wiadomości i postanowiono zwrócić się do p. prezydenta o pozwolenie na ich wprowadzenie w wykonanie, o ile naturalnie w przyszłości nie przyjdą jeszcze inne gwałtowniejsze lub też brak gotówki nie stanie temu na przeszkodzie.

Urząd przedstawił zebranym prośby wdów i oznajmił, że przeznaczono dla nich rs. 100, co też zatwierdzono.

W końcu posiedzenia przedstawiono odezwę komitetu imienia Jachowicza o zasiłku, zgromadzeni zadecydowali zaofiarować jednorazowo rs. 25.

Sesja skończyła się po godz. 8-ej wieczorem.

= *D. O. M. 1893.*

Wieść załobną dziś wam niosę,
Wieść, co popłoch i łzy wznieci:
Byt zakończył dychawiczny
Rok dziewięćdziesiąty trzeci!

Ile biedak się wycierpiał,
Tego umysł nie ogarnie:
Toż i lepiej, że raz umarł
I zakonczył swe męczarnie.

Dziedziczności snadź guz mając
Przodków ten męczennik biedny,
Zaraz w inną wpadał słabość
Skoro się wygrzebał z jednej.

Skłopotany rój lekarzy
Nie mógł pomódz mu ni trocha,
Choć się spierał o bakcyle
Albo o metodę Kocha.

Był nieboszczyk melomanem,
Co mu wielce się pochwala:
Szczędził większych dzieł operze,
Jednak dał Leoncavalla.

Nikt już jak on gościnności
Różnym gwiazdom nie udzieli:
Czy nie prawda panno Lantes,
Maurel, Stehle i Nouvelli?

Dla komedji co mógł czynił,
Konkurs przeto dał *Kurjera*:
„Flirt” był i „Nauczycielka”
„Jakub Warka” *et caetera?*

Et towym zaś dostawcom
Słał natchnienie. by nie spali:
Zbierał laury więc Zalewski
I Lubowski i tam dalej.

Operetka w tymże czasie
Rozkwitała należycie,
Więc reżyser, pan Śliwiński,
Na uznania stanął szczycie.

A jeżeli „złotej żyły”
Czasem znaleźć się nie dało,
To już wina Millöckera.
Że nowości tworzył mało.

Na koncertów brak—narzekać
Fałszem byłoby i grzechem:
Wszystkie sale miejskie brzmiały
Różnorodnych tonów echem.

Ruch był też w literaturze...
Chcecie, bym go wam ocenił?
Zdemaskował się nam Jordan,
Zaś Sienkiewicz się ożenił.

Ha, co prawda, hymen sprzyjał
Artystycznej naszej rzeszy:
Wyszła za mąż panna Trapszo,
Barcewicz się żoną cieszy!

Pozytywizm w roku zgasłym
Znów pozyskał sobie wroga:
Ręką „Johna” podniesiona
Drży w powietrzu stołu noga.

Spirytyzmu nauk tajnych
Niezbadane przedsięwzięcie:
Lewitacje, palpitacje,
*Meno luce*... sukni wzdęcie...

Z polityki jednak zmarły
W księdze dziejów nie zasłynie,
Bo w Afryce psocił niemcom,
Prezydentom w Argentynie.

Psuł anglikom krew w Egipcie,
W Rzymie spłodził Panamino,
Dał anglikom
Że wciąż z kwaśną chodzą miną.

W sprawy miasta rad się wtrącał:
Ruch popierał budowlany,
Owdzie bruki kładł drewniane,
Albo wodne wkręcał krany.

Towarzystwo ogrodnicze
Obdarował Bagatelą:
Gdzie się niegdyś lwy smuciły,
Niech dziś kwiaty wzrok weselą.

Skór wystawą lud poruszył
I z rozrzutną grosza forsą
Festyn dał nam niebywały,
Co się zwał kwiatowem *corso.*

Sport w nim ojca miał dbałego:
Mnożył *match*'e i wyścigi,
Sypał znaczki i medale,
Twórcą był łyżwiarskiej ligi.

Czuły był i zawsze gotów
Wszem przychylić choćby nieba:
Kto gotówkę miał—mógł zawsze
Kupić, co mu było trzeba.

Zestarzawszy się nareszcie,
Odszedł, zkąd już nikt nie wraca.
Bodajby mu lekką była
Zasłużona jego praca!

---

= Cholera i... pismo.

W ostatnim nrze *Gaz. lekarskiej* znajdujemy ciekawą notatkę.

Oto podczas tegorocznej epidemji cholery w Radzyminie, łekarz miejscowy dr. Mansiorski stwierdził odrębne dotąd nieznane, właściwości piżma, które czynią ten środek bardzo pożytecznym i zbawiennym dla chorych.

Dr. Monsiorski stosował piżmo tylko w beznadziejnych wypadkach, przy objawach następujących: ciało zimne, brak tętna, oczy zapadłe, sinica, ciągłe wymioty, wodniste, białawe, biegunka częsta również wodnisto-biaława, ciągłe omdlenie i kurcze.

Na 10 wypadków śmiertelnych, tylko trzy wypadki przy stosowaniu piżma nie odniosły skutku, przy których wyleczenie było niemożliwem wskutek komplikacji innych chorób, lub gdy chory nie zachował koniecznej w takich razach djety, jak naprzykład, jeden chory przy polepszeniu najadł się pierników.

W ogóle procent wyzdrowień 68·8%.

W opisie swym podanym do *Gazety* dr. Monsiorski, główną wagę przypisuje działaniu piżma, przez zupełne i natychmiastowe usunięcie wymiotów.

---

= Pozostawianie dzieci bez opieki.

Na mocy protokułu policyjnego pociągnięto do odpowiedzialności sądowej Ch. Jakubowiczową za to, iż, wychodząc z domu przy ul. Pawiej pod № 58-ym, pozostawiła nieletnie swoje dzieci samopas, bez żadnej opieki, skutkiem czego dzieci zapaliły na sobie ubranie i spowodowały pożar.

Aczkolwiek ogień w zaraniu stłumiono, niemniej jednakże stało się to tylko dzięki przytomności umysłu jednego z sublokatorów, bez udziału winnej wypadku, Jakubowiczowej, która wróciła z miasta już po ugaszeniu ognia.

W sądzie oskarżona tłumaczyła się brakiem czasu i biedą, która nie pozwala jej trzymać bony do dzieci i upraszała o uniewinnienie, a ewentualnie o możliwie łagodną karę.

Sędzia pokoju 13-go rewiru m. Warszawy skazał ją na 6 dni aresztu policyjnego.

Zjazd, który sprawę w instancji apelacyjnej rozpoznawał, zredukował karę do jednego dnia aresztu lub grzywny w kwocie 3 rs.

---

= Niesumienny stróż.

Praktykowany w niektórych drugorzędnych domach warszawskich zwyczaj powierzania stróżowi odbioru komornego od lokatorów nie zawsze bywa korzystnym dla gospodarza.

Niedawno właśnie wzmiankowaliśmy o przywłaszczeniu pewnej sumy komornego przez stróża domu przy ul. Twardej pod № 48-ym, Jana Aleksandra Makowieckiego i o pociągnięciu go do odpowiedzialności sądowej.

Obecnie przychodzi nam zaznaczyć, iż stróż do winy się przyznał, utrzymując, że dopuścił się czynu karygodnego z powodu... kiepskich czasów i... zbyt małej pensji pobieranej od gospodarza za swoje uciążliwe obowiązki.

Aczkolwiek sędzia pokoju podzielił żale stróża co do kwestji zbyt małego wynagrodzenia pobieranego przez stróży warszawskich w ogóle, niemniej uznał oskarżenie co do przywłaszczenia pieniędzy za dowiedzione i skazał M. na zamknięcie w areszcie policyjnym na 2 tygodnie, bez zamiany tej kary na grzywny.

Zjazd sędziów pokoju wyrok ten w dniu onegdajszym zatwierdził.

---

= Kradzieże.

Podczas przejazdu tramwajem z Powązek na ul. Nowy Świat okradzeni zostali małżonkowie: Józef i Karolina Sawiccy; mężowi wyciągnięto pugilares, zawierający 110 rs., żonie zaś skradziono złoty zegarek z połową dewizki, którą przecięto jakiemś niezwykle ostrem narzędziem. — Na Pradze Michalinie Dmochowskiej skradziono z bryczki tłomoki mieszczący w sobie różne rzeczy wartości przeszło 100 rs. — Koloniście, Wincentemu Ostrowskiemu, podczas chwilowego pozostawienia wozu z końmi przed karczmą za rogatką wolską, uprowadzono parę koni; poszkodowany oblicza poniesioną stratę na 250 rs.

---

= W bójce.

W szynkowni Gąsiewskiego za rogatką szmulowską Roch Piotrkowski, posprzeczawszy się z Janem Krustą, uderzył go kijem w głowę tak nieszczęśliwie, iż wybił mu oko.

Poszwankowanego odwieziono do szpitala, napastnika zaś aresztowano.

---

= Udławienie.

Na szosie grójeckiej powracający z Warszawy włościanin, Szymon Kopliński, przystanąwszy przy spotkaniu z sąsiadami, posilał się kiełbasą.

Podczas śniadania K. zachwiał się i upadł, przyczem świadkowie spostrzegli, iż się dławi.

Pomimo przedsięwziętych środków zaradczych, nieszczęśliwy wyzionął ducha.

Zdaniem lekarzy K. był skłonny do apopleksji.

---

= Zamach samobójczy.

W dniu wczorajszym pod № 15-ym przy ul. Elektoralnej zachorowała 18-letnia Felicja Sochaczewska.

Wezwany lekarz stwierdził otrucie morfiną.

Wczesny ratunek zapobiegł niebezpieczeństwu, przynajmniej na razie, lecz stan zdrowia otrutej nie przestaje być groźnym.

Przyczyna rozpaczliwego zamachu nie jest zbadana.

---

= Napad.

Nocy wczorajszej Władysław Rybicki, zamieszkały pod № 1-ym przy ul. Szczyglej, w przejściu przez ul. Mylną został niespodzianie napadnięty.

Rabusiów było trzech i, zanim Rybicki pomyślał o oporze, leżał już obezwładniony.

Łotrzy zawiedli się, gdyż R. posiadał zaledwie kilkadziesiąt kopiejek.

I ta drobna kwota została jednak zabrana, a napastnicy ofiarę swą mocno poturbowali.

Zarządzono natychmiast pogoń i jednego z rabusiów przytrzymano.

Jest to Stefan Korwacki.

Pytany o nazwiska swoich wspólników, odmówił wszelkich zeznań.

---

+ Echa łódzkie.

Korespondent nasz pod d. 29-ym b. m. pisze:

W d. 2-im stycznia r. p. rozpoczną się powtórne egzaminy z języka russkiego i polskiego majstrów fabrycznych w Łodzi i pow. łódzkim.

Powtórnym egzaminom podlegną wszyscy majstrowie, którzy w roku zeszłym wykazali niedostateczną umiejętność władania językiem, oraz wszyscy ci, którym czas do nauczenia się prolongowano do 1-go stycznia r. p.

Majstrowie i oficjaliści, którzy tym razem nie odpowiedzą wymaganiom, stanowiska swoje obowiązani będą opuścić z d. 27-ym marca 1895-go r.

Przypadającą w przyszły wtorek 25-letnią rocznicę działalności szefa firmy scheiblerowskiej, p. Edwarda Herbsta, personel fabryczny postanowił obchodzić owacyjnie.

W tym celu czynione są już od dni kilku przygotowania, w których udział biorą nie tylko pracownicy zakładów scheiblerowskich, lecz i rozmaite instytucje, tudzież prawie wszyscy przemysłowcy łódzcy.

Dowodzi to, że jubilat cieszy się wśród łodzian niepowszednią sympatją i uznaniem.

Nie zadługo nastąpi tu druga rzadka uroczystość, mianowicie 50-lecie teatru w Łodzi.

Jubileusz ten przypada dnia 6 go stycznia r. p., w dniu tym bowiem upływa pół wieku od pierwszego widowiska teatralnego w naszem mieście.

Teatr łódzki uroczystość jubileuszową obchodzić będzie specjalnem przedstawieniem.

Pastor Rondthaler ogłasza w pismach miejscowych, że zmarła w Łodzi ś. p. Anna Dorota Seefeldowa, oprócz 2,400 rs. ofiarowanych na rozmaite cele religijne i filantropijne, złożyła na jego ręce fundusz, z którego przeznaczyła: rs. 400 na korzyść łódzkiego chrześcjańskiego Towarzystwa dobroczynności; rs. 300 na budowę w Łodzi projektowanego od lat kilku przytułku dla obłąkanych; rs. 500 na budowę przytułku dla sierot wyznania ewangielickiego z warunkiem, ażeby wychowanice miały pieczę nad grobem rodziny Seefildów; rs. 1,000 na korzyść ochrony dla dzieci ewangielickich, zostającej pod protektoratem Towarzystwa dobroczynności; rs. 400 na korzyść kościoła parafji katolickiej Podwyższenia św. Krzyża; rs. 400 na korzyść Towarzystwa Czerwonego Krzyża; rs. 2,000 na wewnętrzne upiększenie ewangielickiego kościoła św. Trójcy i rs. 600 na korzyść kościoła ewangielickiego św. Jana.

Wszystkie te ofiary doręczono według przeznaczenia.

Jeden z mieszkańców tutejszych postanowił sprzedać nieruchomość swoją w Łodzi za pomocą... loterji:

Właśnie o wydanie mu na to pozwolenia podał prośbę do władz miejscowych.

W ciągu tego roku jest to drugi wypadek usiłowania wypuszczenia domu na loterję.

Pierwszy raz starał się o to pewien obywatel zgierski, lecz odmówiono mu pozwolenia.

Założono tutaj nowy hotel p. n. „Hotel Rzymski”.

---

+ Zbrodnia.

W Ługańsku, mieście powiatowem gub. ekaterynosławskiej, dokonaną została straszna zbrodnia.

Do mieszkania członka sądu okręgowego iziumskiego, Arcimowicza, wtargnęli nocą złoczyńcy i zamordowali gospodarza, żonę jego, synka sześcioletniego i służącą.

Gazety charkowskie podają następujące szczegóły tego morderstwa.

O zabójstwie, dokonanem w nocy d. 23-go grudnia, dowiedziano się dopiero nazajutrz późnym wieczorem.

Arcimowiczowie mieszkali w domu własnym, po za obrębem miasta.

Służbę ich składali: stróż, kucharka i panna służąca.

D. 24-go grudnia sekretarz Arcimowicza przysłał mu papiery do podpisu, lecz służący, któremu je doręczył, wrócił z wiadomością, że mimo długiego dzwonienia drzwi mu nie otworzono; sekretarz trzykrotnie posyłał służącego, lecz zawsze—napróżno.

Nareszcie o godzinie 4-ej po południu sekretarz sam pojechał do domu Arcimowicza, ponieważ zaś dzwonił również bez skutku, zawiadomił policję.

Okazało się, że wszyscy mieszkańcy śpią już snem wiecznym.

W przedpokoju leżała kucharka Arcimowiczów w kałuży krwi zakrzepłej, z głową odciętą; w pokoju sypialnym żona Arcimowicza, Zofja, z ranami na szyi i skroniach; obok niej synek maleńki, tworzący krwawą, bezkształtną masę; w gabinecie sam Arcimowicz z głową zakrytą, w której widniała głęboka rana.

Szafy i komody stały otworem, rzeczy porozrzucane: snać mordercy zabrali z sobą łup niemały, ale do-

kładnie oznaczyć go niepodobna—właściciele już się nie przebudzą.

Stróż i panna służąca zniknęli.

Są poszlaki, iż jest to para morderców, zwłaszcza że łączył ich stosunek miłosny, a więc interes spólny.

Niezwłocznie rozpoczęto energiczne śledztwo.

D. 25-go grudnia znaleziono w rzece zakrwawiony topór i takież ubranie stróża Bożki.

Prawdopodobnie złoczyńcy umknęli z Ługańska, korzystając z całych dwu dni, w ciągu których czyn ich jeszcze się nie ujawnił.

Ś. p. Arcimowicz cieszył się powszechną sympatją, był synowcem senatora Arcimowicza, ożeniony ze szlachcianką Szabelską.

Pogrzeb nieszczęsnych ofiar, po dokonaniu oględzin sądowo-lekarskich, odbył się d. 25-go grudnia wobec licznie zgromadzonych tłumów.

## NOTATNIK TERMINOWY.

— D. 2-go stycznia, o godz. 7-ej wieczorem, w lokalu Towarzystwa ogrodniczego, odbędzie się pogadanka p. E. Jankowskiego o ogrodnictwie przemysłowem dla członków Towarzystwa i osób wprowadzonych.

— Od d. 2-go stycznia kasa główna kolei warszawsko-wiedeńskiej wypłacać będzie następujące papiery wartościowe: przedpłatę na poczet dywidendy za r. 1893 № 27 po rs. 1 kop. 50, umorzone w r. 1893 obligacje serji I-ej po 500 franków, kupony procentowe za drugie półrocze r. 1893 od obligacyj serji I-ej № 67 w wysokości 7·50 franków, umorzone w roku 1893 obligacje serji VII-ej po rs. 100 i 500, kupony procentowe za drugie półrocze od obligacyj serji VII-ej № 7 po rs. 2 i 10; jednocześnie wypłacane będą: wylosowane w r. 1893 4-procentowe obligacje po 125, 625 i 1250 rubli w złocie emisji r. 1890 oraz kupony od tych obligacyj № 7.

— D. 2-go stycznia, w rządzie gubernjalnym siedleckim, odbędą się licytacje na dostawę w r. p. drzewa, węgli kamiennych i słomy dla wojska, zakładów i zarządów wojskowych oraz dla osób, mających do tego prawo. Dostawy są następujące: do Siedlec i powiatów: siedleckiego, sokołowskiego, węgrowskiego i garwolińskiego drzewa 6416 sążni i słomy 15,651 pudów (wadja rs. 4453 i 579); do powiatów: łukowskiego, bialskiego i konstantynowskiego drzewa 4258 sążni i słomy 8887 pudów (wadja rs. 2955 i 329); do powiatów: radzyńskiego i włodawskiego drzewa 5326 sążni i słomy 10,462 pudów (wadja rs. 3696 i 388); razem do całej gubernji drzewa 16,000 sążni i słomy 350,000 pudów (wadja wymagane są w sumach rs. 11,104 i 1296).

— D. 2-go stycznia, w zarządzie intendentury fortecznej w Brześciu litewskim, odbędzie się ponowna licytacja na dostawę opału dla piekarni brzeskich i młyna wojskowego.

— D. 2-go stycznia, w magistracie m. Łodzi, odbędzie się licytacja na dokonanie robót około pogłębienia czterech studni publicznych w m. Łodzi od rs. 1347; wadjum oznaczono na rs. 135.

— Od d. 2-go stycznia kasa Banku handlowego w Warszawie uskuteczniać będzie na poczet dywidendy przedpłatę w stosunku 6% czyli rs. 15 za każdą akcję za zwrotem kuponu № 23.

— D. 2-go stycznia, w rządzie gubernjalnym piotrkowskim, odbędą się licytacje na naprawę w r. p. traktów pierwszorzędnych i mostów na nich w gubernji piotrkowskiej, a mianowicie: w powiecie piotrkowskim: 1) traktów: kieleckiego, rawskiego i wolborskiego od rs. 8538 kop. 94; 2) traktów: łódzkiego, łaskiego i wieluńskiego od rs. 8974 kop. 54; 3) na naprawę i odbudowę 13 mostów od rs. 966 kop. 54; w powiecie noworadomskim: 4) na naprawę czterech traktów od rs. 5336 kop. 46; 5) na odbudowanie 16 mostów od rs. 1564 kop. 13; w powiecie częstochowskim: 6) na naprawę traktów: herbskiego i kieleckiego od rs. 3265 kop. 20; 7) na naprawę traktu wieluńskiego od rs. 6638 kop. 18; 8) na odbudowanie 27 mostów od rs. 4285 kop. 9.

## LOSOWANIE

### w Towarzystwie sztuk pięknych.

Zgodnie z zapowiedzią w dniu wczorajszym o godzinie 1-ej po południu w głównej sali Towarzystwa sztuk pięknych wobec członków komitetu, zaproszonych osób, a zarazem i publiczności podówczas znajdującej się na wystawie, rozpoczęło się doroczne losowanie dzieł, przeznaczonych dla tych członków, którzy do chwili ciągnienia opłacili pięciorublową akcję za r. b.

Ponieważ opłacono 4,800 akcyj, w kole przeto losowem, licząc jedną wygraną na 50 akcyj, znajdowało się 96 zwitków, opatrzonych tytułami dzieł na ten cel zakupionych.

W chwili rozpoczęcia czynności okazało się, iż sieroty, pełniące przy każdem losowaniu funkcje wyciągania losów z koła fortuny, na oznaczony czas z Towarzystwa dobroczynności nie przybyły, komitet przeto z grona zebranej publiczności zaprosił do czynności ciągnienia panny Am. Z. i Mar. C.

Wygrane padły na akcje opatrzone następującemi numerami:

1306. Józef Pisulewski — Antoniego Piotrowskiego „Krajobraz wiejski”.

2349. Kazimierz Schmidt—Bronisława Wiśniewskiego, studjum olejne „Chłopak”.

3046. Bernard Winkert — Juljana Żubera „Zaloty”.

393. Marja Tąkiel—Emila Lindemana, akwarela „Łąka”.

90. Adam Popławski — Teodora Aksentowicza „Powrót z nieszporów”.

587. Kazimierz Adelt — Wacława Tracewskiego „Z chartami”, akwarela.

1030. Juljusz Goette — Stanisława Masłowskiego „Poranek”.

3968. Jan Kiełczewski — Arkadjusza Rosińskiego „Widok morski”.

3511. Antoni Wolski — Bronisława Riciborowskiego „Gdańsk”.

2923. Edmund Idzikowski—Leona Szpądrowskiego „Jezioro Lugano”.

5589. Hr. Stefanja Moszyńska — Emila Lindemana „Z Białowieży”.

5351. Kazimierz Zaruski — Bronisława Wiśniewskiego „Brzeg lasu”.

1404. Dr. Juljan Kulski — Jana Owidzkiego „Na wakacjach”.

4580. A. Goldkrand — Adama Stanisławskiego „Krajobraz”.

192. Joanna Gudowska — Antoniego Austena „Przed Zielonemi Świątkami”.

4290. Józef Żelisławski — Włodzimierza Nałęcza „Z Norwegji”, krajobraz.

5133. Władysław Lehr — Henryka Grabińskiego „Wieczór”.

2512. Aleksan. Unierzyski—Józefa Pankiewicza „Ulica Wązki Dunaj”.

3661. Zygmunt Czerwiński — Miłosza Kotarbińskiego „Krajobraz”.

1567. Adam Hirschman — Franciszka Jabłczyńskiego „Wieczorem”.

5873. Bronisław Rosenman — Emilji Dybowskiej „Martwa natura”.

1133. Władysł. Wiśniewski — Zygmunta Strzaleckiego „Jarzyny”.

1818. Stefan Nowicki — Władysława Maleckiego „Droga w lesie”.

149. Helena Glacko — Marji Gersonówny rzeźba z terrakoty „Ranny”.

1701. Aleksander Drzewiecki—Lucjana Bębnowskiego „Droga do Kazimierza”.

3319. Stanisław Dyrmajer—Ryszarda Okniúskiego „Na polowanie”.

1752. Markus Gerson — Stanisława Masłowskiego „Zagroda”.

5823. Antoni Ostrowski—Marji Gersonówny rzeźba z terrakoty „Strzelec”.

4648. Kazimierz Król — Stefana Popowskiego „Las”.

700. Ks. Ignacy Lubecki — Stanisława Lenca „Chłopak na łące”.

3159. Karol Rakowski — Wojciecha Gersona „Krajobraz górski”.

1904. Karol Schulc—Emila Lindemana „Opuszczona cegielnia”.

3082. Bolesław Gajewski — Juljana Falata „Studjum” akwarela.

5709. Leon Aloizy Rotwand — Stanisława Masłowskiego „Stare Miasto w Warszawie”.

5456. Wiktoryn Herman — Apolonjusza Kędzierskiego „Krajobraz wiejski”.

4337. Marja Jelowiecka—Marji Dulębianki „Studjum”.

1283. Paweł Jaroński — Marjana Zarębskiego „Jesienią”.

1364. Adolf Troetzer — Józefa Pankiewicza „Zmierzch”.

2205. Franciszek Margasiński — Jana Owidzkiego „W parku”.

4501. Władysław Pechkrantz — Juljana Maszyńskiego „Wieczór”.

1069. Henryk Natanson—Janiny Flamm „Owoce”.

1988. Ryszard Okniński—Marji Dulębianki, studjum „Główka na zielonem tle”.

4377. Maurycy Luksenburg—Feliksa Gecewicza rzeźba z terrakoty „Dziewczyna”.

3601. Marceli Ławicki — Alfonsy Kanigowskiej „Martwa natura”.

2896. Wilhelm Wellisz — Józefa Chełmońskiego „Noc księżycowa”.

974. Leopold Klimkiewicz—Leona Wyczółkowskiego „Wieczór wiosenny”.

2772. Ks. Jan Garwoliński — Emiljana Jasieńskiego „Krajobraz”.

1889. Jan Bronikowski—Feliksa Słupskiego „Malarka”.

864. Karol Majzner — Henryka Grabińskiego „Z nad stawu”.

2329. Józef Ryszkiewicz—Włodzimierza Nałęcza „Fiord” krajobraz.

1491. Aleksander Morzkowski—Zofji Stankiewiczówny „Poranek”.

486. Ks. Stan. Wołowski — Zygmunta Piotrowicza „Leśniczówka”.

5065. Marja Werner — Adama Stanisławskiego „Wieczór”.

3346. Tytus Maleszewski — Feliksa Cichockiego „Babunia”.

4140. Ks. Piotr Łagodziński — Zofji Stankiewiczówny „Poranek jesienny”.

1939. Juljan Licer — Józefa Ejsmonda „Do młyna”.

2423. Michał Lubiński—Władysława Podkowińskiego „Studjum”.

2596. Adolf Wollak — Pawła Rosena „Wnętrze ogrodu”.

4000. Ks. Aksamitowski — Maurycego Trębacza „Kwiaciarka”.

5787. Adam Herse — Feliksa Gecewicza rzeźba z terrakoty „Druciarz”.

5505. Władysł. Łubiński — Teofila Zaleskiego „Krajobraz nr. 5”.

4478. Adolf Kapłan—Apolonjusza Kędzierskiego „Wróble na trawie”.

3753. Włodzim. Dobrowolski—Kazimierza Alchimowicza „Czerwony klasztor”.

5190. Leon Martwich — Marji Wasilkowskiej „Główka kobieca”.

534. Henryk Helwich — Leona Zawiejskiego rzeźba z terrakoty „Żokiej”.

2087. Władysł. Lechowski — Feliksa Szewczyka „Siwek”.

1633. Jan Koprowski—Wacława Traczewskiego akwarela „Kirasjerzy”.

5336. Alfred Schouppe—Karola Klopfera „Zachód”.

794. Hilary Ostrowski — Teofila Zalewskieg[o] „Z Wolborza”.

3837. Tomasz Rokosowski—Teofila Zalewskieg[o] „Z okolic Wolborza”.

421. Aleksander Lipink—Bronisławy Łukomski[ej] „Martwa natura”.

5212. Paweł Morzkowski—Kazimierza Puławski[e]go „Na wyścigach”.

2041. Franc. Ksaw. Lewicki—Teofila Zalewski[e]go „Wiosna”.

1529. Kazim. Krasowski — Witolda Weychert[a] „W gąszczach” krajobraz.

2708. Hr. Stan. Grocholski — Franciszka Was[...]kowskiego „Powrót z targu”.

3470. Aleks. Wołoszyński — Feliksa Szewczyk[a] „Jeździec”.

257. Ignacy Wadowski—Henryka Piątkowski[e]go „Główka”.

3581. Konstanty Przyjemski—Feliksa Szewcz[y]ka „Z ogarami”.

2673. Edward Szymański—Zygmunta Andrych[o]wicza „Wschód księżyca”.

3909. Stan. Niespodziański — Alfonsa Borko[w]skiego „Chora żona”.

4988. Sabina Wendorff — Stefana Popowskie[go] „Cisza” krajobraz.

5417. Emil Szenfeld — Lucjana Bębnowskie[go] „Widok jesienny”.

733. Juljan Świergocki — Józefa Ryszkiewic[za] „Przed polowaniem”.

233. Redakcja *Przeglądu tygodniowego* — Bro[ni]sława Wiśniewskiego „Studjum”.

3336. Jan Biliński — Ignacego Rudowski[ego] „Kwiatek, czy motylek?”

908. Lucjan Krzymuski — Antoniego Szczygi[el]skiego rzeźba z terrakoty „Główka chłopca”.

4933. Józef Gutman — Alfonsy Kanigowsk[iej] „Potok w Zakopanem”.

1205. Wład. Szwede — Wacława Pawlisza „W odwiedziny”.

346. Gustaw Konrad—Kazimierza Mastelskie[go] „Głowka kobiety”, pastel.

5250. Karol Bayer—Władysława Podkowińsk[ie]go „Łubin w słońcu”.

4768. Aleksander Patzer — Józefa Ryszkiewi[cza] „Na słodkie słówka”.

4198. Stefan Kulrzenko — Marji Braumanów[ny] rzeźba z terrakoty „Neapolitańczyk”.

2284. Włodzim. Dubrowin — Franciszka Wa[...]kowskiego krajobraz „Wieczór”.

4872. Adam Piwkowski — Franciszka Żmu[...] „Kokietka”.

614. Stefan Bagiński — Adama Ciemniewski[ego] „Żniwo”.

30. Dr. Wład. Kryże—Apolonjusza Kędziersk[ie]go „Rybak”.

Po ukończeniu losowania o godzinie 3-ej, zebr[ani] członkowie podpisali protokuł, w tym celu spo[rzą]dzony.

## ZE ŚWIATA.

✕ **Ze Lwowa** donoszą nam d. 26-go b. m.: „Poj[...] odbędą się wybory do rady państwa w Tarnopolu w [miej]sce prof. Euz. Czerkawskiego, który złożył mandat. [Kan]dydatem rządowym jest prezydent sądu, Krynicki, a [kan]dydatem demokratycznym profesor uniwersytetu, dr. [...]lasits, który jednak niestety ma małe widoki.— W m[iej]scowości Wygoda, w pow. Dolina, powstaje fabryka c[e]lozy, która będzie własnością spółki akcyjnej. K[apitał] obliczono na trzy miljony koron. — Cholera w Galicji [wy]gasła w zupełności. Gazeta urzędowa zaprzestała p[...]

wania biuletynów.—W teatrze lwowskim wystąpi we czwartek po raz pierwszy śpiewaczka Elwira Colonnes w „Rycerskości wieśniaczej". „Urocze oczy", komedja Sarneckiego, wystawiona zostanie wkrótce na scenie tutejszej.— Karnawał zapowiada się w tym roku bardzo dobrze. Dotychczas rozesłano już zaproszenia na trzy wielkie bale: akademicki, techników i dziennikarski.— Łucjan Kwieciński ustąpił z dyrekcji teatru w Stanisławowie, którą objął p. Antoniewski, b. artysta teatru krakowskiego. Pp. Kwiecińscy wracają na scenę lwowską. — Z Wiednia donoszą, że Zyberk-Platerowi skradziono w podróży do Abbazji klejnoty, wśród tych wiele kosztownych przedmiotów starożytnych. — Wypadek kolejowy zdarzył się onegdaj w Brodach. Pociąg wjechał na ustawione na uboczu stacji wozy i połamał niektóre. Z ludzi nie doznał nikt skaleczenia."

× **Arnold Böcklin**, wielki, bodaj czy nie najznakomitszy dziś malarz niemiecki, przeniósł się na stały pobyt z Zurychu do Florencji.

× **Pomnik Gounoda.** Nadspodziewanie szybko zebrano sumę, potrzebną na budowę pomnika Gounoda. W ostatnich dniach ofiary na ten cel doszły do 200,000 fr. Listę więc zamknięto, a niebawem rozpisany będzie konkurs na pomnik twórcy „Fausta".

× **Bibljoteka Moleszota.** Sukcesorowie zmarłego niedawno w Rzymie senatora Jakuba Moleszota ofiarowali akademji lekarskiej w Turynie bibljotekę, pozostałą po zmarłym uczonym. Księgozbiór składa się z 40,000 tomów dzieł lekarskich, przyrodniczych i filozoficznych. Jak wiadomo, Moleszot w Turynie rozpoczął swoją działalność naukową.

× **Osobliwy proces** czeka obecnie londyńskie *British Muzeum*. Na amerykankę pewną, żarliwą apostołkę ekscentrycznych idei politycznych i socjalnych, napisał ktoś za oceanem pamflet, za który dama pozwała autora do sądu i uzyskała wyrok, orzekający, iż broszurka zawiera same oszczerstwa. Jeden z egzemplarzy pamfletu dostał się i do *British Muzeum* i jest oczywiście dostępnym dla szerokiego ogółu. Otóż amerykanka w fakcie nabycia przez Muzeum broszury widzi współudział w szerzeniu na nią wieści potwarczych i z tego tytułu wytacza Muzeum brytyjskiemu sprawę karną. Podobnego powództwa nie pamiętają chyba kroniki sądowe.

× **Dwa miljardy w podróży.** Paryski Bank państwa, jak wszystkie zresztą banki na świecie całym, przyjmują obligacje, akcje, papiery wartościowe, bądź jako depozyty, bądź jako zastaw na udzielone na też papiery zaliczki. Ruch w banku paryskim jest znaczny, nic też dziwnego, iż depozyty te, zwiększające się z dniem każdym, przedstawiają w chwili obecnej wartość dwóch miljardów franków. Suma taka w papierach zajmuje wiele miejsca, ztąd też piwnice głównego gmachu banku francuskiego okazały się zbyt szczupłe. Kupiono tedy od „Societé d'Escompte" dawny gmach opery włoskiej przy placu Ventadour z przeznaczeniem na skład wzmiankowanych depozytów. W tych dniach właśnie całe dwa miljardy były w podróży, a przenosiny trwały dni ośm. Pakowano każde 10 depozytów do osobnej teczki z grubej tektury, każde 100 teczek umieszczano w osobnej skrzynce drewnianej, specjalnie w tym celu przygotowanej, wreszcie każde 10 skrzynek umieszczano w furgonie, strzeżonym przez trzech urzędników, całą falangę woźnych i ajentów policyjnych, przebranych po cywilnemu. Na każdym zakręcie ulic, przez które przechodziły miljardy, stało po kilku policjantów w mundurach, którzy dawali pilne oko na otoczenie, czy z za węgła gdzieś nie ukaże się postać jakiegoś Vaillanta. Oczywiście wobec takich ostrożności miljardy dojechały bez szwanku na miejsce przeznaczenia.

× **Bicykle z motorem.** Wynaleziony w swoim czasie motor Daimlera do bicyklów zapowiadał przewrót w świecie kołowców. Aparat Daimlera jest bardzo elegancki; ukryty pod siodełkiem posuwa bicykl bardzo żwawo i pozwala nim się wdrapywać na znaczne bardzo spadzistości. Szczególniej dobrze się nadaje do tandemu lub do cykla czterokołowego. Niestety, niema róży bez kolców. Kolcem aparatu Daimlera jest ciężkość, która sprawia, iż podobnego systemu aparaty oddają znaczne usługi tramwajom, nie są jednak mile widziane przez cyklistów.

× **„Profesor" Robert**, powszechnie znany w Europie prestidigitator, rodem z Medjolanu zakończył życie w sposób tragiczny. „Profesor" odbywał podróż po rzeczypospolitej Urugwaju. Pod Montevideo w przejeździe konno przez strumyk spadł i utopił się na miejscu. Biedak liczył 39 lat wieku.

× **Platyna.** Angielskie czasopismo *Journal of the Society of the Arts* podaje kilka świeżych szczegółów o platynie. Pokłady jej—pisze—pod Uralem wystarczą na potrzeby mnogich jeszcze pokoleń. Platynę wypłukuje się z piasku; na 1,600 kilogramów piasku znajdują pod Uralem 17 do 18 gramów platyny. Platynę dobytą bezpośrednio z piasku posyłają do Petersburga, gdzie ją oczyszczają. W chwili obecnej rok rocznie dają kopalnie uralskie 3,000 do 4,000 kilogramów platyny. Przed niedawnym czasem odkryto też platynę w Brazylji, pod Andami.

× **Małpa.** Profesor uniwersytetu genueńskiego, Ceci, wybrał się na wycieczkę za miasto i mieszkanie, jak to mówią, podparł kołkiem. W mieszkaniu profesora została jedna, samotna małpa. Małpa nie miała nic pilniejszego do roboty, jak zapalić pudełko zapałek i palące się zapałki rozrzucić po całym pokoju. Naturalnie wybuchnął pożar, który z trudnością ugaszono, bo małpa rzuciła się jak wściekła na strażaków, przeszkadzając im w robocie. Nie zdołano nawet jej ująć; uciekła. Profesor Ceci zarzekł się mieć kiedykolwiek jeszcze za faworyta małpę.

## BAŃKI MYDLANE.

**Milutka żona.**

Rzecz dzieje się przy kominku.

— Ilekroć siedzę przy kominku—rzecze żona—żałuję, mój Ignasiu, że nie jesteś literatem.

— A to dlaczego?

— Literaci mają zazwyczaj do rozporządzenia moc zapisanego papieru, ja zaś muszę rozpalać ogień na kominku mojemi wzorami mód...

*

Wzorowe tłumaczenie.

— Gapski, przetłumacz mi ustęp z Tytusa Liviusza: „*Caesar, omnibus completis, summa diligentia Romam profectus est*" (Cezar, po załatwieniu wszystkiego, z największym pośpiechem powrócił do Rzymu).

A Gapski tłumaczy:

— „Z powodu, że omnibus był pełny, Cezar udał się do Rzymu na wierzchu dyliżansu..."

*

**O sztuce przypodobania się żonom pieśni czworo.**

Jako ta mucha, co na oślep leci
I łbem uwięźnie na pajęczej sieci,
Tak, gdy go w sidła pojmała podwika,
Chłop w sieci bzyka.
Choćby Pamfiliey był statecznym królem,
Samsonem mocnym, czy krzepkim Herkulem,
Gdy umiłował—tedy nie pomoże
I święty Boże.
A gdy już siedzisz po uszy w tej matni,
Rzeknij: „Nie pierwszy-m, ani nie ostatni!"
Z fantazją zacną bierz się, chłopie, do niéj,
Chociaż się broni.
Choćby-ć się głupio na sercu robiło,
Zawdy udawaj, iż ci bardzo miło.
Tak postępując, zakończysz tę chryję,
Salwując szyję...

Gdy zaś po ślubie już i po weselu
Doszliście wspólnych zapobiegań celu,
Gdy obejmiecie pod szczęśliwą gwiazdą
Własne swe gniazdo,
I gdy, kochając gorąco a srodze,
Uczuciom waszym popuścicie wodze,
Tedy postępuj, jak przystoi mężom,
Nie chytrym wężom,
Niefrasobliwie wypełniaj ze szczętem,
Cożeś niewieście przyrzekł Sakramentem.
Małżeńskie służby trwają (gdy są przednie)
W nocy i we dnie.
Niech ma pieszczotę, niechaj całowanie,
Niech wie, co dobre, w tym małżeńskim stanie.
Łganiem nie wskórasz, tedy świętej prawdy
Imaj się zawdy...

Po każdem lecie bywać zwykła jesień,
Przemija pora uciech i uniesień,
Jakby statecznie opatrzyć twe gniazdo,
Baczże, mój gazdo.
Łeb miał jak konew mędrzec bogobojny,
Który małżeństwo porównał do wojny:
I tu i owdzie masz dawać z ochotą
Miedź, srebro, złoto.
Bo Pan Bóg zrządził mądrości ogromem:
Żona niech w domu, a ty orz za domem,
Ale się kieruj stateczności głosem,
Gdy trzęsiesz trzosem:
Daj, co potrzeba dla twojej niebogi,
Ale nie pozwól, by jej rosły rogi.
Miej w rozumieniu wolę nieomylną,
A rękę silną.

Skoro te rady spełnisz co do joty,
Nie zaznasz, co to małżeńskie kłopoty,
I żywot spędzisz, gdy masz żonę zacną,
Szczęśnie i łacno.
Bywać tam zawdy w małżeńskim staniku
Raz krzynkę fuku, a raz znowu krzyku.
Gdy białogłowa nadto głowę suszy,
Zatykaj uszy.
Choćbyś miał nawet i Heroda-Babę,
Nie płacz, bo jęki nie pomogą słabe,
Jeno mów sobie: „Cierpże teraz ciało,
Kiedy-ć się chciało..."
Te ci, mój mężu, w rymach pełnych swady
W roztropność zdobne ofiaruję rady.
Wdzięczny mi zawdy będziesz nieskończenie,
Mając je w cenie.

### W miejsce powinszowań noworocznych:

**Na wpisy.**

Franciszek i Marja Olszewscy rs. 3, Bolesław Rugiewicz rs. 1, Józef Żabiński rs. 2, Józef i Bronisława Cybulscy rs. 2, Zygmunt Grabowski rs. 1, Stefan Jeska rs. 1, Zofja i Edward Ortweinowie rs. 5, inżenier J. Radoliński rs. 1, Marja z Perkowskich Komarnicka rs. 3, Teodozja Broniewska rs. 1, Cecylja i Jan Bersohnowie rs. 6, Zygmunt Korybut Suchowiecki rs. 1, Karol Szumowski rs. 3, Juljan Jankowski rs. 2, Ernestyna i Szymon Rodzynowie rs. 3, Stanisławowie Wł. Staniszewscy rs. 2, Simon i Stecki rs. 3, Adam Kon rs. 1, Władysław Łatkiewicz rs. 1, Józef Szpigel z żoną rs. 1, Teodor i Jadwiga Dydyński rs. 2, Bohdan i Józefa Zatorscy rs. 3, Leonowie Pasierbscy rs. 1, Janowie Godlewscy rs. 1, Józef Wegner z żoną rs. 3, Artur Wierzbowski rs. 2.

**Dla najbiedniejszych.**
(Do uznania redakcji).

Wacław Szymanowski rs. 3, Marja Petowska rs. 1, K. Meissner rs. 3, Władysław Prus-Płoski rs. 1, Kotarbiński Józef rs. 1, Artur Drewnowski rs. 1, Tekla Brodzka rs. 2, dr. Adolf Bieńkiewicz rs. 1, Władysław Lipiński rs. 3, Henrykowie Wyganowscy rs. 1, Teofil i Marja Łagunowie rs. 3, Edward Kürst z żoną rs. 2, Edward i Władysława Brzozowscy rs. 2, Leontyna Vacqueret rs. 1, dr. Ziemiński rs. 3, Herman Meyer rs. 5, Jerzy Meyer z żoną rs. 3, Juljuszowie Romoccy rs. 2, L. Blunek z żoną rs. 2, Henryk Pfeil rs. 1, Ignacy i Izabella rs. 1, Wacław Kanigowski rs. 1, Józef Ojrzyński rs. 2, Reusner rs. 3, Felicjan Holewiński inżenier z żoną rs. 3, Stefan Rogulski rs. 2, Aleksander Łapiński z żoną rs. 4, Stanisław Grodzki rs. 5, Henryk i Marja Flatt rs. 2, Dyonizy Grossman rs. 2, Michał Koller rs. 3, Julja Wiemann rs. 1, Kazimierz i Bronisława Koperscy rs. 2, Kazimiera i Emilja Kopytowscy z Petersburga rs. 3, Ludwik i Emilja Śliwińscy rs. 1, Antoni Tomczycki z żoną rs. 2, Gustaw Gerlach rs. 3, rejent Zawadzki z żoną rs. 5, Feliks Jerzmanowski rs. 1, Wacław Orłowski rs. 1, Florjan Szuch rs. 1, Adam Słucki rs. 1, Henryk Makowiecki rs. 1.

**Na kolonje letnie.**

Stanisław Natanson z żoną rs. 3, Leon i Julja Niemyscy rs. 5, Z. Jopkiewicz d'Orio rs. 1, Stanisław i Laura Pytlińscy rs. 1, Marjan Kasperowicz rs. 1, Bolesław Zakolski rs. 1, Juljan Maszyński rs. 2, Helena Baraniecka rs. 1, Aleksander Szanior z żoną rs. 3, Władysław Braunstein rs. 3, inżenier Stanisław Wolff rs. 1, Józefa Babibka z córką rs. 1, Feliks Rappaport z żoną rs. 3, Albert Klimpel rs. 5, Eugenjusz i Marja Łypaczewscy rs. 2, Stanisławowie Piotrowscy rs. 5, Walerjan Aureljusz Witkowski rs. 1, Michał Roman rs. 1, Józef Kinderfreund rs. 1, Kazimierz i Marja Chałupczyńscy rs. 2, Ludwik Brauman rs. 5, Juljan Endler rs. 2, Maksymiljan Glücksberg rs. 5, St. S. rs. 5, adw. przys. Feliks Zalewski rs. 1, Rafał Lewita rs. 1, Bronisławowie Goldfederowie rs. 5, Józefa i Lucjan Rozmanitowie rs. 3, Tadeusz Rapacki rs. 2, Stefan Drège z żoną rs. 2, D. Rosenblum rs. 5, dr. P. Sieragowski rs. 3, Maurycy Kremky z żoną rs. 2, dr. K. A. baron Lesser rs. 1, Seweryn Jung rs. 3, Gustaw Schmeike rs. 3, Franciszek Brzeziński rs. 2, Henryk Konic rs. 3.

**Dla biura informacyjnego o nędzy wyjątkowej.**

Jan i Józefa Koźniewscy rs. 3, J. Borzęcka rs. 1, Aleksander Raubal rs. 1, dr. Gustaw Phull z żoną rs. 1, Zygmunt i Zofja Biesiekierscy rs. 3, Hipolit i Marja Majewscy rs. 10, Paulin Dąbrowski rs. 3, Feliks i Tekla Błeszyńscy rs. 2, Adolfa Koskowska z Chrzęsnego rs. 2, Władysław Ryx rs. 5, Juljan Tyszka rs. 3, Aleksander i Jadwiga Krausharowie rs. 3, Stanisław Filipkowski rs. 5, Aleksander i Eugenja Trylscy rs. 2, Grzegorz Żuczkowski rs. 3, Ryszard Schönfeld z żoną rs. 1, Jan Kowalski inżenier rs. 2, Karol Chojnowski rs. 1, Bernard Hantke rs. 10, Marja Zawisza rs. 5, Czesław i Stefanja Dąbrowscy rs. 2.

**Na wdowy i sieroty po lekarzach.**

Dr. Bronisław Chrostowski rs. 3, dr. Czesław Stiche rs. 3, dr. Kryże z żoną rs. 3, dr. S. Rittenberg rs. 2, dr. Kapliński rs. 2, dr. Jan Guerard rs. 1, dr. Jan Jaskłowski rs. 1, dr. Jakób Rosenthal rs. 1, dr. S. Borzuchowski rs. 5, dr. Stanisław Iwanicki rs. 1, dr. Franciszek Galiński rs. 2, dr. Ksawery Watraszewski rs. 3, dr. W. Garliński rs. 1, dr. Antoni Natanson rs. 3, dr. Targowski 2, dr. Frankenstein rs. 2, dr. Alfred Sokołowski rs. 3, dr. Lubowski rs. 2, dr. E. L. Żórawski z żoną rs. 2, dr. Ludwik Natanson rs. 5, dr. J. Piaszczyński z żoną rs. 1, dr. Józef Jaworski rs. 2, dr. E. Orłowski rs. 2, dr. Bregman rs. 2, d. Malcz rs. 1, dr. A. Sobolewski rs. 2, dr. Ludwik Brühl rs. 3, dr. Józef Strzeszewski z żoną rs. 3, dr. Jan Sędziak z żoną rs. 3, dr. Władysław Henryk Krajewski rs. 3, dr. Heiman z żoną rs. 2, dr. Jan Woźnicki rs. 1, dr. Ludwik Biberstein rs. 3, dr. Edward Bondy rs. 1. dr. Ciunkiewicz z żoną rs. 5, dr. Kazimierz Niedzielski rs. 1, dr. Antoni Śmiechowski rs. 1, dr. Adam Przyborowski rs. 3, dr. W. Maliszewski rs. 2.

**Na szpital dziecięcy przy ul. Aleksandrja.**

Konstanty Gruszecki rs. 3, August i Marja Maetze rs. 1, Klementyna Nepros rs. 15, Edward Nepros rs. 10, Dominik Auc z żoną rs. 3, Juljan Rudnicki rs. 1, Józef i Marja Rotherowie rs. 3, notarjusz Józefowicz z żoną rs. 10, Aleksandrowie Szustrowie rs. 3, Józefowie Jacuńscy rs. 1.

**Na Schronienie dla szwaczek.**

Jan i Julja Wieliccy rs. 2.

**Na budowę przytułków dla rzemieślników i robotników.**

Al. Makowiecki rs. 3.

**Na Tow. pań św. Wincentego a Paulo.**

Bronisława Łaniewska i Adam Łaniewski rs. 3, hr. Włodzimierz Małachowski rs. 3.

**Na zakład sierot po robotnikach.**

Gustaw Emmel z żoną rs. 3, Kazimierz i Jadwiga Ratyńscy rs. 5, Karol Adelstein z żoną rs. 3.

**Na budowę gmachu dla Tow. sztuk pięknych.**

Władysław Kremky z żoną rs. 3.

**Dla Towarzystwa dobroczynności.**

Leonowie Jasińscy rs. 5, dr. Ludwik Natanson rs. 5, dr. Wiktor baron Lesser z żoną rs. 5, Stanisław Ludwik Kronenberg z żoną rs. 5, Antoni i Stanisława Jabłońscy rs. 3, Aleksander Bębnowski rs. 2, Leon i Salomea Grosglikowie rs. 2, Henryk Natanson z żoną rs. 5, Mathias i Marja Bersohnowie rs. 6.

**Na organy dla zboru ewangelicko-reformowanego.**

Ks. superintendent Diehl rs. 5.

**Dla Tow. dobroczynności na obiady bezpłatne, wydawane przy ul. Drewnianej nr. 11.**

Zygmunt i Bronisława Mirosławscy rs. 5.

**Na gminę ewangelicko-reformowaną.**

Wilhelm Gąsiorowski rs. 3, Johan Stern rs. 3, Aleksandrowie Szwedowie rs. 3, August i Dyoniza Kilbachowie rs. 3.

**Na kasę Mianowskiego.**

August Barbanell rs. 1, Edmund i Jadwiga Dylewscy rs. 2, Aleksander Nelken rs. 3. Aleksandrowie Czajewiczowie rs. 3, Stanisław Libicki rs. 2, Kazimierz Natanson z żoną rs. 5, Wacław Męczkowski rs. 1, Adam Lande rs. 1, Dominik Wretowski z żoną rs. 3.

**Na ochronę ewang.-reformowaną.**

Łaskowska rs. 2, Adolf Robert Ziegler rs. 3.

**Na czytelnie bezpłatne przy Tow. dobroczynności.**

Adolf Suligowski z żoną rs. 5.

**Na ubogich do uznania ks. superintendenta Diehla**

Adolf i Regina Olszewiczowie rs. 5.

**Na instytucję wstydzących się żebrać.**

Stanisławowie Borkowscy rs. 5, Henryk Barylski z żoną rs. 3, A. Turkowski z córką rs. 3, Wiktor i Helena Łaszewscy rs. 1.

**Na odzież dla ubogich.**

Władysławowie Frąckiewiczowie rs. 3, Teodor Paprocki, księgarz, rs. 3, Aleksander Scheller z żoną rs. 3, Bronisława i Edward Plewińscy rs. 1.

**Dla podupadłych kupców.**

Ludwik Miaskowski rs. 3, Adolfowie Goldfederowie rs. 10, Maurycy Luxenburg rs. 3.

**Na przytułki noclegowe.**

Helena i Edmund Makowscy rs. 5, adw. Kossakowski z żoną rs. 3.

**Na przytułek dla dziewcząt w Puszczy.**

Walenty i Cecylja Miklaszewscy rs. 3.

**Na sieroty i wdowy bez środków do życia.**

Emil Brühl rs. 3, Ludwik i Zofja Szymańscy rs. 2.

**Na Schronienie nauczycielek.**

Józef Lenartowski z córkami rs. 1, rejent Józef Staniszewski rs. 3, Jan Gruczyński rs. 1, Dominik Anc z żoną rs. 3, Jan i Julja Wieliccy rs. 2, Arnoldowie Bronikowscy rs. 2, Feliks i Franciszka Wojciechowscy rs. 1, Józefa Babicka z córką rs. 2, rejent Adolf Aleksandrowicz rs. 3, Franciszek Wolffin rs. 3, Aleksander Haberbusch rs. 3, Jan Święciński z żoną rs. 2, Marja i Marcela Ledworuskie rs. 1, Alfred i Wiktorja Fiałkowscy rs. 2.

**Na kasy rzemieślnicze.**

Roman Szewczykowski z żoną rs. 1.

**Na kasę farmaceutów.**

Jan Nawrocki rs. 1, Tadeusz Zając rs. 3, Marjanowa Barczowa rs. 3, Leonowie Modlińscy rs. 1, Marjan Malinowski rs. 1.

**Na przytułek dla wychodzących ze szpitali przy ulicy Dzielnej.**

Baron Jan Lesser z żoną rs. 5.

**Dla staruszki W. Ł.**

Ludwik i Stefanja Wapińscy rs. 3.

**Na budowę kościoła na Pradze.**

F. Gregor rs. 3, Włodzimierz i Zofja Powichrowscy rs. 3, Wacław Wilczyński z żoną rs. 2, Władysław Wenda rs. 2, Stefan Szyller rs. 3, Józefowa Sommerowa z córką rs. 2.

**Na Schronienie paralityków.**

Konrad i Marja Wodzińscy rs. 3, Dominik Anc z żoną rs. 2, Witold Bogucki rs. 1, Zdzisław Woszczyński rs. 1, Marja z Regenhardtów Hantke rs. 10, Bronisław i Helena baronostwo Lesserowie rs. 5, adwokat Mazurkiewicz z żoną rs. 3.

**Na Towarzystwo opieki na ubogiemi matkami.**

Stanisław Dziechciński z żoną rs. 10, Józef Jeziorański rs. 2, Adamowie Słowikowscy rs. 1 kop. 50, Konrad Machczyński rs. 2, Karol Ludwik Seredyński rs. 1.

**Na budowę kościoła WW. Świętych.**

Maksymiljan i Marja Białowiejscy rs. 2.

**Na Przytulisko.**

Dr. L. Guranowski z żoną rs. 3, Marja i inżenier Marceli Trechcińscy rs. 6, Edwardowa Hordliczkowa z fabryki szkła „Czechy" rs. 5, Stanisław Szostkiewicz z żoną rs. 1 kop. 50, W. Mazurowski z córką rs. 2, Edmundowie Pulstowie rs. 2, dr. Z. Guranowski z żoną rs. 3.

**Na kasę zecerską.**

Fabjan Lewental rs. 1.

---

— Wczoraj otrzymaliśmy sprawozdanie ze sprzedaży rabatowej na korzyść Rozdawnictwa odzieży dla ubogich, która się odbywała od d. 5-go do 22-go grudnia r. b. w sklepach poniżej podanych firm handlowych:

| Data | FIRMA i ADRES | Suma osiągnięta z targu Rs. | k. | Rs. | k. |
|---|---|---|---|---|---|
| 19 | Arct Michał, księgarnia, Nowy-Świat № 53 | — | — | 24 | 46 |
| 7 | „Au bon marché", skład towarów żelaznych, Nowy-Świat 3 | — | — | 25 | 60 |
| 7 | Bednarowski T., konfekcja męska, Krakowskie-Przedm. 21 | — | — | 58 | 33 |
| 13 | Billing J., bielizna i konfekcja męska, Marszałkowska 139 | — | — | 26 | 37 |
| 16 | Bukowiecki St., księgarnia i skład papieru, Marszałkowska 100 | — | — | 17 | — |
| 13 | Chojnacki A., magazyn bławatny, Marszałkowska 122 | — | — | 10 | — |
| 14 | Chojnacki St., magazyn galanteryjny, Marszałkowska 110 | — | — | 66 | 66 |
| 14 | Dobrzański, perfumerja, Krakowskie-Przedmieście 9 | 44 | — | | |
| 15 | „ „ | 10 | 40 | 54 | 40 |
| 14 | Dusoge E., naczynia kuchenne, Nowy-Świat 5 | — | — | 9 | 10 |
| 20 | Eugenjusz, perfumy i kosmetyki, ul. Wiarzbowa 1 | — | — | 23 | — |
| 18 | „Flora", kwiaty świeże, Trębacka 4 | — | — | 34 | 20 |
| 10 | Fruziński J., fabryka cukrów deserowych, Marszałkowska 133 | — | — | 41 | 60 |
| 17 | Fukier H., skład win, Stare-Miasto | — | — | 15 | — |
| 9 | Geyer W., naczynia kuchenne, Nowy-Świat 69 | — | — | 8 | — |
| 12 | Górski J., cukiernia, Nowy-Świat 57 | — | — | 30 | — |
| 12 | Janina, ubrania dziecinne, Marszałkowska 151 | — | — | 10 | — |
| 12 | Jeziorowski L., galanterja, Nowy-Świat 45 | — | — | 39 | 60 |
| 14 | Kosiński J. i S-ka (d. Wilanowski) księgarnia antykw., Nowy-Świat 7 | — | — | 10 | 40 |
| 15 | Kościałkowski Zyndram, tytuń i papierosy, Jerozolimska 64 | — | — | 67 | 82 |
| 11 | Kozłowski T., bukiety „Makarta", galanterja, Wierzbowa 8 | — | — | 20 | — |
| 15 | Krasnodębska Ż., artykuły spożywcze, Chmielna 26 | 40 | — | | |
| 16 | „ „ | 53 | 50 | 93 | 50 |
| 9 | Kwaśniewski i Markiewicz, skład cygar, Nowy-Świat 69 | — | — | 11 | — |
| 11 | Lebelle Róża, galanterja i norymberszczyzna, Nowy-Świat 1 | 3 | 60 | | |
| 12 | „ „ „ | 6 | 50 | 10 | — |
| 14 | „Leona", bielizna. Marszałkowska 123 | — | — | 15 | — |
| 15 | Lion A. (d. Brünner) bronzy, porcelana, antyki. T. Hryniewiecki, aluminjum i platery, Nowy-Świat 69 | — | — | 4 | 85 |
| 12 | Malinowski W., rękawiczki, Nowy-Świat 53 | — | — | 14 | — |
| 20 | Mieszkowski, miodosytnia, ul. Nowy-Świat 27 | — | — | 7 | — |
| 16 | Muśnicki W. i S-ka, wyroby tabaczne, Marszałkowska 80 | 3 | 60 | | |
| 18 | „ Marszałkowska 149 | 30 | — | 33 | 60 |
| 20 | Orgelbrand M., księgarnia, Nowy-Świat | — | — | 39 | — |
| 11 | Osiński T. Z., porcelana, szkło, majoliki, Marszałkowska 142 | — | — | 12 | 20 |
| 10 | Paprocki T. i S-ka, księgarnia, Nowy-Świat 41 | — | — | 24 | 65 |
| 11 | Petersburskie laboratorjum chemiczne Nowy-Świat 37 | — | — | 4 | — |
| 10 | Popławski T., materjały rysunkowe, piśmienne i księgarnia, Krak.-Przedm. 5 | — | — | 12 | — |
| 9 | Radziński, materjały piśmienne, galanterja, Krakowskie-Przedm. 5 | — | — | 17 | 50 |
| 5 | Ratyńska J. Z., herbata, Marszałkowska № 144 | — | — | 13 | — |
| 11 | „Russka manufaktura" bławaty, Krakowskie-Przedm. 7 | — | — | 22 | 10 |
| 19 | Rutowskie Siostry, kwiaty, Krakowskie-Przedm. 1 | 15 | 80 | | |
| 20 | „ „ | 4 | — | | |
| 21 | „ „ | 20 | — | | |
| 22 | „ „ | 22 | 70 | 62 | 50 |
| 19 | Siedlecki A., kwiaty, Nowy-Świat 69 | — | — | 15 | 80 |
| 12 | Staniszewski St., materjały apteczne, perfumy, Marszałkowska 99 | — | — | 20 | — |
| 21 | Suchorzewska M., norymberszczyzna, perfumy, Trębacka 4 | — | — | 11 | — |
| 20 | Szyller L., materjały piśmienne i gry pedagogiczne, Nowy-Świat 21 | — | — | 15 | 95 |
| 18 | Szwemberger K., skład pościeli, Nowy-Świat 49 | — | — | 12 | 60 |
| 15 | Tomicka M., roboty kobiece, norymberszczyzna, Świętokrzyska 16 | — | — | 145 | 07 |
| 19 | Śniegocki B., fabryka czekolady i cukrów deserowych, Krakowskie-Przedm. 37 | — | — | 13 | 75 |
| 9 | Waśniewski Z., rękawiczki, krawaty, bielizna, Szpitalna 4 | — | — | 14 | — |
| 14 | Wiktor J., rękawiczki i galanterja, Marszałkowska 98 | — | — | 40 | — |
| 10 | Winiarski S., materjały piśmienne, Nowy-Świat 53 | — | — | 6 | 12 |
| | do przeniesienia | | | 1281 | 83 |

| Data | FIRMA i ADRES | Suma osiągnięta z targu Rs. | k. | Rs. | k. |
|---|---|---|---|---|---|
| | z przeniesienia | | | 1281 | 83 |
| 21 | Wystawa obrazu W. Szymanowskiego „Modlitwa", Krakowskie-Przedmieście 66 | — | — | 13 | — |
| 11 | Zalewski E. i S-ka, magazyn galanteryjny, Krakowskie-Przedmieście № 79 | — | — | 77 | — |
| 15 | „Złoty ul", pierniki, Marszałkowska 122 | — | — | 31 | 05 |
| | **W miejsce urządzenia w swoich sklepach sprzedaży rabatowej na korzyść «Rozdawnictwa» nadesłali ofiary właściciele następujących firm:** | | | | |
| | Bednawski W., materjały piśmienne, Miodowa 2 | 10 | — | | |
| | Hösick F., księgarnia, Senatorska 6 | 5 | — | | |
| | Kalinowski i Przepiórkowski, skład cygar i fabryka papierów, Hotel Europejski | 10 | — | | |
| | Riedel A., bielizna, Krakowskie-Przedmieście 15 | 10 | — | | |
| | Rundo | 5 | — | | |
| | Skorupski A., skład win, Krakowskie-Przedm. 19 | 5 | — | | |
| | Spiess L. i Syn, materjały apteczne, Plac teatru | 30 | — | | |
| | Ulrich G., zakład ogrodniczy | 15 | — | 90 | — |
| | **Ofiary w gotówce złożyły prócz tego następujące osoby:** | | | | |
| | W. P. Gołembowska Józefa z Różyczek | 6 | — | | |
| | JW. hr. Miączyńska Felicja z córkami i dr. K. Sierpiński | 200 | — | | |
| | W-ny Strassburger z Niemiec (kopalnia węgla) | 25 | — | | |
| | W-ny Urbański K. z Czeladzi (kopalnia węgla) | 25 | — | 256 | — |
| | | | | 1748 | 88 |

Wyraźnie **rubli tysiąc siedemset czterdzieści osiem i kopiejek osiemdziesiąt osiem.**

Za tak pomyślny rezultat, otrzymany ze sprzedaży rabatowej, a będący wynikiem czynnego i chętnego dopomożenia mi w sprawie zebrania środków na zakup odzieży dla ubogich mieszkańców Warszawy, najuprzejmiej mam zaszczyt podziękować w imieniu tychże ubogich paniom, asystującym przy sprzedaży w sklepach, pp. właścicielom firm, jakoteż szanownej publiczności, biorącej udział w kupnie artykułów. Nadmieniam przytem, że w końcu p. m. ogłoszę drukiem sprawozdanie z rocznej działalności „Rozdawnictwa odzieży dla ubogich", pozostającego pod moim zarządem, z którego to sprawozdania każdy się dowie o szczegółowym rozdziale zebranych dotychczas funduszów.

*Zofja Hartinghowa.*

Warszawa, d. 30-go grudnia.

---

**Dla matki z 5-em dzieci, ciężko chorej, opuszczonej od męża** (Mostowa № 22, m. 7).

Konstancja Morawska rs. 2.—D. K. Cz. 2.

**Dla wdowy po nadkonduktorze z 5-em drobnych dzieci** (Mostowa № 26, m. 21).

D. K. Cz. rs. 3.

**Na wpisy dla uczniów.**

W rocznicę śmierci dra Henryka Sterna, składają Izydor i Jan Stern na wpisy dla uczniów, w połowie wyznania katolickiego, w połowie wyznania mojżeszowego rs. 15.

— Z prośbą o zamieszczenie, otrzymujemy co następuje: „Zarząd opieki ochrony 6-ej składa niniejszem serdeczne podziękowanie czcigodnym opiekunkom ochrony: hr. Józefie Ostroróg-Sadowskiej(?), inżenierowej Grotowskiej, inżenierowej Cwo-wej i doktorowej Tomaszewskiej, tudzież firmom kupieckim pp. Włodkowskiego i Więckowskiego, oraz panu W. za przysłane na gwiazdkę podarki dla 124 dzieci do tej ochrony uczęszczających.

Opiekun główny *A. Rakowski*.

— Otrzymujemy z prośbą o zamieszczenie co następuje: „Zarząd łódzkiego chrześcijańskiego Towarzystwa dobroczynności podaje niniejszem do wiadomości publicznej rezultat z odbytej w tych dniach rewizji skarbonek ofiarnych 4-go komitetu cyrkułowego, w których znalezione zostały następujące kwoty: w kantorach: pp. Heinzla et Kunitzera rs. 4, Johna rs. 13 kp. 8, C. W. Gehliga rs. 5 k. 64, J. Ballego 2 k. 38, farbiarni J. Heinzla rs. 2 k. 30, A. Königa rs. 1 kop. 8, A. Härtiga rs. 1 kop. 5, Hausmana rs. 1, L. Geyera kop. 5; w restauracjach: pp. W. Josla rs. 9 kop. 10, N. Michla 7 kop. 91, A. Richtera rs. 2 k. 10, Bartha rs. 1 k. 80, E. Ada rs. 1 k. 75, Bauma rs. 1 k. 50, F. Endego rs. 1. Ogółem rs. [illegible] kop. 94.

Wszystkim tym, którzy przyczynili się do osiągnięcia wyższego rezultatu składamy niniejszem, w imieniu ubogich, serdeczne „Bóg zapłać".

Prezes: *J. Heinzel*.
Członek-sekretarz pastor *Rondthaler*.

Łódź d. 27/XII 93 r.

— *Sprostowanie.*—W zamieszczonej w onegdajszem rannem wydaniu rubryce ofiar, w miejsce powinszowań noworocznych na wpisy, zamiast Wilczewski, powinno być Albert Wilczewski.

---

# Nekrologja.

† W dniu 2 stycznia r. b., to jest we wtorek, o godzinie **8-ej** zrana, w kościele powązkowskim odprawioną zostanie msza święta za dusze ś. p. **Jana i Henryety Wołow-**

**skich**, a to z legatu przez niegdy Jana Kantego Wołow...ego uczynionego; o czem rektor kościoła powązkowskiego ...resowanych zawiadamia. - 16—

## Ś. p. Louisa Dütschke,

**PANNA**,

...długich i ciężkich cierpieniach, zasnęła w Bogu dnia 5-go ...u dnia w Ciechocinku, przeżywszy lat 62. —5757

Ś. † P.

## Leonora z Wodzyńskich ŁUKOMSKA,

**wdowa po profesorze Adamie Łukomskim**,

przeżywszy lat 78, zmarła w dniu 30-ym grudnia 1893 r. Stroskane dzieci, zięć i wnuki zapraszają krewnych, przyjaciół i znajomych na żałobne nabożeństwo, odbyć się mające w kościele Przemienienia Pańskiego przy ulicy Miodowej, w dniu 2-im stycznia 1894 r., o godzinie **11-ej** przed połud., oraz na wyprowadzenie zwłok tegoż dnia i z tegoż kościoła, o godzinie **3-ej** po południu, na cmentarz powązkowski. 2—5753—

W dniu 2-im stycznia, to jest we wtorek, jako w rocznicę śmierci, odprawione będzie nabożeństwo żałobne za spokój duszy 5758

Ś. † P.

## Marcina Jana Czerskiego,

o godzinie **11-ej** przed poł., w kościele św. Józefa Oblubieńca (po-karmelickim) na Krakowskiem-Przedmieściu, na które zapraszają żona wraz z dziećmi krewnych, przyjaciół i znajomych.

† We wtorek, dnia 2-go stycznia 1894 r., z powodu drugiej rocznicy śmierci

## ś. p. D-ra Gustawa Fritsche,

odbędzie się żałobne nabożeństwo w kościele św. Piotra i Pawła na Koszykach, o godz. **10 i pół** zrana, na które rodzina zaprasza przyjaciół, kolegów i znajomych. —5747

† W dniu 3 stycznia, to jest we środę, jako w czwartą rocznicę śmierci

## ś. p. Zygmunta Łempickiego,

odbędzie się żałobne nabożeństwo, o godzinie **7-ej** zrana, w kościele Wszystkich Świętych na Grzybowie, na które pozostała żona zaprasza krewnych i przyjaciół. —5661—

† Dnia 3-go stycznia, to jest we środę, za spokój duszy

## ś. p. Roberta Giese,

odbędzie się msza żałobna w kościele Wszystkich Świętych na Grzybowie, o godzinie **9 i pół** zrana, na którą żona i dzieci zapraszają krewnych i znajomych. —5749—

# WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE.

*Berlin*, 30-go grudnia.

(Korespondencja specjalna *Kurjera Warszawskiego*.)

Położone w powiecie średzkim dobra rycerskie Czarne Piątkowo, zakupione przed kilku laty przez komisję kolonizacyjną, otrzymały obecnie niemiecką nazwę „Pontkau".

Posłem na sejm prowincjonalny z miast Czarnków, Wieleń, Chodzice, Wągrówiec i Janowiec wybrany został aptekarz Dahme. Miasto Międzyrzec zaś wybrało posłem drukarza Massmara z Wągrowca, zastępcami zaś kupców Grasshofa i Gurmperta.

Kurator spadku po zmarłym nagle Hieronimie Kantzu, który, jak to niedawno donosiłem, pozostawił ogromny majątek, adwokat Psantz z Inowrocławia ogłasza obecnie, że zmarły Kantz, syn stelmacha Jana Świtarskiego i małżonki jego Konstancji z domu Lewędowskiej, urodził się d. 8-go stycznia 1831-go r. w Kobelnicy Szlacheckiej, nie pozostawił on żadnego majątku a spadkobiercy są nieznani. Osoby zatem ze zmarłym spokrewnione, które może i w Królestwie żyją, winny się najpóźniej d. 1-go marca 1894-go r. zgłosić do p. adwokata Psarskiego i stopień pokrewieństwa ze zmarłym Kantzem udowodnić. Kurator spadku nadmienia wreszcie, że o ile dotąd zbadano, rodzina Świtalskich z wykluczeniem rodziny Kantzów jest do spadku uprawnioną.

W Poznaniu mularz Waliński usiłował pozbawić życia czworo swoich dzieci w wieku 10, 8, 5 i $1^3/_4$ roku w ten sposób, iż im gwałtem wlewał w usta denaturowaną okowitę do palenia. Na szczęście kilku sąsiadów posłyszawszy krzyk dzieci, uwolniło je od zadawanych im przez wyrodnego ojca mąk i spowodowali jego aresztowanie. Dzieci rozchorowały się ciężko, a najmłodszemu wypalił spirytus całe wnętrze w jamie ustnej.

Nazwę stacji kolei Mielżyn na linji jarocińsko-gnieźnieńskiej przechrzczono na „Hohenau i. P.". Przybyło zatem znowu jedno *au*. *K.*

*

*Rzym*, 28-go grudnia.

(Korespondencja specjalna *Kurjera Warszawskiego*.)

Ojciec św. w przeddzień Bożego Narodzenia zrana komunikował własną ręką w prywatnej swojej kaplicy wiele osób, do dworu swego należących, a potem dawał osobne posłuchanie ks. Antoniemu Zerrowi, biskupowi tereszpolskiemu w Besarabji, zawisłemu od archidjecezji mohilowskiej. Wieczorem zaś, w tejże prywatnej kaplicy, zdobnej prześlicznym obrazem Niepokalanego Poczęcia, przez Gwidona Reniego, Ojciec św. odprawiał różaniec z monsignorem Narzolinim i dwoma kapelanami, a potem odprawił pierwszą mszę. Na tem rannem nabożeństwie byli tylko niektórzy dworzanie służbowi.

W mieście zaś w wielu domach prywatnych, obyczajem rzymskim, urządzone były bardzo wystawnie i świetnie szopki z jasełkami, na które mnóstwo osób zaproszono, jako na widowisko artystyczno-religijne. Najbardziej odznaczała się tego roku szopka p. Piotra Gentilego w Borgo Sant-Angelo za Tybrem. Było to przedstawienie na wielką skalę, a oprócz prześlicznych malowideł, krajobrazów plastycznych i dekoracyj, widać w niem było drewniane postacie osobliwej wartości, które wykonał był jeszcze w XVII-ym wieku słynny artysta neapolitański, Molica. Mieszkańcy tłumnie śpieszyli do p. Gentilego i do innych szopek, wskazanych nawet w dziennikach, a które odwiedzać można aż do Trzech Króli.

W bazylice zaś Santa Maria Maggiore wystawiona była przez cały dzień na wielkim ołtarzu drogocenna relikwja prawdziwego żłobka betleemskiego, przywiezionego z Palestyny przez św. Hieronima i starannie się przechowującego w urnie kryształowej.

Tego roku z powodu przesilenia finansowego i nędzy, panującej w Rzymie, król kazał podwoić zapomogi, wydawane przy końcu roku ubogim rodzinom. Rozdano tym razem przeszło miljon franków z prywatnej szkatuły króla. Królowa zaś kazała rozdawać tysiące a tysiące biletów do tanich kuchen, a rozdawanie takie trwać będzie codziennie aż do końca zimy. *D.*

*

*Londyn*, 28-go grudnia.

(Korespondencja pecjalna *Kurjera Warszawskiego*).

Święta minęły spokojnie, przy deszczach codziennych i powietrzu prawie wiosennem. Dziś pierwszą mamy mgłę czarną tej zimy; mówią, że z powodu wielkiego strejku górników i kilkotygodniowego zastoju ruchu fabrycznego w stolicy mgła spadła tak późno.

W walijskiem hrabstwie Cardigan, w którem co dopiero dni kilkanaście spędziłem, pokazano mi dwie kolonje, powstałe skutkiem strejku górniczego, szybko się rozwijające, a złożone z rodzin robotniczych, które „Kompanja górnicza północno-walijska" sprowadziła ze Szlązka pruskiego. Między rodzinami dużo jest czysto polskich, pochodzących z Poznańskiego; ludzie ci, władając słabo językiem niemieckim, angielskiego nie znają wcale; odznaczają się, jak mi mówił jeden z dyrektorów kopalni żelaza w obwodzie miasta Cardigan: „zdumiewającą pracowitością i melancholją." Ostatni ten przymiot zrozumiałem w naszych kolonistach, gdy jeden z nich, Szymon Malewski, z Konojadu, w powiecie kościańskim, czy też średzkim, powiedział mi, że ajenci, którzy ich do Anglji zwabili, przyrzekli im byli... wolny przejazd do Stanów Zjednoczonych po sześciu tygodniach pracy w kopalniach walijskich. Mieli zaś odbierać całkowitą płacę i mieszkać bezpłatnie. Na miejscu zaś wyśmiano się z ich łatwowierności.

Pod względem materjalnym nie jest im źle—*dzisiaj*; mieszkają w domkach, należących do zarządu, a opróżnionych przez górników krajowych, którzy z początku strejku (w lipcu) wyszli tłumnie do północnej Anglji i Szkocji. Za mieszkanie, złożone z dwóch izb i kuchni, płacą koloniści od 2 do $3\frac{1}{2}$ szylinga tygodniowo, zarabiają od 18 do 37 szylingów. Czują się jednak ciężko zawiedzeni, bo prawie wszyscy mieli zamiar osiedlić się przy krewnych w północno-zachodnich Stanach amerykańskich i już na chleb zapewniony tam się wybierali. Tu zaś oszczędzić mogą niewiele, wobec drożyzny wiktuałów, a nadto otrzymują często groźby od górników krajowych. Niemcy koloniści sprowadzają jednakże żony i krewnych.

Dodać winienem, że niektóre z tych kopalni (żelaza, cynku, węgla i ołowiu) należały przed laty 70-iu i aż do szóstego dziesiątka tego wieku do polaka, którego dzieje będę może w stanie opowiedzieć czytelnikom przy późniejszej sposobności. *Ed. N.*

*

*Bruksella*, 28-go grudnia.

(Korespondencja specjalna *Kurjera Warszawskiego*.)

Wystawa międzynarodowa, poświęcona produktom spożywczym, o której wam pisałem d. 31-go lipca, miała wielkie powodzenie.

Ze wszystkich krajów nadeszły tu okazy znakomite. Najwybredniejsze podniebienia, na sam widok tych gastronomicznych cudów, roskosznie choćby na śmierć załechtaćby się dały. Ryby morskie olbrzymie, ostrygi tłuściuchne, muszle parkowane, gęsi ważące 20 funtów, winogrona jak śliwki, gruszki 5-funtowe, jarzyny i konserwy amerykańskie, jednem słowem ostatni wyraz postępu alimentacyjnego, przywabiły tłum widzów.

Wiedeńska kobieca orkiestra, salony restauracyjne, wybredne wina, piwa i wódki i wszystkie możliwe przysmaczki, urzeczywistniły epikurejczykom *fin de siècle* horacjuszowską dewizę: *carpe diem*!

Cały świat urzędowy z królem na czele był zaproszony na uroczystość otwarcia i „degustowania" wystawy a co nowych wynalazków w dziedzinie ekonomiczno-przemysłowej! Między wystawcami zaznaczyć pragnę syndykat t. zw. Stanley'a, którego reprezentant inżenier Asser z Hagi, przedstawił królowi rozliczne zastosowania bananów przy wyrabianiu alkoholu, chleba, puddingów, piwa, marmolady, konfitur, cukru, glukozy, a nawet papieru i powrozów! Holandja w Gujanie i w Indjach zachodnich, a Belgja w Kongo, gdzie banany rosną w niezliczonej liczbie, mogą ciągnąć ogromne zyski z tego ciekawego wynalazku. Jedna sala poświęconą była wyłącznie aparatom sztucznego rozmnażania się kur, drobiu rozlicznego i królików. W zeszłym roku Belgja wywiozła do jednego Londynu za 7 milj. franków tych sztucznie otrzymanych królików. Przykład do naśladowania.

Wystawa przyszłoroczna w Antwerpji, w której większa część wystawców amerykańskich z Chicago figurować będzie, zapowiada się świetnie. Siłą przyciągającą tejże, to, co tu nazywamy *le clou*, będzie pałac powietrzny (*Château aérien*), systematu i wynalazku inżeniera Tobiańskiego. W tutejszym wielkim teatrze Alhambry mieliśmy d. 9, 10 i 11-go grudnia próby tego pałacu balonowego w $^1/_{20}$ wielkości. Pałac mieścić będzie napowietrzną restaurację, *Café, Buvettes, Comptoir de vente des Curiosités*, teatr, biuro dziennikarskie i t. p. Balony nowego systemu Tobiańskiego utrzymywać będą w pozycji niewzruszonej ten pałac, który mieścić może 200 osób na samej platformie, zkąd widok na całą wystawę i na miasto antwerpskie będzie malowniczy. Publiczność dostawać się ma do pałacu przy pomocy dwóch wind, połączonych między sobą liną, a wznoszących się podług nowego systemu, zapewniającego bezpieczeństwo nawet w czasie nawałnic. Obserwacje meteorologiczne i astronomiczne będą możliwe na tej wysokości, a doświadczenia z telegrafowaniem optycznem mogą być bardzo użyteczne. Nocami pałac powietrzny rzucać będzie w daleką przestrzeń promienie latarni elektrycznej. *H. M.*

*

*Budapeszt*, 28-go grudnia.

(Korespondencja specjalna *Kurjera Warszawskiego*.)

Węgierscy malarze i rzeźbiarze przygotowują na jubileusz Jokaia artystycznie wykończoną skrzynkę, podług wzoru prof. Szikedarza, a wykończoną przez Eugenjusza Fiszhoffa. Skrzynkę ową przygotowano ze skóry z przepyszną ornamentyką z drzewa w stylu gotyckim. Każdy z artystów złoży w nią akwarelę lub obraz własnej roboty. Munkaczy i Zichy nadesłali już swoje prace.

Zmarły tu, wielce zasłużony kupiec Bernard v. Deutsch, zapisał na cele filantropijne 100,000 florenów.

Następujący fakt wydarzył się w okolicy Pesztu: wieśniacy miejscowi uroili sobie, że w studni ukazała się Matka Boska i wyraziła się w narzeczu słowiańskiem, aby na tem miejscu urządzić cel pielgrzymek. Chłopi zdołali już urządzić tam kaplicę; rząd rozkazał ją rozwalić, chłopi nie ważyli się ruszyć świątyni. Gmina więc ogłasza „konkurs" na jej rozbiórkę.

Stolica węgierska otrzymała na gwiazdkę nową humanitarną instytucję, noszącą nazwę „Przytułku dla cierpiącej ludzkości". W roku 1890-ym asygnowało Towarzystwo pierwszej kasy oszczędności, w rocznicę 50-tą swego istnienia, 250,000 florenów na ufundowanie tej instytucji, której koszty budowy wynoszą 60,000 fl., a procenty od pozostałej sumy mają być obracane na utrzymanie instytucji, której celem jest dawanie nocnego przytułku i ciepłej strawy biedakom.

Wczoraj wieczorem znaleziono na brzegu Dunaju topielca, w którym poznano hrabiego Jana Somssicha. Z zarządzonego śledztwa okazało się, że nieboszczyk, przechadzając się nad wodą w niezupełnie trzeźwym stanie, wpadł w rzekę. Hr. Somssich pochodzi z bogatej rodziny, w młodości otrzymał nader staranne wychowanie, lecz po śmierci ojca, to jest po objęciu ojcowizny, rozpoczął życie hulaszcze. W 31-ym roku życia ożenił się z bogatą wdową, z którą, po 10-letniem pożyciu, rozwiódł się. Następnie uwiódł mężowi żonę, która przy jego boku nędznie skończyła życie. Straciwszy cały majątek, udał się hrabia do zakonu franciszkanów, gdzie jednak niedługo wytrzymał, wystąpił ztamtąd i prowadził nędzny żywot. Rodzina przysyłała mu niewielkie zapomogi.

Miasta węgierskie: Oedenburg, Eisenstadt i Preszburg otrzymały ładny spadek. Zmarła tu z arystokratycznej rodziny 103-letnia panna Nagy de Felsö-Bük, pozostawiwszy swój wielki majątek przyjacielowi swemu, Janowi v. Crasbek. Przy pogrzebie zakupił sobie Crasbek grób obok ukochanej, wyraziwszy się, że nazajutrz napewno umrze. Sprawdziła się przepowiednia, umarł nieborak na anewryzm serca, a majątek panny Nagy zapisał wyżej wspomnianym trzem miastom.

Wystawę zimową obrazów zwiedziło przez święta 4,000 osób, zakup obrazów był kolosalny, między innemi sprzedano obraz Henryka Siemiradzkiego. *K.*

*

*Zurich,* 15-go grudnia.

(Korespondencja specjalna *Kurjera Warszawskiego.*)

We czwartek, d. 14-go b. m., odbyły obie izby szwajcarskie: rada narodowa i rada kantonów wspólne posiedzenie, celem wyboru z łona swojej rady związkowej na następne trzechlecie. Ponownie zostali wybrani: Schenk, Deucher, Hauser, Frey, Żemp i Lachenal. Na miejsce zmarłego niedawno ministra sprawiedliwości, Ruchonneta, wybrano waadtlanczyka, Ruffy'ego.

Nowy członek rady związkowej, Eugenjusz Ruffy, urodzony w r. 185[illegible]-ym w Lutry, w kantonie waadtlandskim, jako syn zmarłego prezydenta, Wiktora Ruffy'ego, studjował po ukończeniu szkół miejskich w Lozannie i Bernie prawo na uniwersytetach: w Heidelbergu, Lipsku, Paryżu i Lozannie.

Po odbyciu dwuletniej praktyki w biurze Ruchennera, osiadł Ruffy w r. 1880-ym jako adwokat w Lozannie. Od r. 1882-go był on członkiem rady związkowej narodowej, której przewodniczył w r. 1889-ym.

Członkiem rządu kantonalnego waadtlandskiego był Ruffy od r. 1885-go. Od czasu, kiedy Ruchonnet wyjechał do Berna, Ruffy został przywódzcą partji radykalnej waadtlandskiej. Jako kantonalny minister oświaty, zjednał sobie Ruffy wielkie uznanie za wprowadzenie w kantonie ojczystym bezpłatnego nauczania w szkołach ludowych i za przekształcenie akademji w Lozannie na uniwersytet.

W swoim czasie Ruffy przyczynił się pośrednio do ustąpienia prezydenta Welti'ego, rozwinąwszy bardzo silną agitację przeciwko wnioskowi o upaństwowieniu kolei w Szwajcarji. Prócz tego, Ruffy przy każdej sposobności wyrzuca berneńczykom te czasy, kiedy Waadtland był pod panowaniem berneńskiem. Berneńczycy za to znosić go nie mogą i dlatego też deputowani z kantonu berneńskiego, jak jeden mąż, wstrzymali się od głosowania, a obecna na trybunach publiczność berneńska, po wysłuchaniu rezultatu głosowania, taki wszczęła harmider, że przewodniczący, deputowany Comtesse, zmuszony był zagrozić publiczności zamknięciem trybuny.

Prezydentem rzeczypospolitej na rok przyszły obrano ministra wojny, Frey'a. Wiceprezydentem—Żempa. Na kanclerza powołano ponownie Ringiera.

Przy uniwersytecie zuriskim zawiązało się akademickie stowarzyszenie wstrzemięźliwości od napojów gorących. Stowarzyszenie liczy obecnie 16-tu członków. Protektorami jego są: rektor Kesselring, znakomity psychjatra Forel i profesor fizjologji Gaule. Towarzystwo rozwija się nader pomyślnie i stało się już teraz bardzo przyciągającem ogniskiem. Co dwa tygodnie odbywają się posiedzenia naukowe, na których toczy się zwykle bardzo ożywiona dyskusja nad kwestjami z najrozmaitszych dziedzin wiedzy.

Dla chcących się zapoznać ze sprawą alkoholu zacytuję tutaj następujące broszury: Blochera „Wider unsern Erbfeind", Bungego „Alkoholfrage", Forela „Trinksitten", Gaulego „Wie wirkt der Alkohol", Kesselringa „Der Alkohol im Verhältniss zum öffentlichen Wohlstand", Langa „Alkohol und Verbrechen".

*J. P.*

*

*Kair,* 6-go grudnia.

(Korespondencja specjalna *Kurjera Warszawskiego.*)

Nadnilowa stolica, przesławna Masr el Kuhera (zwycięzka), czyli el Mahrussu (dobrze strzeżona), pogrążona wśród skwarnych letnich upałów w letargicznem uśpieniu budzi się corocznie z nastaniem cudnej nad wyraz pory jesiennej, do ruchliwego życia nadającego jej prawie pozór europejskiego stołecznego miasta.

Tego roku napływ turystów zapowiada się większy jeszcze, niż lat poprzednich; wspaniałe lokandy New hotel Shepheard i Continental Ustel szybko się zapełniają; lecz wkrótce będą miały do walczenia z groźną konkurencją, gdyż w przewidywaniu coraz to liczniejszego złotodajnego najazdu, grono możnych spekulantów zakupiwszy wspaniały pałac za Nilem w Gezirch, gdzie niegdyś były Chedyw Ismail Basza z niesłychanym przepychem ugaszczał cesarzową Eugenję, przerobiło go na hotel pierwszorzędny, lub raczej na rodzaj foslansteru dla użytku podróżującego *high-life.* Turysta, byle tylko sowicie zaopatrzony w *nervus rerum*, będzie mógł dogodzić, niewychodząc z obrębu tego nowożytnego karawanseraju, najwybredniejszym wymaganiom komfortu. Trudno iżby z samego dochodu wpływającego od gości oprocentował się ogromny kapitał włożony w ten zakład zawierający 450 samych sypialni!

To też przypuszczają powszechnie, że spółka ma na widoku przeniesienie do Gezirch przedsiębiorstwa gier w San Carlo, którego kontrakt wkrótce upływa i niema być podobno wznowionym. Pytanie tylko czy uda się pod osłoną kapitulacji, a wbrew ustawie krajowej, założyć olbrzymią szulernię pod bokiem stolicy.—Zjawił się tu po kilkoletniej niebytności Blum basza, dawny podsekretarz stanu w ministerjum finansów, wielce zasłużony w uporządkowaniu tego wydziału, który ustąpiwszy miejsca anglikowi zajmuje teraz w Wiedniu posadę dyrektora Creditanstult. Zdaje się, że przyjazd jego ma na celu założenie w Kairze filji tego zakładuf odpowiedziałoby to znakomitemu rozwijaniu się handlowej i przemysłowej działalności Austro-Węgier na Wschodzie wogóle, a mianowicie w Egipcie, gdzie to państwo zajmuje trzecie miejsce w ruchu handlowym.

Młody kedyw właśnie powrócił z przejażdżki przedsięwziętej z powodu otworzenia odnogi kolei z Izmaili do Port Said zbudowanej przez kompanję kanału suezkiego. Kolej ta otwierająca nieprzerwaną komunikację na relsach między Kairem i Port-Said przeznaczona jest jak na teraz dla samych tylko podróżnych; nie można jednak wątpić, że z czasem przewozić będzie takie towary, a wtedy cały handel z Turcją i wschodnią połową kotliny Śródziemnego morza zwróci się ku Port-Said ze szkodą Aleksandrji posiadającej dotychczas monopol całego morskiego handlu Egiptu.

*A. W. D.*

# OSTATNIA POCZTA.

## Deklaracja młodoczeska.

**Praga czeska** d. 30-go. Na wczorajszem posiedzeniu sejmu młodoczeskiego poseł Engel imieniem młodoczechów złożył deklarację, w której oświadczył, iż stronnictwo jego nie stoi w żadnym związku z mordem politycznym, dokonanym świeżo w Pradze. Zarzut nie może trafić ani stronnictwa, ani oddzielnych jego członków. O ile stronnictwo czeskie ma wpływ na wychowanie młodzieży, stara się wychowywać je w tradycjach prawdziwej patrjotycznej miłości i szlachetnej humanitarności przy energicznem przestrzeganiu podstaw życia narodowego; stronnictwo młodoczeskie nigdy nie stawiało za program odrębności Czech po za związkiem państwowym monarchji. Przeciwnicy czeskiego ruchu narodowego usiłują dyskredytować go i podsuwaniem wrzekomych związków pomiędzy luźnemi faktami napiętnować jako przewrotowy.

## Volders.

**Bruksella** d. 30-go.—Przewódzcę partji robotniczeVoldersa, postawiono przed sądem przysięgłych. Rozprawa sądowa odbędzie się w d. 8-ym stycznia.

## Z izby gmin.

**Londyn** d. 30-go.—Wczoraj izba gmin za pojawieniem się Gladstona, obchodzącego dzień swych urodzin, powitała go owacyjnie. Whigowie i irlandczycy podnieśli się z miejsc i wydali okrzyk zbiorowy ku czci starca. Następnie Balfour imieniem stronnictwa zachowawczego wypowiedział życzenia Gladstonowi. Dalziel wniósł interpelację, czy poddany angielski, który obcemu państwu złożył przysięgę wierności, przestaje być *ipso facto* poddanym angielskim; czy książę sasko-koburski będzie pobierał od Anglji dotację roczną 10,000 funtów w charakterze poddanego angielskiego; czy w razie wojny Niemiec z Anglją książę ma prawo użyć tej sumy na niekorzyść Anglji. Jurysta korony, sir John Rigby oświadczył na pierwsze pytanie: Jeżeli poddany angielski dobrowolnie naturalizuje się w innem państwie, przestaje być poddanym angielskim; wszakże złożenie przysięgi wierności nie jest naturalizacją. Na drugie i trzecie pytania Rigby nie odpowiada, ponieważ są to hypotezy. Akt, przyznający księciu sasko-koburskiemu dotację, nie oznacza charakteru, w jakim ona ma być pobierana. Wszelki więc rozbiór tej kwestji byłby płonnym. Na pytanie Gibsona Bowles'a, czy obcy książę może być poddanym angielskim, Rigby nie odpowiedział. Na pytanie Labouchère'a w sprawie okupacji egipskiej oświadczył Gladstone, że nie uważa chwili obecnej za odpowiednią do rozbioru tej kwestji. Wszelkie układy o ewakuację Egiptu prowadzone być mogą z państwem zwierzchniczem, lecz nie z kedywem.

## Ministrowie przed sądem.

**Belgrad** d. 30-go.—W dalszym ciągu wczorajszych rozpraw trybunału państwowego, prokurator uzasadniał punkt oskarżenia, dotyczący naruszenia konstytucji przez odroczenie i rozwiązanie prawowitej skupczyny. Awakumowicz i towarzysze jego zażądali, aby oskarżenie prowadzone było jednolicie i obejmowało od razu całość zarzutów, tak samo prowadzoną być powinna i obrona. Sąd przyznał oskarżonym prawo do obrony jeneralnej i specjalnej przy każdym punkcie oskarżenia. Przy punkcie drugim, traktującym o bezprawnem przedłużeniu traktatu handlowego z Austrją, prokurator zażądał odszkodowania w sumie 1,818,432 fr. Oskarżeni dowodzili, że przedłużyli traktat w interesie kraju i nie narazili go na straty.

# Szachy.

Konkurs *Kurjera Warszawskiego* dla rozwiązujących zadania szachowe.

Niewątpliwe powodzenie wszystkich naszych konkursów upoważnia nas do ogłoszenia obecnie nowego, a z kolei „Siódmego konkursu *Kurjera Warszawskiego* dla rozwiązujących zadania szachowe", warunki którego niżej przytaczamy:

1) Rozwiązanie każdego ogłoszonego zadania ma być ścisłe, wyczerpujące, wyraźnie napisane i nadesłane do redakcji w przeciągu dni dziesięciu od daty ogłoszenie.

2) Rozwiązanie ma być podpisane wyraźnie imieniem i nazwiskiem rozwiązującego (pseudonimy etc.—wyłączają) za wskazaniem adresu.

3) Rozwiązania dwuchodówek cenione będą liczbą 1, trzechodówek—liczbą 2, i t. d.; rozwiązania uboczne—liczbą ½.

4) Osiągający największe z rozwiązań swych sumy, otrzymają z końcem 1894 roku: pierwszy: „Bez dogmatu", Sienkiewicza, drugi: „Genjusz i obłąkanie" Lombroso, trzeci: „Nafta" Sewera, czwarty: Tajemnice Afryki" L. Jacolliot, piąty: „Testament Hopkinsa" Rutkowskiego.

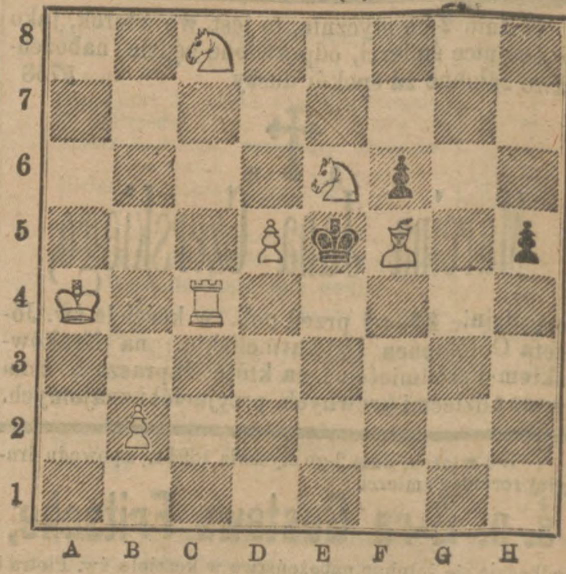
5) W razie równości niektórych sum redakcja pozostawia sobie dyskrecjonalną władzę rozdziału odnośnych nagród między współzawodnikami.

6) Wszystkie listy do niniejszej rubryki mają być oznaczone na kopercie wyrazem „Szachy".

Konkurs rozpoczynamy następującemi, nagrodzonemi na turnieju zadaniowym czasopisma „Szachmatnoje Obozrenje" trzychodówkami:

### ZADANIE 324
(H. v. Dueben)
(1 nagr.)

CZARNE (3).



BIAŁE (7).

Mat za trzeciem posunięciem.

### ZADANIE 325
(E. Montwid), (2 nagr.).

**Białe**: Król H2. Dama D7. Wieża G5. Laufry B6, F7. Skoczki: B7, H4. Piony: C6, F2, G3, G6. (11).

**Czarne**: Król F6. Wieża H6. Skoczki: E7, H7. Piony: C5, H5. (6).

Mat za trzeciem posunięciem.

### ZADANIE 326
(Dr. A. Galickij), (3 nagr.).

**Białe**: Król E1. Dama H8. Wieża G6, Laufer C7. Piony: D4, F6, F4, H5. (8).

**Czarne**: Król F3. Laufer F8. Piony: E4, E7, F5. (5).

Mat za trzeciem posunięciem.

### ZADANIE 327
(K. Traxler), (1 zaszcz. wzm.).

**Białe**: Król A8. Dama D1. Wieża C5. Piony: C2, C4, E5. (6).

**Czarne**: Król A6. Wieża H6. Skoczki: F5, H2. Piony: A2, A5, D4, G5, H7. (9).

Mat za trzeciem posunięciem.

**J. Ż.**

# Zadanie do nagrody.

Szlę wam dziś, czytelnicy, wyraz tylko jeden,  
Lecz wyraz, który życie zmienia w uciech Eden...  
Słówko krótkie to bardzo, znaczy jednak wiele,  
Skoro wrogów jest zdolne zmienić w... przyjaciele.  
Odrzuć zeń jedną głoskę, gród dostaniesz stary,  
Odrzuć dwie, miasto, piękne robiące towary,  
Bez trzech liter bajeczny Greków protoplasta,  
Bez czterech ni ja, ni ty. No, i na tem basta.  
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .  
W ręce wyraz ten chwyćcie, panowie i panie  
A życzeniom się waszym wnet zadość się stanie.

Nagród oznacza się cztery: dla Warszawy, prowincji, Cesarstwa i zagranicy.

Pierwszy dobrze rozwiązujący z Warszawy, otrzyma: „Naftę", powieść Sewera.

Pierwszy dobrze rozwiązujący z prowincji przesłane mieć będzie: dzieło p. t. „Bakterje", w opracowaniu M. Flamma.

Dalej pierwszy, nadsyłający dobre rozwiązanie z Cesarstwa nagrodzony zostanie: powieścią A. Dygasińskiego p. t. „Na złamanie karku".

Pierwszy dobrze rozwiązujący z zagranicy otrzyma „Album Kostrzewskiego", zeszyty, jakie ukazują się po d. 15-ty stycznia 1894 r.

Termin przyjmowania rozwiązań upływa w dniu 15 b. m. włącznie, poczem w dniu 18-ym t. m. ogłoszone będzie rozwiązanie, lista nagrodzonych i dobrze rozwiązujących.

### Rozwiązanie arytmogryfu literackiego, umieszczonego w numerze 334-ym.

## Zadora i Miljoner.

| | | | | | | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | | | | | | 1 | | | | | | | |
| | | | | | R | ó | Z | i | a | | | | | |
| | | | | | U | m | a | m | y | | | | | |
| | | | | | S | e | d | a | n | | | | | |
| | | | | | S | ł | o | w | o | | | | | |
| | | 2 | | | M | a | r | t | a | | | 3 | | |
| H | a | n | k | a | P | i | a | s | t | N | a | b | a | b |
| F | r | o | i | m | M | n | i | c | h | Ł | u | c | j | a |
| Z | a | d | o | r | a | i | M | i | l | i | o | n | e | r |
| M | a | r | j | a | Z | m | i | j | a | J | ę | d | z | a |
| W | i | c | e | k | L | a | l | k | a | N | e | r | o | n |
| | | | | | Z | b | i | e | g | | | | | |
| | | | | | S | r | o | d | a | | | | | |
| | | | | | J | a | n | e | k | | | | | |
| | | | | | N | i | e | b | o | | | | | |
| | | | | | J | u | r | e | k | | | | | |

Dobre rozwiązanie nadesłali: panie: D. Goldsztaub, Leokadja Mę.., N. Połątkiewicz, Dorota i Róża M...ak., B. i L Krantz, M. Wróbel, A. Olechowska, M. i K. Paschalskie, H Korecka E. i H. Heymanówne, W. i W. Grabowskie, D. Glas Z. Turkus; panowie: D. Apfelbaum, Kuśtyk, J. Neuding, J Kachel, N. Bébé, S. Herkner, S. Stein, W. Halpern, S. Goldstein, F. Kohn, E. Weksler, Sz. Rotenstein, M. Ritterband, Miecio P., J. Grycendler, A. Goldberg, M. Edelstein, Benedykt R., J. Halber, H. Urysohn, W. Poeche, E. Izabelski, S. Rudawer, J. Gombiński, W. Zaleski, M. Nawrocki, Z. Garliński.

Z prowincji pp.: M. Mokrzycka z Brześcia Litewskiego, E. Srebrna z Łodzi, S. Watt z Łowicza, M. Bersan z Łowicza, E. Cederbaum z Lublina, M. Binenthal z Kielc, A. Lilienstern z Lublina, A. Barwiński z Dubna, Z. Pohoska ze Strzemieszyc.

Z zagranicy: A. Bentkowski z Hohenheim.

## ODPOWIEDZI.

— *Pani Z. Poh. ze Strzemieszyc.* — I owszem przyjmujemy, zwracamy jednak uwagę, iż utwór winien, prócz samej treści odznaczać się jeszcze dokładnie opracowaną formą.

— *Prenumeratorowi „Borucie".*—Ależ sz. pan w każdej szaradzie nagina *par force* pisownię do potrzeb wiersza. To nie uchodzi.

— *Ciekawemu.*—Zadanie drukowane nie będzie.

— *Pp. Franciszce Bach. i Markusowi S.*—Przedewszystkiem „Durante," ale „Dante," co już uniemożliwia zamieszczenie zadania. Następnie, o ileby państwo pragnęli koniecznie widzieć w druku swoją pracę, należy równocześnie z jej przesłaniem złożyć w redakcji naszej nagrodę, jaką za jej rozwiązanie ofiarujecie. Inaczej zamieścić nie możemy.

— *Panu M. Okręt.* — Arytmogryfów w ogóle przyjmować zaprzestaliśmy, tym razem jednak, z uwagi na treść zadania, odpowiadającą chwili, odstąpilibyśmy może od przyjętej zasady, gdyby nie okoliczność, iż takiejże treści utwory otrzymaliśmy zkądinąd znacznie wcześniej.

— *Ciekawemu.*—Informacje, dotyczące tegorocznego poboru wojskowego, czerpaliśmy u źródła. Nie mogą one zatem być takiemi, za jakie je sz. pan uważa.

— *Panu Z. Garlińskiemu.*—Logogryf pański otrzymaliśmy już po zakwalifikowaniu do druku kilku innych, tej samej treści zadań.

— *Stałemu prenumeratorowi H.*—Łamigłówka pańska drukowana nie będzie.

— *Panu Aronowi Ten.*—Ależ takie rymy jak: „dźwigają," „sprzedawają," już obecnie nie uchodzą. Przytem słowo „nienawiedzają" jest dla nas wręcz niezrozumiałe. Z propozycji, dotyczącej szarady „fasola," korzystać nie możemy.

— *Pp. M. Lichten. i „Jasor".*—Arytmogryf panów do druku się nie kwalifikuje.

— *Panu H. Swederus.*—Logogryfu nie zamieścimy.

— *Panu M. Bers. z Łowicza.* — Z ostatnio nadesłanej pracy korzystać nie będziemy.

## Sprawozdania z targów.

**Gdańsk**, dnia 30-go grudnia.—Pszenica krajowa bez zmiany, towar tranzytowy raczej cokolwiek słabiej. Płacono za polską tranzyto białą lekko obciągniętą 729 gr. 114 m., białą 734 gr. 118 m., za russką tranzyto girkę 660 gr. 80 mar., 692 87 m., 703 gr. 88 mar. za tonnę. Terminy tranzyto: na kwiecień-maj 123½ mar. w zaofiarowaniu, 123 mar. w poszukiwaniu, na maj-czerwiec 125 mar. w zaofiarowaniu. 124½ m. w poszukiwaniu, na czerwiec-lipiec 127½ m. w zaofiarowaniu, 127 mar. w poszukiwaniu. Cena regulacyjna tranzytowej 119 mar. Żyto krajowe bez zmiany, towar tranzytowy bez obrotów. Terminy: na kwiecień-maj dolno-polskie 88½ m. w zaofiarowaniu, 88 mar. w poszukiwaniu, na maj-czerwiec dolno-polskie 89½ mar. w zaofiarowaniu, 89 mar. w poszukiwaniu, na czerwiec-lipiec dolno-polskie 90½ mar. w zaofiarowaniu, 90 mar. w poszukiwaniu, na wrzesień-październik krajowe 125½ mar. w zaofiarowaniu, 125 m. w poszukiwaniu. Cena regulacyjna dolno-polskiego 85 mar., tranzytowego 84 mar. Jęczmień targowano russki tranzyto 579 gr. i 586 gr. (8 m., 606 gr. 612 gr. i 615 gr. 69 mar., 627 gr. 70 mar., 635 gr. 75 mar., 668 gr. 81 mar., na paszę 63 m., 65 m., 66 m., 67 mar. za tonnę. Groch polski tranzyto średni 92 mar., wilgotny 90 mar. za tonnę płacono. Polski bob koński tranzyto 106 mar., wilgotny 95 m., 100 mat., 102 mar., 103 mar. za tonnę targowano. Otręby pszenne na wywóz morzem grube 3.35 i 3.40 m., bardzo grube 3.57½ m., średnie 3.20 i 3.25 m., miałkie 3.07½ i 3.15 za 50 kilogr. płacono. Spirytus nie podlegający cłu w towarze gotowym 49 m. w poszukiwaniu; podlegający cłu w towarze gotowym 29½ m. w poszukiwaniu, z krótką dostawą 29½ mar. w poszukiwaniu, na styczeń-marzec 29¾ m. w poszukiwaniu. Dla cukru w Gdańsku tendencja spokojna, a w Mgdeburgu stała. Kurs w Gdańsku 216.80 mar. za 100 rs.

**Libawa**, 27 grudnia. — Żyto za 120 funt. hol., bez dopłaty w razie wagi wyższej, za strąceniem ½ kop. za funt. przy wadze 115 do 120 f. hol., zaś 1 kop. za funt. poniżej 115 f., słabiej, płacono 63½ kop. Owies biały bez zm., litewski suchy 57—59 kop. kurlandzki i litewski piękny 64 do 66 kop., najpiękniejszy 68 do 70 kop., miński 57 do 58 kop., mało-russki 60 kop., jelecki 62 kop., wyborowy 70 do 76 kop., russki folwarczny 65 do 67 kop., szastany 74 kop., czarny bez zmiany, piękny 80 kop., czarno-pstry 65 do 68 kop. Jęczmień słabo, pastewny suchy 50 kop. Hreczka 72 kop. Groch bez zmiany, pastewny 65 kop., mało-russki suchy od 68 do 69 kop., russki 69 do 70 kop. Bób 75 kop. Wyka stale, russka 95 do 100 kop., litewska od 90 do 96 kop. Siemię lniane słabo, litewskie 7-miarowe 134 kop., russkie piękne 7-miarowe 135 kop., stepowe piękne 7-miarowe 136 kop., 6-miarowe 119 kop. Otręby pszenne spokojnie, najgrubsze 58 kop., grube 50 do 54 kop., średnie 47 do 49 kop., drobne 44 do 45 kop. Siemię konopne po 108 kop. za pud.

**Z handlu zbożowego w Cesarstwie.** Jak zaznacza *Wiest. Finans.* i *Promyszl.* obecny przejściowy okres w handlu zbożowym gub. Cesarstwa trwa niezwykle długo. Z każdym tygodniem zastój zwiększa się, wobec nieustalonej dotąd sanny, wyczekującej pozycji ze strony handlarzy i pewnych wahań w cenie. Na uwagę zasługuje ożywiony popyt na żyto i mąkę żytnią; nawet przy niewielkim ściśle miejscowym popycie, żyto i mąka żytnia trzymają się mocno w cenie, nie wykazując najmniejszej dążności zniżkowej. Mocne usposobienie dla owsa tłómaczą powszechnie zakupami, dokonywanemi dla intendentury; zakupy uskuteczniane są obecnie w gubernjach środkowych czarnoziemnych, chociaż dość znaczny popyt na zboże trwa w dalszym ciągu w górze Wołgi, a nawet w Petersburgu, gdzie ożywił się popyt miejscowy, zarówno konsumpcyjny, jako też spekulacyjny i wywozowy do Finlandji. Dla owsa usposobienie rynków wewnętrznych słabnie, ponieważ zapotrzebowanie do portów baltyckich ustało, po zaspokojeniu dawnych zamówień ze strony konsumentów zagranicznych. Większe obroty owsem notowano tylko na niektórych rynkach nadwołżańskich, gdzie handlarze przygotowują zboże do wysyłki wiosennej; dotąd zawarto już bardzo wie kontraktów, a podaż z każdym dniem staje się obfitszą, chociaż bardzo często nie przychodzi do porozumienia w cenach. W każdym razie ruch handlowy w tych miejscowościach będzie przez całą zimę prawdopodobnie bardzo ożywiony. Poczęto też kontraktować statki do przewozu zboża. Daleko gorzej przedstawia się sytuacja dla pszenicy. Spadek cen tego produktu zauważyć się daje w gubernjach środkowych czarnoziemnych, w gubernjach nadwołżańskich, a także na południu Rossji, gdzie handel pszenicą i mąką pszenną jest w zastoju. Co się tyczy handlu wywozowego to wszędzie prawie jego obroty zmniejszyły się; niektóre tylko rynki przed zamknięciem żeglugi spieszą się z wysłaniem dawniej zamówionych partyj. Z niektórych rynków południowo-zachodnich donoszą o ożywionym popycie na owies doborowego gatunku, zakupy zaś innych zbóż na eksport ustały zupełnie. W Rydze wysyłają pośpiesznie żyto do Szwecji i wielkie partje jęczmienia browarnego do Irlandji; wywozowcy miejscowi, kończąc już zakupy, nie chcą nabywać zboża w większych ilościach. Wobec takiego stanu rzeczy, ceny wykazują dążność zniżkową. Firmy wywozowe w Odessie, pod wpływem pomyślnych wiadomości o usposobieniu rynków zagranicznych, uważają chwilę obecną za najdogodniejszą do wypełnienia swych zobowiązań i dla tego korzystając z niskich cen frachtów, wysyłają śpiesznie zboże zagranicę; głównie idzie girka i jęczmień. Inne porty są prawie zupełnie bezczynne, a zakupów zboża uskuteczniają na nich bardzo niewiele. Urzędowe zawiadomienie o upadłości jednego z największych banków włoskich i zły stan rynku pieniężnego włoskiego, wpłynąć muszą bardzo niekorzystnie na eksport południowego handlu zbożowego, mającego we Włoszech licznych odbiorców. Co się tyczy kontraktów na przyszłoroczne ziarno, to jak dotąd, ogniskują się one wyłącznie w Noworossyjsku i ograniczają się wyłącznie na niektórych gatunkach pszenicy i żyta. Na rynkach zagranicznych pszenica południowo-russka znajduje odbiorców w portach morza Śródziemnego, na rynkach angielskich, belgijskich i holenderskich. Do Niemiec dotą pszenica russka nie jest wysyłaną, gdyż ceny firm tutejszych nie odpowiadają żądaniom wywozowców. Do Holandji zakontraktowano kilka partyj jęczmienia z Rossji.

# NOWOROCZNIK
## Kurjera Warszawskiego

Zwyczajem dorocznym witamy dziś Czytelników naszych Numerem Noworocznym, wraz z którym zasyłamy wszystkim przyjaciołom pisma serdeczne życzenia „Dosiego Roku".

### TREŚĆ:

DZIAŁ LITERACKI:

Asekuracja I i II-ej emisji 60 kop.
CIĄGNIENIE PREMJÓWEK I em. 14 stycznia.
***Wolno kontrolować Towarzystwo!***
Oryginalne kupony od własnych premjówek na żądanie są niezwłocznie dostarczane!

| | | |
|---|---|---|
| 200,000 | AGENTURA | 8,000 |
| 75,000 | **Plac św. Aleksandra Nr 12** | 6,000 |
| 40,000 | St.-Petersb. Konces. Domu Bank. | 1,000 |
| 25,000 | Towarzystwa | 500 |
| 10,000 | | |

***M. de la FARE & Comp.***
***Sprzedaje pożyczki premjowe I i II emisji i Banku Szlacheckiego.***
***Do zadatkującego od rs. 10***
należy cała wygrana i kupony. Spłata co 30 lub 60 dni od ***rs. 5. Z prowincji gotówkę pocztą.***
Reprezentant **Władysław Hertz**,
b. urzędnik b. Banku Polskiego.
Kantor otwarty ***codziennie od 10 r. do 8 w. nie wyłączając niedziel i świąt.*** 5537

Dr ***Jakób Halpern***, b. lekarz na klinikach zagranicznych. Choroby ***skórne i weneryczne.*** Do 10 r. i od 3—5 po p. Nowy-Świat 36. 5656

ZEGARKI jedynie słynnych fabryk, poleca ***Jan LAUTERBACH,*** 143 Marszałkowska 143. 1355

# NOWA GWIAZDA.----BIELAŃSKA 5.

W poniedziałek, dnia 1 stycznia 1894 roku i dni następnych
***Po raz 1-szy w Warszawie***
KONCERT
## Kroackiej Orkiestry „Sloga"
***na tamburicach w swoich narodowych kostjumach.***
Początek o godz. 8, w niedziele i święta o godz. 7. W dni niedzielne i święta ***koncerty poranne*** od 12—3-ej po poł.
***Wejście bezpłatne.*** 5727

# LEON POLACZEK

przeprowadza legitymacje w heroldji Cesarstwa. Wspólna nr. 30 m. 1, od 4—6-ej. Do „Rocznika szlachty Polskiej" na 1894-ty r. pozostało jeszcze miejsca na kilka monografji, przeto rodziny interesowane zechcą nadsyłać swe papiery możliwie szybko. 5746

***Dr Stanisław Witkowski,*** ordynator klin. ter. szpitalnej, powrócił, Jerozolimska 43, od 4½—6-ej. 5755

— ***Gabinet dentystyczny ZOFJI GUTZMAN przeniesiony. Nowy-Świat nr. 9.*** 5751

# CYRK FRANCUSKI JANA GODFROY

***ul. Ordynacka.***
DZIŚ
## Wielkie świetne przedstawienie.
La Serpentine grand ballet fantasie wyk. p. Weldeman.
Początek o god. 8 wiecz. Szczegóły w afiszach. 5694

— ***Gimnastyczno-leczniczy zakład Korycińskiej Krakowskie-Przedmieście 17.*** 5039

— Herb Brodzic na imię Aleksandra Franciszka syna ***Stanisława Kurzątkowskiego*** i dowód piśmienny zastawiony u D. Z. ulica Piwna nr. 15 mieszk. 6 w Warszawie, uprasza się potomstwo o wykupienie. 5686

# Czytelnia dzieł i pism naukowych

## Jerozolimska 21, róg Brackiej.

Posiada pięć tysięcy dzieł z literatury naukowej i przeszło sto czasopism. Wejście jednorazowe dla czytania książek i pism na miejscu kop. 5; za wypożyczanie do domu książek lub pism miesięcznie kop. 50. Czytelnia otwarta od 11-ej r. —10 w. 5695

**Dentysta P. Klejn** ***Leszno*** 6, od 10 do 2-ej i od 4-ej do 6-ej 5740

**Dr. M. Malcz** **Erywańska 6** od 4—6-ej po poł. 5748

***Kaucjonowane***
**Biuro nauczycielskie**
Pierwszorzędne
**Z. JASIŃSKIEJ**
ul. Świętokrzyzka 15, w Warszawie. 5627

**Życzenia Noworoczne z 1894-go r.** 5697
Zasyłam WW. klijentom życząc wszystkiego dobrego
Paweł Zagrodziński.
***114 Marszałkowska 114***
MAGAZYN OBUWIA.

# Towarzystwo łyżwiarzy

Podaje do wiadomości członków rzeczywistych, iż najbliższe zebranie ogólne tychże członków odbędzie się w d. 14-ym b. m. w lokalu redakcji *Kurjera Warszawskiego*, o godz 12-ej w południe. Porządek dzienny obejmuje: sprawozdanie komitetu, balotowanie kandydatów na członków, wnioski komitetu w przedmiocie działalności klubu, wnioski członków. Członkowie klubu, pragnący czynić wnioski, zechcą składać je na ręce prezesa Towarzystwa do d. 12-go b. m. włącznie. 000

KORESPONDENCJA PRYWATNA.

— Uczennico najdroższa! Co zaszło? Może obraziłem Cię? Przebacz i odpisz! Najserdeczniejsze życzenia Nowego Roku. Twój nauczyciel. 5732

**ROZKŁAD JAZDY POCIĄGÓW.**

| KOLEJ | POCIĄGI | Odch. godziny i minuty | | Przych. godziny i minuty | |
|---|---|---|---|---|---|
| Warsz.-wied. a) do Granicy i Sosnowca | Kurjerski I i II kl. z wagonem sypialnym. . . . | 10 | 5 w. | 6 | 10r. |
| | Pospieszny 3 klasy . . . . | 5 | 40 r. | 10 | 20w |
| | Pocztowy 3 klasy. . . . . | 10 | 20 r. | 7 | 5w |
| | Osob. 3 kl. do Sosnowca. | 3 | 30 pp. | 2 | —pp |
| | Osob. 3 kl. do Piotrkowa | 6 | 50 pp. | 10 | 30. |
| | (Powyższe pociągi łączą się z koleją łódzk. i dąbr.) | | | | |
| b) do Aleksandrowa | Kurjerski I i II kl. . . . . | 4 | 50 pp. | 1 | — pp |
| | Pocztowy 3 klasy . . . . . | 8 | 15 r. | 9 | 15 r. |
| | Osobowy 3 klasy . . . . . | 11 | 15 w. | 4 | 20 r. |
| | Osob. 3 kl. do Skierniewic | 8 | 45 w. | 8 | 25 r. |
| Warsz.-terespolska | Poczt. 3 kl. dla komunik. bezpośr., a 2 dla miejsc. | 3 | 56 pp. | 1 | 25 pp. |
| | Towarowo-osobowy . . . | 10 | 53 w. | 7 | 5 r. |
| | Towarowo-osobowy . . . | 10 | 1 r. | 7 | 21 w. |
| Nadwiślańs. a) do Kowla | Pocztowy 3 klasy. . . . . | 2 | 47 pp. | 3 | 11 pp. |
| | Osobowy 3 klasy . . . . . | 7 | 47 r. | 9 | 56 w. |
| | Osobowy do Iwangrodu . | 11 | 39 w. | 7 | 2 r. |
| | (Powyższe dwa poc. łączą się z koleją dąbrowską). | | | | |
| b) do Mławy | Pocztowy 3 klasy. . . . . | 5 | 31 pp. | 11 | 10 r. |
| | Osobowy 3 klasy . . . . . | 8 | 15 r. | 9 | 38 w. |
| Obwodowa | Osob. z kolei wiedeńskiej | 1 | 52 pp. | 3 | 40 pp. |
| | Osob. z kolei terespolsk. . | 3 | 2 pp. | 2 | 30 pp. |
| Warsz.-petersburska | Pocztowy 3 klasy. . . . . | 9 | 38 r. | 7 | 58 w. |
| | Osobowy 3 klasy . . . . . | 11 | 25 w. | 8 | 8 r. |
| | Osobowo-towarowy 2 i 3 kl. do Białegostoku. . . | 4 | 30 pp. | 6 | 13 r |



# F. WORONIECKI,

Czysta 2, naprzeciw Hot. Europ.
Poleca w przednich gatunkach i w najrozmaitszych odmianach
## Zegarki i Regulatory.
**Wybór bardzo wielki.**
**Ceny nizkie — stałe**
Pracownia wszelkich robót w zakres zegarmistrzostwa wchodzących. 2532

Jarząbki!!! Jarząbki!!! Jarząbki!!!
Oczekiwane — Nadeszły
TANIO SPRZEDAJE 2596
na pary i na pudy.
Marszałkowska Nr 147, m. 12.

Magazvn Mód
**M. SZMIGIELSKIEJ,**
**Bracka № 12,**
poleca najmodniejsze i najgustowniejsze kapelusze damskie, począwszy **od 2 rubli.**
Tamże na nadchodzący karnawał przygotowano znaczny wybór **Domin i Kostjumów, od rs. 1.** 1339r

# Wyprzedaż Win.

Pozostałe ***stare Węgierskie Wina*** w znacznej ilości butelek po śmierci ś. p. Jana Zimermann, ***wyprzedają się po cenie zniżonej.*** Krakowskie-Przedmieście Nr 30 (Pałac Hr. Uruskich), u
1340r **Karola Zimermann.**

CENNIKI GRATIS I FRANCO.
ŁYŻWY
DAMSKIE I MĘZKIE
W WIELKIM WYBORZE
PO CENACH UMIARKOWANYCH
POLECA
LUDWIK HILKNER
KRAKOWSKIE PRZEDM. N:5 TELEFON. N:555.



1217r

# Weana Frücht'l

(Kwiatek wiedeński),
**najnowszy Walc,**
przez **Alfonsa Czibulkę.**
Cena kop. 50. 2604
Nakład J. Guranowskiego, Senatorska № 32.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.




W Maju 1893 roku zmarła we wsi Siedlcach

# Emilja Kędzierska,

wdowa po Józefie Kędzierskim, córka Karol[a] i Magdaleny z Germońskich małżonków Aue[r], pozostawiwszy spadek rs. 1,500. Mający pr[a]wo do rzeczonego spadku, zgłosić się zechc[ą] do Adwokata Przysięgłego Józefa Łukom[-]skiego, mieszkającego w Warszawie, prz[y] ulicy Świętojerskiej № 26, między 6 a 7 p[o] południu, codziennie z wyjątkiem świąt.
2511

# NA ZŁAMANIE KARKU.

Powieść współczesna **Adolfa Dygasińskiego,**
wyszła z druku i sprzedaje się we wszystkich księgarniach po **rs. 1 kop. 20**, z przesyłką **rs. 1 kop. 50**. Zamówienia z prowincji uskuteczniają się także i za zaliczeniem pocztowem: 1145r
**Skład główny u S. LEWENTALA,**
**Wydawcy, Nowy-Świat № 41.**
Wydawnictwo „*Kurjera Warszawskiego*"

**Potrzebny od każdego czasu** LOKAL,
z obszernem podwórzem na fabrykę, bez siły parowej oraz 2 pokoje mieszkalne.—Oferty złożyć w Biurze Ogłoszeń, Senatorska 26, pod Fabryka 2605

# APTEKA

blizko Warszawy, do sprzedania na dogodnych warunkach.
Wiadomość u Hoyera, Senatorska 28. 2601

**Złoty Medal 1885 r.**
**KASSY** ogniotrwałe Roberta Bohtego,
**Nowy-Świat № 34.**
**SPECJALNA FABRYKA**
nagrodzona medalami na wystawach Europejskich i Amerykańskich.—Wyrób pierwszorzędny.—Ceny nizkie, znaczny wybór.—Cenniki z rysunkami wysyłają się bezpłatnie 1922

CZYSTA 4.

# A. WŁODKOWSKI

POLECA NA

# KARNAWAŁ świeżo otrzymane NOWOŚCI

Z osobistych zakupów w **Paryżu**, jako to:

Gaze **goufrette** we wszystkich kolorach.
" **Chiffonnette** " "
**Siamois ondulé** " "
" " **broche**
**Volant ondulée** "
**Mousseline ondulée** we wszystkich kolorach.
Gaze **ondulé** w paski.
" **pompadour gaufrée.**
Tulle **gotique** czarny.
Mousseline **à pois** bawełniane.

**Plusze i Aksamity** we wszystkich jasnych kolorach.
**Adamaszki i Brokatele.**
**Etincelle** we wszystkich kolorach.
**Faille de France** " "
**Crèpe de Chine** " "
**Tricotine soie** " "
Materyjki **fantazyjne.**
**Koronki i grenadiny** czarne.
**Kanausy i atłasy** pod suknie **balowe.** 1358r

Wełny **Crêpe nouvauté.**
" **Crêpon** we wszystkich kolorach.
" **Gaufrette** " "
" **Siamois** " "
" **Bengaline** " "
Voile w **paski** " "
" w **desenie** " "
Wełny **panama** półjedwabne we wszystkich kolorach.
**Drap de dame i chevi t.**
**Specjalne** wełny na **Sor ie de bal.**

NIEBYWAŁY WYBÓR. CENY PRZYSTĘPNE.

Rok XI wydawnictwa. **ECHO** Rok XI wydawnictwa.

muzyczne, teatralne i artystyczne,

**jedyny** tygodnik, poświęcony sprawom **sztuki i literatury pięknej,** zamieszcza:

Powieści, nowelle, komedje, monologji, rozprawy estetyczne, sylwetki autorów scenicznych, muzyków, pisarzy, malarzy, portretuje działaczy społecznych, ilustruje chwilę bieżącą i informuje w rzeczach muzyki, udziela pedagogicznych wskazówek uczącym się i nauczającym muzyki i wszystkie swe działy prowadzi ku pożytkowi i rozrywce czytelnika. Rocznie daje przeszło **100** arkuszy tekstu i **200** illustracyj.

W dziale **nutowym,** wynoszącym rocznie przeszło **100** arkuszy nutowych, umieszcza utwory kompozytorów polskich i zagranicznych na fortepian na **2** i **4** ręce, skrzypce, wiolonczelę i do śpiewu, w łatwiejszym i trudniejszym układzie. Te ostatnie, wybierane z baczeniem na wartość pedagogiczną i starannie palcowane. Opery, Operety, sonaty, morceaux de salon, etiudy, tańce, romanse, arje,—wszelkie rodzaje kompozycyj muzycznych, otrzymuje abonent **Echa** w stałych dodatkach nutowych.

W **Echu** spółpracują najpierwsze pióra polskie. Pomiędzy powieściami: Klemensa Junoszy, Hajoty, M. Wołowskiego i innych, oraz komedjami i monologami na teatr i estrady amatorskie K. Zalewskiego, Z. Przybylskiego, Z. Mellerowej, M. Frenkla, A. Mieszkowskiego i in., **Echo** da z początkiem roku

powieść **Marjana Gawalewicza „NICZYJA"**

oraz Ferdynanda Hösicka **„Sonatę cis-mol Bethovena".**

**Prenumerata ECHA wynosi:**

w Warszawie kwartalnie rs. **2,**—rocznie rs. **8.** Na prowincji i w Cesarstwie kwartalnie rs. **2 k. 50,** rocznie rs. **10.**

Opłacający **rocznie** z góry, mają prawo do następujących

**PREMJÓW BEZPŁATNYCH:**

Nr 1. **Partycje fortepianowe dwu oper najnowszych:**
a) Józef Verdi **„FALSTAFF."** b) Rug. Leoncavalo **„PAJACE."** (Przesyłka kop. 60).

Nr 2. **Pięć tomów dzieł Klemensa Junoszy,** zawierających utwory następujące:
**Tom I.** Nieruchomość № 000. — Córeczka pani Maciupskiej. — Pan Metr. — Mała Patti. — In minus. **Tom II.** Słup. — Dzieci pana Radcy. — Pani z pieskiem.—Złote Jabłko.—Wojtek Węcior.—Muzykanci.—Niekosztowna kuracja.—Lekcje tańca. **Tom III.** Panowie Bracia—szkic z życia szlachty zagonowej. **Tom IV.** Pod wodę—obraz z życia wiejskiego. **Tom V.** Oryginał z Piskorzewa.—Folwark do sprzedania.—Spekulacje pani Milskiej.—Icek podwójny. (Przesyłka rs. 1). **Premjum w każdej chwili jest do odbioru.**

Nr 3. **Encyklopedja dla dzieci,** jedyny nietylko w **naszej** lecz i w **obcej literaturze** podręcznik dla młodzieży, obejmujący **objaśnienia i wskazówki** w formie przystępnej, z dziedziny **wszystkich wiadomości,** Zdobi je 151 rysunków Przesyłka 60 kop.)

**ADRES REDAKCJI ECHA, Warszawa, Senatorska 26.**

**Numery próbne wysyłaja się na żądanie.** 0000

Starożytności do sprzedania

**Skład Herbaty**

**J. Z. Ratyński,**

**Trębacka № 4.** 2619

Dnia 26 Grudnia r. b. na stacji „Warszawa" kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, uroniono

**Pugilares,**

zawierający rozmaite papiery, paszport, książeczkę legitymacyjną i bilet wejścia do fortecy Iwangrodzkiej, na imię Szmula Majera Spinki.—Uprasza się łaskawego znalazcę o zwrot powyższych papierów do M. Spinki, róg Nowego-Światu i Ordynackiej pod № 13, za nagrodą rs. 3. 1371r

# OGŁOSZENIE.

Dnia 23 Grudnia (4 Stycznia) o godzinie 10-ej zrana, odbywać się będzie licytacja na dostawę mięsa w roku 1894 dla rot pułku Wołyńskiego Lejb-Gwardji.—Życzący podjąć się pomienionej dostawy, raczą się zgłaszać do kancelarji pułkowej w Koszarach Mostowskich, Nowolipie № 2. 2612

# Szczecinę

zakupuję.

Oferty z próbkami i ceną proszę składać **w Biurze Ungra, Warszawa, Wierzbowa 8.** 1365r

! PREMJUM ! na rok 1894

# ! PREMJUM !

**na rok 1894.**

Prenumeratorowie wnoszący całoroczną opłatę (rs. 6 w Warszawie i rs. 8 na prowincji) za

# „OGRODNIK POLSKI"

wprost w Redakcji, Mazowiecka 11, otrzymują **Premjum** wartości półrocznej warszawskiej prenumeraty „Ogrod. Pol." — w nasionach warzywnych (Nr I), lub kwiatowych (Nr II), lub też warzywnych i kwiatowych (Nr III), stosownie do życzenia. Dobory te zawierają odmiany najważniejsze i w ogrodzie najpotrzebniejsze. 1234r

! PREMJUM ! na rok 1894

Księgarnia GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie, 1364r

poleca następujące prace historyczne

## Aleksandra Kraushara:

**Olbracht Łaski,** wojewoda sieradzki. Wizerunek historyczny na tle dziejów XVI wieku. Dwa tomy . . . . . rs. 3.—
**Czary na dworze Batorego.** W ozdobnej oprawie . . . . . rs. 2.60
**Sprawa Zygmunta Unruga.** Epizod historyczny z czasów saskich. 2 t. . . rs. 3.—
**Siedmiolecie Szkoły Głównej Warszawskiej** . . . . . rs. 2.—
**Odwieczny spór o granice** między dobrami Bolesław a miastem Olkuszem . rs. —.40
**Drobiazgi historyczne.** Serja II-ga . . . . . rs. 1.80
**Samozwaniec Jan Faustyn Łuba** . . . . . rs. —.60
**Barbara Brezianka** . . . . . rs. —.60
**Dzieje Krzysztofa z Arciszewa Arciszewskiego,** admirała i wodza Holendrów w Brazylji, starszego nad armatą koronną za Władysława IV-go i Jana Kazimierza. Dwa tomy . . . . . rs. 4.—
**Nowe epizody z ostatnich lat życia Imci Pana Chryzostoma z Gosławic Paska** . . . . . rs. 1.—



# 4711 WODA KOLOŃSKA

# WODA KOLOŃSKA

**z etykietą**

## ZIELONO-ZŁOCISTĄ.

Jest do sprzedania we wszystkich znaczniejszych Perfumerjach i Składach Materjałów Aptecznych w Rossji.

Żądać należy: **Etykiety Zielono-Złocistej.**

**!! Strzedz się wyrobów podrobionych !!**

Skład u **Józefa Kowalskiego** w Warszawie. 1367r

---

Do wydzierżawienia zaraz

## BUDYNEK FABRYCZNY,

tamże

## Kocioł, Maszyna parowa

oraz transmisja do sprzedania.—Ulica Chłodna 55, w kantorze. 1366r

---

## Pracownia Kwiatów
## J. Kozłowskiej

*Senatorska Nr 8.* 2597

Poleca się na karnawał szanownym Paniom

**Ceny nizkie**

---



**Istniejąca od roku 1856**

## Parowa Fabryka Musztardy
## A. SCHWEITZER,



**Królewska 23**, znanej dobroci wyrób swój, **sprzedaje** na garnce, kwaterki i słoiki i tenże poleca. 1342r

---

# Fabryka Haftów Mechanicznych
# LEOPOLD LULLA,

## Miodowa № 1, róg Senatorskiej,

poleca na składzie: **Galony, Taśmy, Koronki** haftowane na gazie oraz strojne **Sortie de bal.**

Przyjmuje również wszelkiego rodzaju **hafty maszynowe** na powierzonych towarach, jako to: **Okrycia, Suknie, Monogramy** i t. d. 2235

**Dla Magazynów** odstępuje się **RABAT.**

---

**WARSZAWSKIE BIURO KOMISOWE, OGŁOSZEŃ I UNGRAI**

Krakowskie-Przedmieście № 9, róg Królewskiej, 1 piętro.—Telefonu № 734. 2077

**Przyjmuje wszelkie towary w komis. Tamże nabywać można meble, antyki i wszelkie inne przedmioty.**

---



## FABRYKA MEBLI BAMBUSOWYCH
## MAGAZYN JAPOŃSZCZYZNY

2603




## M. STANKIEWICZ

**ULICA** TRĘBACKA róg Nowo-Senatorskiej

POLECA

**W NIEBYWAŁYM DOTĄD WYBORZE,**

PO CENACH BARDZO UMIARKOWANYCH

**OBOCZNIE WYMIENIONE TOWARY**



---

## Nauka i wychowanie.

**A. Skwarecka** Leopoldyna, właścicielka szkoły kroju i szycia egzystującej od lat 6-u zawiadamia, iż otrzymawszy potwierdzony przez prefekturę paryzką dyplom z pierwszej szkoły kroju w Paryżu, będącej pod zarządem P. Abla Goubaud, dyrektora wydawnictwa „Le Moniteur de la Mode" przyjmuje jak dawniej uczennice. Przy szkole pracownia sukien i okryć. Plac św. Aleksandra 14—5. 45490

**Artystyczno**-rzemieślnicza szkoła żeńska Jadwigi Przewóskiej, Niecała 10, nagrodzona medalami za najlepsze wykłady rzemiosł i najzgrabniejszy krój. Dla przyjezdnych pospieszne kursa. Pensjonarki przyjmują się. Przy szkole pracownia sukien i kapeluszy. 40662

**A. Poprawia** charakter pisma w krótkim czasie kaligraf, Mikołaj Friedmann, Zgoda 7, od 4-ej do 8-ej. 45482

**A) Szkoła** kroju i szycia Eufemji Pilniakowskiej zasługuje na szczególną uwagę, jako jedynej w Warszawie uczennicy słynnego w Paryżu „Wortha". Wiele osób uczących się w innych szkołach rozmaitemi metodami, przychodzi do mnie prosząc o powtórną naukę, a wtedy dopiero są w możności zapewnienia sobie bytu niezależnego, gdyż krój rzeczywistą metodą Wortha jest tylko w mej szkole, a wiadomo, że jest najłatwiejszym i najpiękniejszym w kraju i Cesarstwie. Przy szkole pracownia sukien. Zapis uczennic codzienny. Ul. Nowy-Świat № 59, m. 6. 45608

**A) Za** pół ceny tylko jeden kurs galanterji w roku, dla rozpowszechnienia tego korzystnego rzemiosła, na moich materjałach.—Zapisy przyjmują się zaraz. Żeńska szkoła rzemiosł Jadwigi Przewóskiej, ulica Niecała 10. 45442

**A. Szkoła** kroju, szycia, Emilji Ehrenkeutz uczennicy Worth'a, Zgoda 8. Zapisy każdodziennie, Pensjonarki przyjmuję. 45530

**Buchalterji** i rachunkowości handlowej nauczyciel S. Rogulski Niecała 4. 45538

**Była** nauczycielka przyjmuje na stancję kształcące się panienki. Konwersacja francuska, fortepian. Ulica Warecka 15, Jagodzka. 45529

**Czytelnia** „Nowości", zaopatrzona w najświeższe dzieła naukowe, beletrystyczne i dziecinne. Warunki przystępne. Nowy-Świat № 21. 44880

**Doświadczona**, dyplomowana nauczycielka (specjalność polski) przeprowadza całkowitą edukację panienek. Chmielna 35, mieszkania 8. 45541

**Francuzka** udziela lekcyj i konwersacji, z russkiem i polskiem tłómaczeniem. Nowo-Senatorska 6, sklep warszawski. 45121

**Filolog**, uczeń ostatniego kursu szkoły Kronenberga poszukuje lekcyj. Interesowani raczą nadesłać adresy Grzywaczewskiemu: Żórawia 25. 45357

**Konwersacja** francuzka, niemiecka 2 rs. Angielska. 3 Miodowa, oficyna 25. 44682

**Muzyki** i korepetycyj udziela nauczycielka z patentem. Mostowa 16, m. 16. — Tamże fortepian dobry do sprzedania. 45600

**Nauczycielka** polka, znająca gruntownie język francuski, poszukuje lekcyj. Mogą być za obiady. Oferty „Irena" przyjmuje kantor Kurjera. 45588

**Niemieckiego** konwersacji udzielam, załatwiam korespondencję oraz tłómaczenia. Ordynacka 16—16. 45321

**Nauczycielka** posiadająca patent konserwatorjum, następnie uczennica prof. Michałowskiego, udziela lekcyj muzyki. Warecka № 10, m. 5. 44869

**Nauczycielka** wyższa, specjalnie matematyki udziela lekcyj, korepetycyj, oraz przysposabia do szkół. Leszno 49, m. 20. 45403

**Osoba** młoda, russka, z patentem gimnazjalnym, życzy sobie dawać lekcyj lub korepetycyj. Wiadomość: ulica Wilcza № 38, m. № 1. 45363

**Poważny**, energiczny pedagog, nauczyciel rządowych i prywatnych średnich zakładów naukowych, przysposabia specjalnie do egzaminów wstępnych i przejściowych, od stycznia może przyjąć kilka godzin lekcyj lub korepetycyj w inteligentnym, zamożnym domu izraelskim, za mieszkanie (kawalerskie) z utrzymaniem, dopłatą lub bez. Łaskawe oferty proszę adresować: kantor Kurjera Warsz. sub „Edukacja i nauka." 45604

**Szkoła** rzemiosł żeńska Korycińskiej, Krakowskie-Przedmieście 17, iż zapisy przyjmuje na krój, sukien, bielizny, szycie, stroje, pończosznictwo, haft, rękawicznictwo, krawaty, rysunki, litografję, metalorytnictwo, helominjatury, malaturę, wypalanie, koszykarstwo, introligatorstwo, tkactwo. Pensjonarki przyjmuje. 44814

**Student** 4-go kursu matematyki, posiadający niemiecki, poszukuje lekcyj lub korepetycyj. Wspólna 32, m. 1. 44755

**Tanie** lekcje fortepianu, skrzypiec, harmonji, systemem konserwatorjum.—Fortepian wydzierżawiam godzinami kop. 5, strojenie. Nowy-Świat 1, mieszkania 12. 43637

**W zakładzie** froeblowskim Marji Chełmońskiej, Ciepła 5, zajęcia rozpoczną się 2-go stycznia. 45490

**W szkole** Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej, Szkolna 8, pod kierunkiem artystów malarzy Feliksa Cichockiego i Bronisława Wiśniewskiego, odbywają się lekcje rysunków z gipsów, z natury i żywych modeli, lekcje malarstwa oraz sztuki stosowanej w najobszerniejszym zakresie. Semestr (półrocze) lekcyj rysunków rs. 10. Szkoła przyjmuje pensjonarki. 2832r

**W Łodzi** biuro nauczycielskie W. Rościszewskiej, Dzielna 4, rekomenduje nauczycielki i [illegible] różnej narodowości. 2837r

**[illegible]** froeblowski Marji Keller, Senatorska 11. Zajęcia rozpoczynają się 3-go stycznia. 45421

**Wyuczam** kroju systemem Worth'a. Kurs rubli 10. Chłodna 40—16. 44964

## Posady i prace.

### a) Poszukiwane.

**Angielka** będąca na demi-place ma parę godzin wolnych. Rekomendacje wyjątkowe. Koszykowa 19, m. 4, od 2—4-ej. 44062

**Francuzka** wykształcona poszukuje demi-place. Oferty w Kurjerze Warszawskim sub „B. K. 46." 45619

**Jakiegokolwiek** zajęcia poszukuje człowiek prawy, z chlubnemi świadectwami, piszący w języku polskim i russkim. Gwarancja na żądanie. Wąski Dunaj 20, m. 7. 45469

**Młody** człowiek, lat 16, z czteroklasowem wykształceniem, z niemieckiej rodziny, władający dokładnie językami polskim, russkim i niemieckim, poszukuje miejsca jako praktykant. Oferty składać proszę w kantorze Kurjera Warsz. pod H. S. 45335

**Młody** człowiek, lat 25, inteligentny, obeznany cokolwiek z handlem i mogący przedstawić gwarancję nieruchomą na kilkanaście tysięcy rubli, poszukuje zajęcia. Łaskawe oferty przyjmuje Kurjer dla „Obeznany." 45603

**Ogrodników** uzdolnionych, przy najlepszych rekomendacjach, poleca oddział rekomendacyjny Kantoru Komisowego, Nowosenatorska 6. 43400

**Osoba** młoda, energiczna, z gimnazjalnem wykształceniem, językami, muzyką, poszukuje zajęcia. Przechodnia 5, m. 15, 7—9-ej wieczorem. 45383

**Paryżanka** niezamożna, jadąca do Paryża, ofiaruje się jako towarzyszka do podróży.—Wiadomość: Grzybowska 19, cukiernia. 2834r

### b) Zaofiarowane.

**Buchalter** i korespondent doświadczony, biegły w języku niemieckim, potrzebny do interesu towarowo-komisowego. Wymagania i opis przeszłości składać pod lit. J. S. w kantorze Kurjera. 45508

**Do magazynu** Pauliny Szubert, Erywańska 16, potrzebne zdolne staniczarki i upinaczka. 45587

**Do zarządu** parową maszynową cegielnią pod Łodzią potrzebny jest zaraz energiczny człowiek, znający się dokładnie na cegielnictwie. Wyczerpujące oferty sub „J. K. 3" przesyłać do kantoru Kurjera Warszawskiego w Łodzi. 2835r

**Do zakładu** optycznego Berenta i Plewińskiego, Krakowskie-Przedmieście 61, potrzebny jest uczeń do sklepu. Pożądane jest świadectwo ukończenia 4-ch klas. 45316

**Do gorsetów** potrzebne zdolne maszynistki oraz hafciarki. Pracownia gorsetów „Nelly", Nowy-Świat 45. 45366

**Dziewczęta** znające introligatorstwo mogą znaleźć zajęcie. Przejazd № 7, fabryka perfum. 44936

**Ogrodnik** żonaty potrzebny do warzywa, w Zaciszu, za Pragą. 45355

**Potrzebne** maszynistki, podręczne i uczennice do drobiazgów. Leszno 63, mieszkania 15. 45424

**Poszukuję** młodej, wykształconej osoby do towarzystwa, za mieszkanie i życie. Oferty przyjmuje kantor Kurjera Warszawskiego pod wyrazem „Towarzyszka." 45434

**Potrzebna** jest dziurkarka do bielizny. Ul. Kościelna 9, m. 1. 45323

**Poszukuje** się panienki umiejącej szyć rękawiczki. Wiadomość: Żabia 8, mieszk. 8, w godzinach od 1 do 4-ej po poł. 45436

**Potrzebna** panna do haftu. Piwna 17, mieszkania 6. 45296

**Potrzebne** podręczne i uczennice. Ul. Ciepła № 9, mieszk. 6. 45388

**Panny** bardzo zdolne do staników i zdolne podręczne do spódnic i rękawów potrzebne zaraz. Chmielna 62, m. 2. 45381

**Potrzebna** jest przyzwoita młoda osoba, przyjemnej powierzchowności, do zarządu domem. Bliższe informacje na miejscu, Warecka № 9, m. 25. 45001

**Potrzebne** prasowaczki do koszul na wyjazd. Wiadomość: ulica Biała № 2, mieszkania 18. 45379

**Potrzebne** są zaraz zdolne spódniczark oraz podręczne do pracowni sukien Wanda Złota № 4. 45488

**Potrzebny** zecer zaraz. Drukarnia E. Kędzierskiej, Miodowa № 8. 45478

**Potrzebna** bona niemka, umiejąca po russku, jak również dobrze szyjąca krawieczyznę. Miodowa № 20, od 6 do 8-ej wieczorem, do redakcji „Warszawskiego Dniewnika." 45570

**Potrzebne** są panny zdatne do staników i do spódnic do magazynu „Deux amies", ul. Świętokrzyzka 31. 45596

**Potrzebny** jest zaraz do zarządu sklepem spożywczym w Olkuszu doświadczony subjekt, kawaler. Szczegółów udzieli prezes stowarzyszenia, Sieńczewski. 45635

**Potrzebna** panna do kroju i szycia, kompletnie uzdolniona. Pawia 25, u rządcy. 45528

**Staniczarki** zdolne potrzebne do magazynu „Au Printemps", Erywańska № 8. 45332

## Kupno i sprzedaż.

**A. Girlandy** ślubne najpiękniejsze w pracowni kwiatów sztucznych. Ulica Długa № 19. 45557

**A. Z powodu** likwidacji interesu sprzedaję maszynę do piwa, tremo, lustra, portjery, firanki, eleganckie dekoracje myśliwskie, stosowne do gabinetu. Karmelicka 3, restauracja. 44951

**Adres**: Trębacka № 3. Magazyn Zaorskiej kupuje wszelką używaną garderobę. 4539[illegible]

**Antiquités.** Nowootworzony magazyn, Królewska 3 (drugi dom od Krakowskiego-Przedmieścia), A. Maliński, posiada do sprzedania rozmaite staroświeckie przedmioty, w liczbie których jest parę unikatów. Magazyn specjalnie wyrabia gustowne ramki i okładki do książek ze starożytnych materyj, polecając wybór takowych w kawałkach.

**A) Kupuje** po cenach najwyższych: gobeliny, makaty, miniatury, wyroby ze srebra i złota emaljowane, pasy polskie lite i jedwabne, tabakierki, kryształy, meble i bronzy stylowe, ryciny, kawałki materyj, zbroje, ryngrafy, wykopaliska. 45467

**Do sprzedania** kilka sukien i okrywka balowa. Chmielna 8, mieszk. 6. 45340

**Do sprzedania** elki nowe paltową robotą z kołnierzem bobrowym, palto na oposach.—Miodowa № 14, sklep krawiecki Piotrowskiego. 45313

**Fortepian** doskonały, mało używany, do zbycia. Krakowskie-Przedmieście 41, mieszkania 1. 45548

**Fortepiany** dobre Bekkera, Małeckiego sprzedam tanio. Nowy-Świat № 64, Granke. 45546

**Fabryka** powozów M. Sejdemana, Leszno 52, sprzedaje faetony, wolanciki, sanki używane moskiewskie, bryczek dwie, jedna z tych na spodzie powozowym. 45616

**Fortepian** krótki, czarny rs. 80 sprzedaję.—Nowy-Świat 9, Grabowski. 45621

**Fortepiany**, pianina kupuję, reparacje wszelkie, strojenia przyjmuję i na prowincji.—Nowy-Świat 9, Walery Grabowski. 45620

**Fortepian** do wynajęcia rs. 3 miesięcznie.—Wspólna 12, rządca domu. 45630

**Fortepian** krótki, czarny, o siedmiu oktawach, za 250 rs., pozytewka dla kanarków nowa za 4 rs., latarnia czarnoksięzka duża, figus okazały tanio do sprzedania. Żelazna 48, mieszk. 20, rano 8—$9\frac{1}{2}$ i po południu od 2-ej do 10-ej. 45074

**Garnitur** mebli rs. 58, garnitur 35, otomana 18 rubli. Widok 22—24. 45617

**Garniturek** fantazyjny czarny rzeźbiony, pluszem kryty, otomana, garnitur orzechowy salonowy dobrej roboty, stoły. Marszałkowska 115—10. 45302

**Jest** do odstąpienia urządzenie sklepowe.—Wiadomość: Świętokrzyzka № 15. 45315

**Jest** do sprzedania klawikord na 6 oktaw w kształcie długiego stołu za cenę rs. 25.—Ulica Piękna № 23, m. 9. 45629

**Koni** para ze wsi do sprzedania. Aleje Jerozolimskie 68, stangret Franciszek, do 1-ej codziennie. 45502

**Kasy** ogniotrwałe najtańsze w specjalnej fabryce, egzystującej od 1863 roku, Stanisława Baumgart, Grzybowska 62, dawniej Chłodna 40. 44976

**Kupuję** fortepiany, pianina używane, płacę dobrze. Nowy-Świat 64, Granke. 45547

**Lando** z gumowemi i zwyczajnemi kołami, para ogierów rasowych. Ulica Włodzimierska 16. 45382

**Lokomobila** potrzebna jest nowa albo używana w dobrym stanie, o sile 16 koni.—Wiadomość: ulica Chłodna № 8, u Mühlsteina. 45145

**Meble za bezcen!** Garnitur czarny, orzechowy, lustra, rozmaite inne meble, szafy, kredens, stół, krzesła, biuro, szeslongi, firanki.—Nowogrodzka 28, pierwsza brama od Marszałkowskiej, u właściciela domu. 44615

**Meble.** Makow, Solna 9, duży wybór mebli rozmaitych, nowych i używanych, kompletne urządzenia lub pojedyńcze sztuki. Robota trwała. Ceny tanie. 45477

**Meble** różne, wielki wybór, pozostały jeszcze do sprzedania niepraktykowanie tanio. Krakowskie-Przedmieście 20, m. 15. 45553

**Meble** po zwiniętym magazynie, rozmaite garnitury, otomany, szafy, szeslongi, kredensy biura i inne, po jaknajniższych cenach. Świętokrzyzka 16, m. 13. 45558

**Meble:** garnitur czarny, fantazyjny, otomana, szeslong. Plac św. Aleksandra 13, tapicer. — Przyjmuję obstalunki, przerabiania. 45605

**Meble** salonowe, buduarowe, otomanę sprzedam tanio, robota dokładna. Jerozolimska 58, tapicer. 45559

**Otomanę** ładną i biurko sprzedam tanio.—Bielańska № 20, m. 2. 45589

**Pianino** piękne, futro damskie rs. 15. Daniłowiczowska 16, m. 24. 45015

**Pianino** czarne, zupełnie nowe, tanio do sprzedania. Marszałkowska 116—5. 45207

**Pianina** nowe krzyżowe, w jednolitej ramie metalowej, do sprzedania. Nowy-Świat 66, Janiszewski. 45068

**Sprzedaję** i kupuję garderobę damską mało używaną. Hoża 8, m. 11. 45404

**Szafę**, stoły, sofę, zegar pod kloszem sprzedam. Chmielna 33—13. 45205

**Sprzedam** wóz węglarski, wózek dwukołowy i chomonto. Ulica Leopoldyny № 12, skład węgla. 45042

**Wołów** roboczych 20 do sprzedania. Rudzienek p. Nowo-Mińsk. 45030

**Z powodu** wyjazdu do sprzedania otomana i różne meble za przystępną cenę. Wilcza 18, mieszk. 32. 45365

## Interesa handl. i majątk.

**A) Sprostowanie.** Ogłoszenie pomieszczone w № 354 „Kurjera Warszawskiego” dnia 23-go grudnia r. b. o sprzedaży z powodu wyjazdu zakładu krawieckiego A. Zasadzińskiego, Świętokrzyzka 19, jest podstępem złośliwych konkurentów, gdyż ja nie wyjeżdżam i zakładu nie myślę zwijać. O czem mam honor zawiadomić szanownych moich kundmanów.—Antoni Zasadziński. 45408

**A. Kapitały** wypożyczam, nabywam lub ubezpieczam. Oferty przyjmuje Kurjer „Janowi.” 45407

**Do hurtowego** składu wódek russkich w Warszawie potrzebny jest wspólnik z kapitałem od 10 tysięcy rubli. Oferty przyjmuje Kurjer Warsz. sub „Moskwa.” 45423

**Jest** do sprzedania dom z nowoczesnemi wygodami, w środku miasta, na 10%. Wiadomość: Plac św. Aleksandra № 9, m. 21. 45317

**Kupię** dom w dobrym punkcie w cenie 20 do 25 tysięcy rubli. Oferty pod literami W. A. przyjmuje kantor Kurjera. 45601

**Kocioł** parowy stojący, używany, w dobrym stanie, o sile 10 do 20 koni, z maszyną lub bez, potrzebny zaraz. Oferty składać w kantorze łódzkim Kurjera Warszawskiego pod lit. F. V. 2838r

**Kawiarnia** do sprzedania zaraz, w dobrym punkcie, dobrze procentująca, z powodu nagłego wyjazdu. Cena przystępna. Wiadomość: kiosk na Podwalu. 2845r

**Mydlarnia** do sprzedania z powodu wyjazdu, tanio. Wiadomość: Erywańska № 7, „Lux.” 45339

**Magle** do sprzedania z powodu zmiany interesu. Ul. Marszałkowska № 95. 45527

**Na dogodnych** warunkach sprzedaję zaraz sklep bieliźniarsko - galanteryjny z firmą kilkoletnią wyrobioną. Wiadomość w magazynie „Stella”, 139 Marszałkowska 139. 45037

**Plac** z planami na budowę do sprzedania. Właściciel domu, Leszno 88. 43163

**Restaurację** sprzedam za 500 rubli. Wiadomość: Sienna 22, w restauracji. 45286

**Sklep** wędlin przy ulicy pryncypalnej, egzystujący od lat 15, targ dobry, jest do sprzedania. Wiadomość: ulica Wspólna № 31, m. 1, od 4 do 8-ej po południu. 45312

**Sklep** spożywczy do sprzedania za rs. 100.—Twarda 34. 45606

**Skład** węgli do sprzedania. Wiadomość: ul. Solec № 70, m. 6. 45373

**Sklep** spożywczy dający utrzymanie z powodu wyjazdu jest do sprzedania zaraz bez pośrednictwa. Tamże maszyna Singera nowa i inne przedmioty. Ulica Krochmalna № 44. 45376

**Sklep** do sprzedania. Chmielna 72. 45455

**Sklep** spożywczo - dystrybucyjny jest do sprzedania z powodu wyjazdu, przy ulicy Leszno № 55. 45320

**Sklep** spożywczo-dystrybucyjny z powodu otrzymania posady jest do sprzedania. Freta № 32. 44933

**Sklep** spożywczy do sprzedania za przystępną cenę z powodu niemożności prowadzenia jednej osobie. Ulica Piwna № 16. 45306

**W mieście** Pułtusku do sprzedania dom murowany jednopiętrowy z oficynami, piekarnią z dwoma piecami, frontem oraz ogrodem owocowym i warzywnym; dochodu 1,300 rs. Wiadomość: Bugaj № 8, u Grochowskiego. 45319

**Z powodu** wyjazdu sprzedaje się dystrybucję w najlepszym punkcie, przy ulicy Trębackiej № 2. 44973

**Z powodu** niemożności prowadzenia fabryki i sklepu, sklep z towarem do odstąpienia.—Kapitał od 3 do 4 tysięcy rubli. Fachowość nie potrzebna. Wiadomość: ul. Nowolipie № 39, m. 2, między 2 a 3-ią lub od 8-ej wieczorem. 45336

**1,000** do 3,000 rs. potrzeba do interesu korzystnego, bez pośrednictwa.—Gwarancja pewna. Oferty: Kurjer pod „Zaraz.” 45208

**70,000 rubli** wypożyczę zaraz po Towarzystwie razem lub częściowo. Wspólna 50, m. 2, od 4—7-ej. 45483

**12,000 rubli** na 6% poszukuje się na majątek ziemski dla spłacenia Towarzystwa K. Z. Tamże jest do zbycia 1,000 centnarów siana oraz potrzebny ogrodnik-pszczelarz, kawaler. Oferty poste-rest. Rawa B. J. gub. piotrkowska. 45113

## Lokale.

**A. Wróblewski** i S-ka zakład przewozowy, Trębacka 13, Filja Nowy-Świat 12. Załatwia przeprowadzki, opakowania, przewóz mebli. 2676r

**A. Mieszkanie** dobrze świeżo umeblowane—kwartalnie, 4 pokoje, front, kuchnia, skanalizowane. Wiadomość od 12—4-ej, Erywańska 14—6. 45571

**Do wynajęcia** pokój ładny, z osobnem wejściem, front, 1-e piętro. Świętojańska № 2, mieszkania 3. 45130

**Dwa** pokoje z przedpokojem do wynajęcia od 15-go stycznia. Kotzebue 2, mieszkania 8. 45497

**Do wynajęcia** zaraz 3 albo 2 pokoje, z oddzielnem frontowem wejściem. Niecała 12, stróż wskaże 45545

**Do wynajęcia** na hotel lub pokoje umeblowane, na 3-m piętrze, 20 pojedyńczych pok. Gęsia 33. 44679

**Do wynajęcia** pokoik przy familji, dla kobiety, za przystępną cenę. Może być z całodziennem życiem. Wiadomość: ul. Grzybowska № 23, m. 3. 45314

**Do odnajęcia** od 9 stycznia pokój umeblowany, z przedpokojem, frontowy, parterowy, z usługą, dla spokojnego lokatora. Nowogrodzka 11, m. 2. 45368

**Dla** przyzwoitej kobiety pokoik frontowy, 1-e piętro, 6 rs. miesięcznie, od 8 stycznia. Jerozolimska 79, za koleją, stróż wskaże. 45369

**Dla uczennicy** Konserwatorjum pokój duży umeblowany, z opałem, usługą i całodziennem utrzymaniem, za połowę ceny.—Nowy-Świat 28, mieszkania 4 (parter). 45622

**Jest** do wynajęcia stajnia na 2 lub 3 konie. Marszałkowska 131. 45326

**Jeżeliby** kto życzył sobie w nowobudującym się domu przy ulicy Marszałkowskiej № 125 (filarki), wynająć 4-te piętro na interes lub familijne mieszkanie składające się z 7-u pokojów i drugie z 5-u pokojów, raczy się zgłosić do właściciela, dla porozumienia się przed wykończeniem budowy domu. 45367

**Jeden** lub dwa pokoje z alkową, umeblowane lub bez mebli do wynajęcia. Wielka № 33, mieszkania 35.—Tamże do sprzedania suknia kremowa. 45409

**Na** Marszałkowskiej lub innej odpowiedniej ulicy wynajmę sklep z przyległym pokojem, na pracownią mód, od Wielkiej-Nocy. Oferty przyjmuje Kurjer sub „Niewygórowane komorne.” 44923

**Pokój** dla pań do wynajęcia. Marszałkowska 86—11. 45578

**Pokój** frontowy na parterze, z usługą, samowarem, na żądanie może być z całodziennem życiem. Chmielna 31, m. 2. 45583

**Pokój** umeblowany, z osobnem wejściem do wynajęcia. Nowy-Świat 70, mieszkania 11, drugie piętro. 45592

**Pomieszczenie** dla inteligentnego mężczyzny 4 rs. Nowy-Świat 29, mieszkania № 2. 45577

**Pokój** frontowy, o dwóch oknach, z oddzielnem wejściem, do wynajęcia od 1 stycznia 94 r. Nowy-Świat 66. 45402

**Potrzebne** od 1 kwietnia 1894 3 pokoje z wygodami, 1-e piętro, front, w okolicy Krakowskiego-Przedm. lub Marszałkowskiej, w cenie około 350 rubli rocznie. Łaskawe oferty pod wyrazem „Kwartalnie z góry” przyjmuje Kurjer Warsz. 44937

**Potrzebne** mieszkanie na szkołę rzemiosł, dwa lub trzy pokoje obszerne, z kuchnią—w dzielnicy fabrycznej miasta. Oferty: Wiejska 19, mieszk. 7. 44955

**Pokój** umeblowany. 1-e piętro, wejście eleganckie, do wynajęcia. Wiadomość: biuro Ungra, Wierzbowa 8. 2816r

**Poszukuję** 2—3 pokoje umeblowane, usługa, samowar. Szczegółowe oferty nadsyłać: Bracka 5, m. 16. 45611

**Stajnia** obszerna i wozownia do wynajęcia tanio. Zielna 35. 45309

**Sklep** z oknem wystawowem i pasażem, do wynajęcia od 1 maja 1894 r., może być dodane 3 pokoje i kuchnia. Wiadomość: plac św. Aleksandra № 12/1740, u rządcy domu. 45098

## Doniesienia rozmaite.

**Akuszerka** przyjmuje na słabość bez meldowania, udziela porad, umieszcza dzieci. Chłodna 26. 45588

**Akuszerka** S. P. z dyplomem Warszawskiego Uniwersytetu, zaopatrzona w utensylja zabezpieczające zdrowie położnic, udziela porady w zakresie swej specjalności, paniom potrzebującym zupełnej dyskrecji. Przyjmuje na słabość. Chmielna 33, m. 17. 45585

**Akuszerka** (pokoje oddzielne) przyjmuje na słabość, czas dłuższy, kurację, bez meldunku, umieszczenie dziecięcia. Chłodna 21. 45450

**Akuszerka** Bukowska przyjmuje na słabość, czas dłuższy lub kurację, bez meldowania, z umieszczeniem dziecięcia. Bednarska 21. 45433

**Akuszerka** Dombrowicz, b. starsza przytułku położniczego, przyjmuje chore panie, bez meldunku, jakoteż zamówienia w miejscu i na wyjazd. Złota 4, przy Marszałkowskiej. 24647

**Akuszerka** b. starsza Instytutu położniczego, przyjmuje na słabość, z umieszczeniem dziecka od 15 rubli, udziela porad swojej specjalności. Książęca № 7. 45609

**A. Fabryka** kwiatów „Eliza” poleca znaczny wybór garniturów balowych, oraz ślubne girlandy. Ceny nader przystępne. Nowy-Świat 44. 44996

**A) Roboty** budowlane, kościelne, meblowe, galanteryjne, groby, pomniki z marmuru, granitu, piaskowca. Marmur surowy, krajowy, zagraniczny w blokach i płytach, poleca najtaniej fabryka wyrobów kamieniarskich Heurteux i Lilpop, Warszawa, Srebrna № 12. 45598

**Adres:** Złota 2, m. 10. Hygieniczne, prywatne obiady na maśle. 2844r

**Bloki** Bühringa po rs. 2, 2.50, 3.50, oczyszczają wodę najlepiej. J. E. Kleber. Złota 34. 44945

**Klosze** paryzkie do zegarów, jubilerskie kule szklanne duże nadeszły do składu szkła Aleksego Baytel. Podwale 7. — Szkło stołowe gładkie i szlifowane, fajans krajowy i zagraniczny. Talerze granitowe, wazy, półmiski, serwisy porcelanowe poleca skład szkła, porcelany i fajansu Aleksego Baytel: Podwale 7. Ceny zawsze umiarkowane. 43895

**Lampy**, ample, brenery, bronzy, reperuje, przerabia, odnawia specjalista. Sprzedaje brenery jasne, najnowsze, wszelkie przybory lampowe, naftę Nobla. Bracka 2, sklep. 45550

**Łódź**, Zielona № 5.—Mam zaszczyt zawiadomić szanowną klijentelę, że poprzednio zarządzająca moim magazynem kapeluszy, pani M. M., od Nowego Roku u mnie pracować nie będzie. Staraniem mojem nadal będzie w zupełności zadowolnić szanowne klijentki.—Jadwiga Przewóska. 45443

**Nowo** założona remiza „Eclips,” 25 Nowy-Świat 25. Landa, faetony, karety na gumowych kołach, wytworne zaprzęgi. Telefonu № 805. 45353

**Nowo**-otworzona pracownia okryć, sukien damskich i dziecinnych, wykonywa takowe elegancko, dokladnie, po cenach możliwie nizkich. Suknie balowe wykonywa w 24 godzin. Chmielna 31, m. 2. 45582

**Najmodniejsze** bereciki, kapotki, mufeczki fantazyjne wykonywam gustownie, pióra fryzuję, wyuczam strojów. Przefasonowanie kapelusza filcowego kop. 40. Nowy-Świat № 28. 45572

**Pianista!** przyjmuje zamówienia na wieczory tańcujące. Leszno № 89, mieszkania 4 lit. A. 45324

**Prasy** balansowe, tokarnie, bormaszyny wyrabia K. Kosiński. Grzybowska 41. 38110

**Pączki** wyborowe „olbrzymy”, sztuka $2\frac{1}{2}$ kop., faworki waniljowe od 40 kop., polecają fabryka cukrów, biszkoptów Winkler, Kraszewski i S-ka, Rymarska 16, Wierzbowa 5, Marszałkowska № 111. 45549

**Pracownia** artystyczno-rzeźbiarska w drzewie Jana Kwiatkowskiego, Chmielna 28.—Wykonywa figury i wszelkie roboty kościelne. 45474

**Pracownia** sukien i strojów damskich P. Piotrowskiej, nowootworzona przy ul. Długiej № 8a, przyjmuje obstalunki na suknie, które wykonywa podług najświeższych żurnali, tak z własnego, jakoteż i z powierzonego materjału, po cenach umiarkowanych. 45567

**Szycia** kapeluszy słomkowych wyuczam gruntownie. Zajęcie zyskowne, gdyż maszynistek zawsze brak. Nowy-Świat 28, pracownia. 45573

**Tanio**, elegancko i pośpiesznie wykończam suknie i okrycia damskie. Bracka 5, m. 3, front, 2-ie piętro. 45597

**Uznane** przez akademję medyczną w Paryżu jako jedynie praktyczne i ekonomiczne Piece i Kominki żelazne (do koksu) Szuberskiego i Salamandry najnowszych systemów, ruchome. Reprezentant na Cesarstwo i Królestwo T. Kozłowski w Warszawie. Sprzedaż w magazynie, Wierzbowa 8, gmachu teatrów i w kantorze, Bracka 25. Tamże szafy kąpielowe hygieniczne. 45610

**Wytłaczalnia** deseni na zniszczonych aksamitach, pluszach i utrechcie Jana Kwiatkowskiego, Chmielna 28. 45473

**Władysławy** Kwiatkowskiej pracownia sukien i okryć, na bieżący karnawał przyjmuje toalety wieczorowe po umiarkowanych cenach. Chmielna 28. 45475

**Wygrane** stawki 5-ej klasy wypłacam. Plac św. Aleksandra 12. Kantor. 44420

**108 Marszałkowska.** Łyżwy różnych systemów, najtaniej poleca skład towarów żelaznych Wisnowskiego. 45300

W drukarni *Kurjera Warszawskjego.* — Plac Teatralny Nr- 473c (nowy 9). Дозволено Цензурою Варшава 20 Декабря (1 Января) 1893/4 г.
Redaktor Franciszek Olszewski.—Wydawcy: Wacław Szymanowski i Antoni Pietkiewicz (Adam Pług).